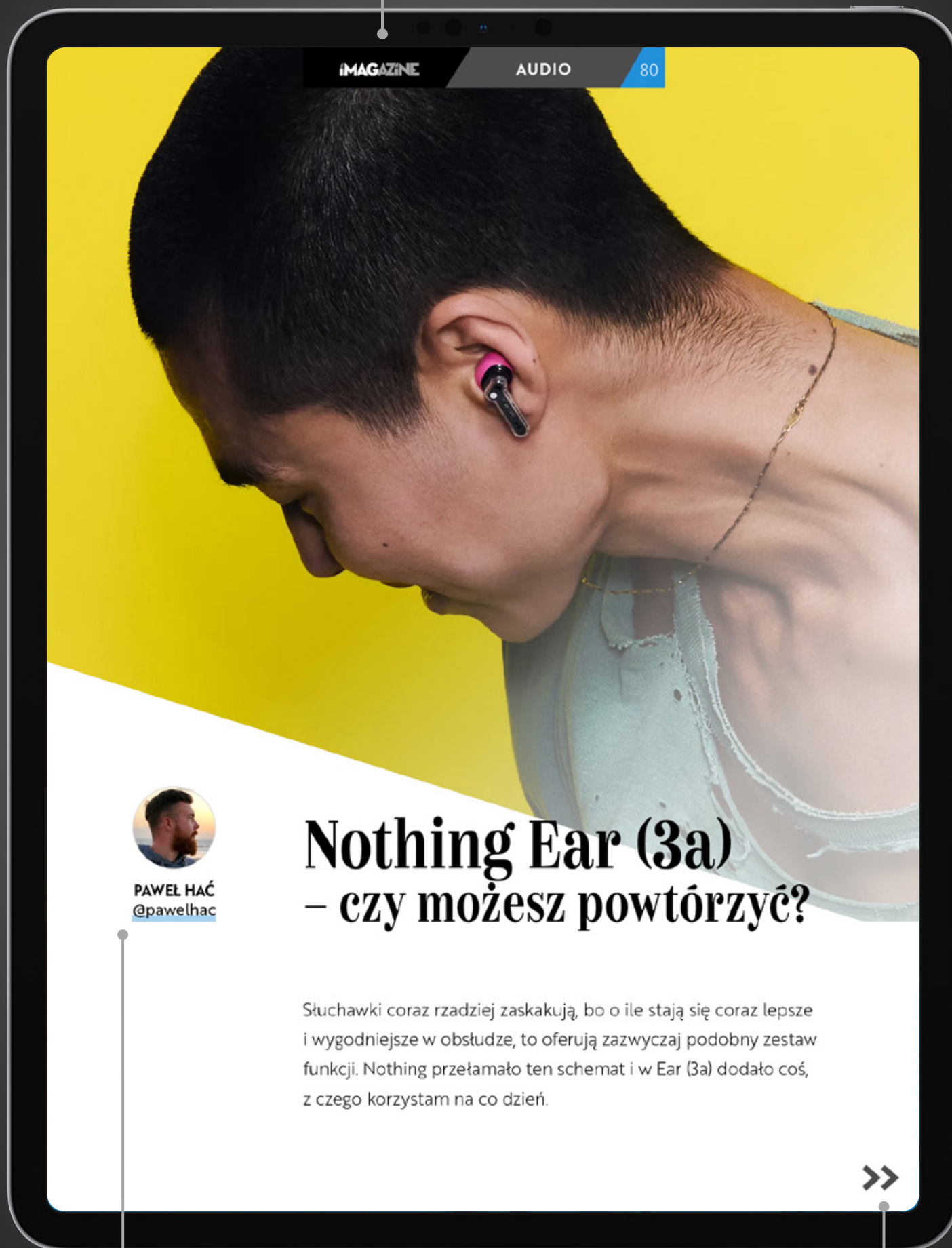


iMAGAZiNE

08/2026 (188) / ISSN 2082-3630 / imagazine.pl



tapnij by przejść do menu/spisu treści



PAWEŁ HAĆ
@pawelhac

Nothing Ear (3a) – czy możesz powtórzyć?

Słuchawki coraz rzadziej zaskakują, bo o ile stają się coraz lepsze i wygodniejsze w obsłudze, to oferują zazwyczaj podobny zestaw funkcji. Nothing przełamało ten schemat i w Ear (3a) dodało coś, z czego korzystam na co dzień.



przejdź do Twittera autora

przeciągnij w prawo





Px8 S2. Uśłysz prawdę.

Doświadczyć porywającego brzmienia i niezrównanego komfortu dzięki najbardziej luksusowej konstrukcji, jaką kiedykolwiek zaprojektowaliśmy.

Bowers & Wilkins

Salony firmowe Bowers & Wilkins: www.tophifi.pl



Samsung Galaxy Z Fold8.
Paszport do przyszłości
Dominik Łada



Samsung Galaxy Watch Ultra2 i Watch9
Agnieszka Serafinowicz



Garmin CIRQA – opaska,
o której... zapominasz.
I właśnie o to chodzi
Dominik Łada



XGIMI Titan Noir Max –
ewolucja w dobrą stronę
Paweł Hać

Galeria iMagazine

11 Agnieszka Śniadewicz-Świca | SQUARE DROP

Aktualności

17 Aktualności

Podróże

34 Drift King Keiichi Tsuchiya, 600-letnie zbroje samurajskiej okonomiyaki, czyli Japfest 2026 | Wojtek Pietrusiewicz

Productivity

43 Podprojekty są do bani, czyli dlaczego od 19 lat upieram się przy płaskiej strukturze w mojej aplikacji | Michał Śliwiński

Lifestyle

50 Lifestyle | Dominik Łada

Audio

59 Nothing Ear (3a) – czy możesz powtórzyć? | Paweł Hać

Sprzęt

65 Samsung Galaxy Z Fold8. Paszport do przyszłości | Dominik Łada

83 W końcu możemy mieć mały telefon w kieszeni i duży tablet w dłoni – Samsung Galaxy Z Fold8 | Wojtek Pietrusiewicz

84 Samsung Galaxy Watch Ultra2 i Watch9: ekran 5000 nitów, procesor 3 nm i większa bateria | Agnieszka Serafinowicz

90 Garmin CIRQA – opaska, o której... zapominasz. I właśnie o to chodzi | Dominik Łada

97 Logitech Spotlight 2 – niszowy, ale bezbłędny | Paweł Hać

103 Withings BPM Vision – technologia, która przypomina o tym, co naprawdę ważn | Dominik Łada

TV

112 XGIMI Titan Noir Max – ewolucja w dobrą stronę | Paweł Hać

116 Samsung S90H – szach-mat! | Paweł Okopień

Mobilność

123 Porsche Cayenne E-Hybrid – jak to działa i czy to ma sens? | Wojtek Pietrusiewicz

129 Maserati Grecale Modena Włoski styl i emocje na co dzień | Dariusz Hałas

142 Toyota Aygo X 1.5 Hybrid. Maluch, który nie boi się tras | Dariusz Hałas



**Japfest 2026***Wojtek Pietrusiewicz***Woven City – projekt rzeczywistości***Dariusz Hałas***Volvo vs dziki – 2:0***Dominik Łada***Pieczony udziec z indyka z jabłkami***Małgorzata Łada*

- 149** Exlantix ET – Software nie dorósł do hardware'u | Dariusz Hałas
- 162** Woven City – projekt rzeczywistości | Dariusz Hałas
- 176** Wakacyjna podróż zaczyna się od... opon. Jak przygotować auto do letnich wyjazdów? | Dominik Łada

Software

- 181** Kości+ – klasyczna gra w nowoczesnym wydaniu | Dominik Łada

Gry

- 183** Assassin's Creed Black Flag Resynced | Paweł Hać

Porady

- 190** Zapanuj nad paskiem menu w macOS | Maciej Skrzypczak
- 192** Twój iPhone ciągle zmienia głośność dzwonka zamiast muzyki? Jest na to szybka poprawka | Dominik Łada

Higiena Cyfrowa

- 195** Dlaczego wracająca moda na papier może pomóc big techom? | Krzysztof Kołacz

Felietony

- 200** Nagłówki, które nie wrócą? | Krzysztof Kołacz
- 204** Tydzień z życia tylko z iPhone'em 17 | Krzysztof Kołacz
- 208** Sumienie AI | Dariusz Hałas
- 214** Volvo vs dziki – 2:0. Służby ratunkowe wezwał Apple Watch | Dominik Łada
- 221** Czy za kilka lat nasze ulubione wina będą smakować inaczej? | Piotr Wdowiak

Film

- 225** Kumpele na zabój | Jan Urbanowicz
- 231** Władcy Wszechświata | Jan Urbanowicz
- 238** Premiery streamingowe sierpień 2026 | Jan Urbanowicz

Muzyka

- 240** Muzycy chcą się wypisać z algorytmów AI | Paweł Winiarski

Podcasty

- 244** Podcasty | Dominik Łada

Makowa kuchnia

- 247** Pieczony udziec z indyka z jabłkami | Małgorzata Łada





JBL

PARTYBOX330

MUZYKA BEZ ADRESU.

DOMÓWKA, PLAŻA, OGNISKO
– **NAJLEPSZE BRZMIENIE**
ZAWSZE Z TOBĄ.

DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ





Sierpień teoretycznie powinien być sezonem ogórkowym. W praktyce okazało się jednak, że producenci technologii mają na ten temat zupełnie inne zdanie. Samsung nie zawiódł i pokazał nowości z kategorii składanych smartfonów. I to jakie!

Największą gwiazdą jest Galaxy Fold8, który wprowadza format paszportowy. Złożony jest wygodny i bez problemu obsługuje się go jedną ręką. Po rozłożeniu otrzymujemy ekran o proporcjach 4:3 – i właśnie wtedy dzieje się magia. To format wręcz idealny do pracy, czytania i konsumowania treści. Co ciekawe, po raz pierwszy nasz magazyn wyświetla się na takim ekranie niemal perfekcyjnie – jedna strona iMagazine mieści się dokładnie na całym wyświetlaczu. Od początku istnienia składanych smartfonów kibicowałem tej kategorii, ale dotychczasowe, niemal kwadratowe proporcje nie do końca mnie przekonywały. Fold8 pokazuje, że właśnie tak powinna wyglądać przyszłość tego segmentu.

Oczywiście to dopiero początek. W numerze znajdziecie również świetną motoryzację, test najnowszej opaski... od Garmina, praktyczne poradniki i felietony, które – jak zawsze – skłaniają do refleksji. Szczególnie polecam relację Wojtka z Japfest 2026 oraz historię mojej nieplanowanej przygody z... dzikami. Na szczęście wszystko skończyło się dobrze.

Miłej lektury!

Dominik Łada

A stylized, handwritten signature in black ink, consisting of a series of loops and flourishes that represent the name Dominik Łada.





26-27 września 2026
Białystok, Chorten Arena

Najnowsze technologie
Spotkania z youtuberami
Panele dyskusyjne
Turnieje i konkursy

Technologie. Gry. Retro. RTV. AGD

Więcej informacji:



WSPÓŁPRACA

Paweł
OkopieńKrzysztof
KołaczPaweł
HaćDariusz
HałasJan
UrbanowiczMichał
ŚliwińskiMaciek
SkrzypczakMałgorzata
ŁadaGracjan
PietrasNapoleon
BrylAgnieszka
SerafinowiczAnia
GabryśEla
RóżalskaThomas
VollandPiotr
WdowiakPaweł
Winiarski

Teksty, grafiki oraz inne treści opublikowane na łamach „iMagazine” są chronione prawami autorskimi wydawcy magazynu „iMagazine”, ich autorów lub osób trzecich. Znaki towarowe i wszelkie inne oznaczenia o charakterze odróżniającym, umieszczone w „iMagazine” podlegają ochronie prawnej na rzecz wydawcy magazynu „iMagazine” lub innych uprawnionych osób trzecich.

Używanie bądź korzystanie z utworów, znaków towarowych lub oznaczeń, o których mowa wyżej, jest zabronione bez uzyskania uprzedniej pisemnej zgody właściwego podmiotu uprawnionego, z wyjątkiem wykorzystania ich zgodnie z prawem dla celów prywatnych i niekomercyjnych.

Redakcja nie zwraca niezamówionych tekstów i fotografii oraz zastrzega sobie prawo do skracania i redagowania nadesłanych materiałów. Zdjęcia z zasobów Apple dzięki uprzejmości Apple Inc. Pozostałe zdjęcia z zasobów autorów lub redakcji. Redakcja nie odpowiada za treść zamieszczanych reklam i ogłoszeń.

Nasz magazyn monitorowany jest
przez Instytut Monitorowania Mediów IMM



WYDAWCA

Mac Solutions Dominik Łada,
Nalewki 8/79, 00-158 Warszawa
NIP: 118-135-60-13

REDAKCJA

redakcja@imagazine.pl



REDAKTOR NACZELNY

Dominik Łada
+48 501 055 988 | d.lada@imagazine.pl

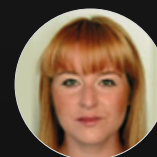
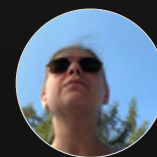
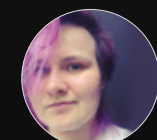
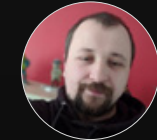


ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO

Wojtek Pietrusiewicz
w.pietrusiewicz@imagazine.pl

REKLAMA

reklama@imagazine.pl

KOREKTA
Malwina WadasKOREKTA
Ania GabryśWEBMASTER
Angelika BoruckaWEBMASTER
Krzysztof Stambuła

PROJEKT GRAFICZNY I SKŁAD

Mateusz Gileta
m.gileta@imagazine.pl

PROJEKT OKŁADKI:

Mateusz Gileta



ELVES
BIKES POLSKA

LUKSUS W PRZYSTĘPNEJ CENIE!



**Niesamowite ramy, koła
i kompletne zestawy z włókna węglowego**

Dostępne niektóre modele od ręki lub z szybką dostawą!





AGNIESZKA ŚNIADEWICZ-ŚWICA

@squaredrop

Historyk sztuki i konserwator dzieł sztuki (ASP w Warszawie), założycielka Square Drop, fine art conservation lab. Wierzy, że jakościowe, ręcznie wykonywane przedmioty, które niosą ze sobą opowieść, trwają dłużej. W swoich projektach unikatowych mebli nawiązuje do form historycznych, odwołując się do rodzinnych tradycji. Jej ojciec był artystą snycerzem na Zamku Królewskim w Warszawie, jej rodzice razem stworzyli i prowadzili Pracownię Konserwacji Dzieł Sztuki w Milanówku. Śniadewicz-Świca, kontynuując rodzinną tradycję, pracuje z licznymi antykwariuszami i kolekcjonerami z zagranicy. Jej własne projekty czerpią z doświadczenia mebli zabytkowych i traktują współczesny mebel jako "future antique".











 argon[®]LAMPY



OŚWIETLENIE W TWOIM STYLU

TA I 1000 INNYCH LAMP KUPISZ NA [SKLEP.ARGON-LAMPY.PL](https://sklep.argon-lampy.pl)



Aktualizacje systemów w wersji 26.6

Czytaj dalej...

Beats Solo Buds w nowym kolorze – jedyna „premiera” Apple tego lata

Czytaj dalej...



Po siedmiu kandydatach – macOS Sonoma 14.8.8 i Sequoia 15.7.8 wydane

Czytaj dalej...



Apple opublikowało wyniki finansowe za trzeci kwartał roku fiskalnego 2026, kończący się 27 czerwca. Firma osiągnęła 109,4 mld dolarów przychodów

Czytaj dalej....



Apple osiąga wartość 5 mld dolarów

Czytaj dalej....



Apple Sports ze wsparciem dla polskiej ligi i sześciu innych

Czytaj dalej....



The Art of Seeing, Celebrated
2026 Winners

Znamy zwycięzców iPhone Photography Awards 2026

Czytaj dalej...

Apple podnosi ceny subskrypcji (także w Polsce!)

Czytaj dalej...



Unijny bat na giganta.
Google dostaje prawie
miliard dolarów kary za
faworyzowanie własnych
usług i blokowanie płatności

Czytaj dalej...



**Zaloguj się do mObywatela
do 5 sierpnia. Inaczej
zablokujesz sobie mDowód**

Czytaj dalej....



iCloud+

**Apple w końcu naprawiło
lukę w Hide My Email**

Czytaj dalej....

**Mac rośnie, gdy cały rynek PC
się kurczy – Apple jedynym
dużym graczem na plusie**

Czytaj dalej....



**Masz kamery na domu?
UODO nałożyło pierwszą,
gigantyczną karę za
prywatny monitoring**

Czytaj dalej....

**Apple przegrywa w Luksemburgu
– App Store i iOS pozostają
„gatekeeperem”**

Czytaj dalej....

**Apple z rekordowym
udziałem w rynku
smartfonów, choć
rynek się kurczy**

Czytaj dalej....





Microsoft udowadnia, że sztuczna inteligencja przynosi miliardy

Czytaj dalej....



**iPhone na 20-lecie –
dziesięć funkcji, które
mogą zdefiniować kolejną
dekadę iPhone na 20-lecie –
dziesięć funkcji, które mogą
zdefiniować kolejną dekadę**

Czytaj dalej....



Prezydent podpisał ustawę o zakazie telefonów w szkołach

Czytaj dalej....





Gemini na macOS z systemowym dyktowaniem głosowym

Czytaj dalej....

**Samo posiadanie smartfona
pogarsza czytanie ze
zrozumieniem u dzieci.
Zakaz w szkole to za mało**

Czytaj dalej....



**Ukryte plany Apple. Przed
uśmierceniem Maca Pro
inżynierowie rozwijali
model z procesorem Intel**

Czytaj dalej....



Apple Home Hub, nowe Apple TV i HomePod mini w gotowości do wydania

Czytaj dalej....

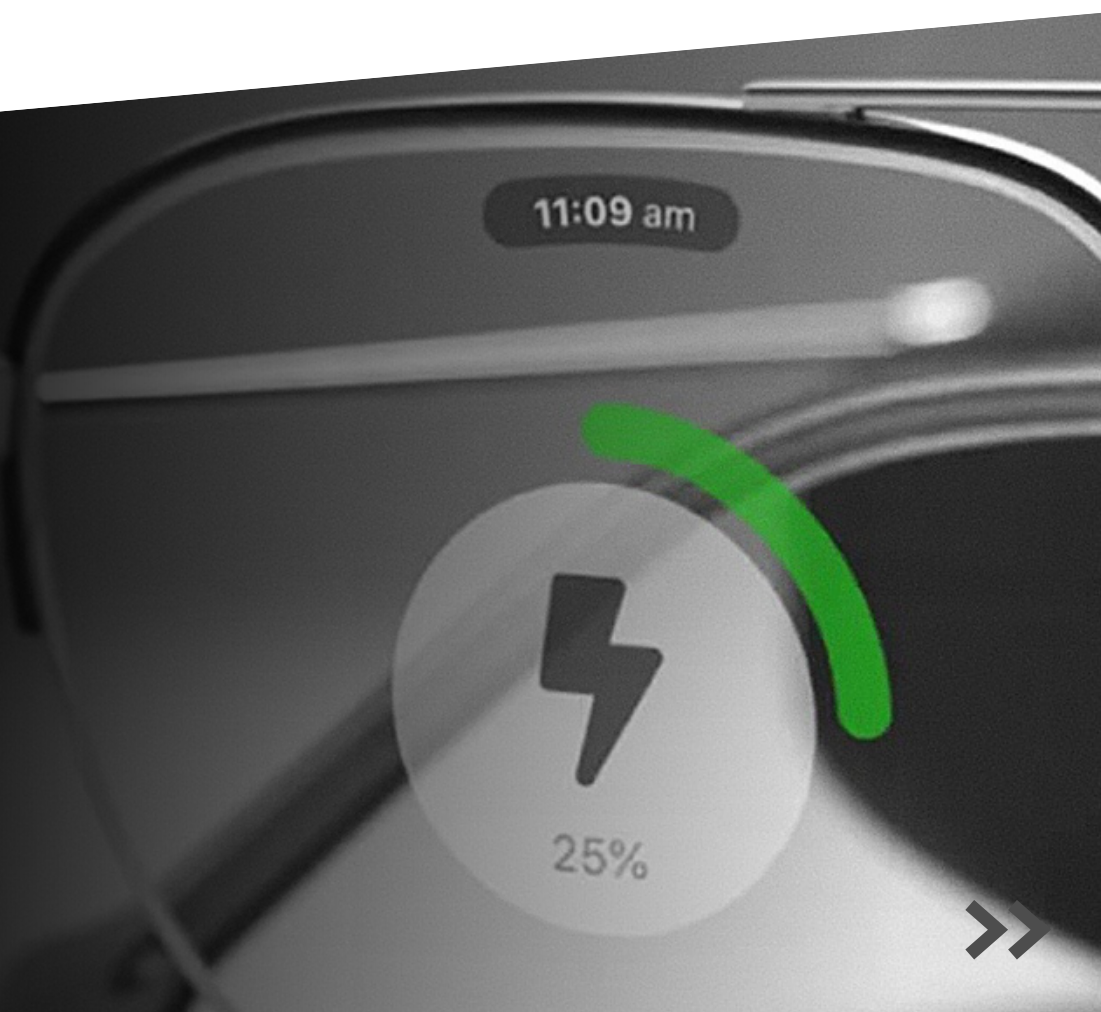


iOS 26.6 łąta ponad 75 luk – wśród badaczy figuruje... Claude

Czytaj dalej....

Czy Apple Glasses bez kamery mają sens? Prywatność stawia Apple przed trudnym wyborem

Czytaj dalej....



**Apple i Broadcom
zacieśniają współpracę.
Miliardy dolarów na
amerykańskie chipy**

Czytaj dalej...

**iOS 27 nauczy Wasze
aplikacje rozpoznawać, że
ktoś Was oszukuje**

Czytaj dalej...

**Apple Maps trafi
bezpośrednio do
samochodów Forda —
bez potrzeby posiadania
iPhone'a**

Czytaj dalej...



Unia Europejska ustępuje. Smartwatche i opaski bez łatwo wymiennych baterii, nie tylko Apple Watch

Czytaj dalej...



Lojalność wobec iPhone'a rośnie do 87% – coraz mniej osób przesiada się na Androida

Czytaj dalej...

Dlaczego w pozwie Apple przeciwko OpenAI nie pada nazwisko Jony'ego Ive'a?

Czytaj dalej...





Apple Music trafia bezpośrednio do dwóch milionów aut Volvo

Czytaj dalej...

Apple porzuca model tańszego komputera Vision Pro

Czytaj dalej...



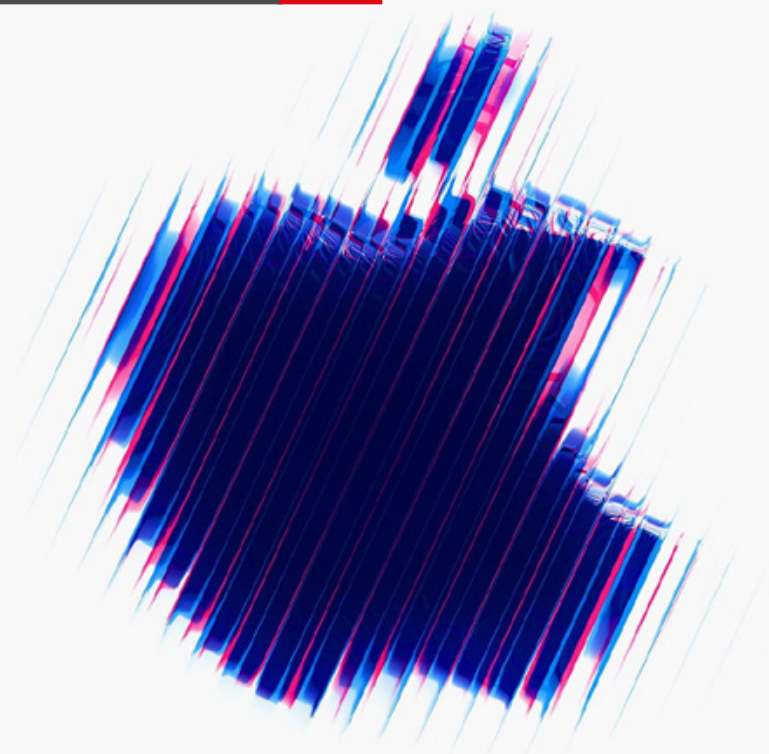
Koniec wsparcia dla szyfrowanych dysków Mac OS Extended – macOS 28 wymusi zmiany

Czytaj dalej...



Apple przejęło startup SigScalr

Czytaj dalej....



**Google wyprzedzi
Apple. Nowe smartfony
Pixel 11 z procesorem
w litografii 2 nm**

Czytaj dalej....

DuckDuckGo blokuje reklamy YouTube na iPhonie i Macu

Czytaj dalej....



DuckDuckGo



Głośnik na kółkach z algorytmem AI. JBL PartyBox 330 wjeżdża na rynek

Większość bezprzewodowych głośników imprezowych cierpi na tę samą chorobę: im głośniej grają, tym bardziej płaski i zniekształcony staje się dźwięk.

Kiedy rozkręcamy bas na maksimum, wokal natychmiast ginie w szumie. JBL postanowił rozwiązać ten odwieczny problem fizyki akustycznej za pomocą technologii, która staje się nowym standardem w branży audio – algorytmów analizujących muzykę w czasie rzeczywistym.

Najnowszy model JBL PartyBox 330 wjeżdża na rynek z potężną mocą, wymiennym akumulatorem i funkcjami, które mają zmienić domowe oraz plenerowe imprezy w profesjonalnie nagłośnione eventy.





AI Sound Boost: sztuczna inteligencja w służbie czystego basu

Sercem nowego PartyBoxa 330 jest technologia AI Sound Boost. Zamiast tradycyjnego, sztywnego limitera, który po prostu ścisza przesterowane pasma, wbudowany procesor na bieżąco analizuje sygnał audio. Algorytm przewiduje ruchy membran i wychylenie przetworników, dostosowując parametry pracy głośników w ułamku sekundy.

W praktyce oznacza to, że nawet przy maksymalnej głośności dźwięk nie traci swojej dynamiki, basy pozostają głębokie, a wysokie tony nie kłują w uszy. Za fizyczną stronę brzmienia odpowiada tu układ o łącznej mocy 280 W RMS, składający się z:

- dwóch 6,5-calowych głośników niskotonowych,
- dwóch 25-milimetrowych głośników wysokotonowych z zaawansowaną kopułką PEN.

Mobilność bez kompromisów i wymienna bateria

PartyBox 330 waży 17,1 kg – to już waga ciężka w kategorii sprzętu przenośnego. Aby ułatwić transport, producent wyposażył konstrukcję w szerokie, wytrzymałe koła oraz teleskopową rączkę z blokadą, dzięki czemu głośnik prowadzi się jak klasyczną walizkę. Obudowa spełnia normę odporności na zachlapania IPX4, co chroni elektronikę przed niespodziewanym deszczem lub basenową wodą.



Największą nowością w sekcji zasilania jest wymienny akumulator. Wbudowane ogniwo pozwala na 18 godzin pracy, a funkcja szybkiego ładowania daje kolejne 2 godziny zabawy po zaledwie 10 minutach pod zasilaczem. Jeśli jednak planujesz dłuższą imprezę w miejscu bez dostępu do gniazdka, możesz dokupić zapasową baterię i błyskawicznie ją podmienić, co dotychczas było rzadkością w tego typu urządzeniach.

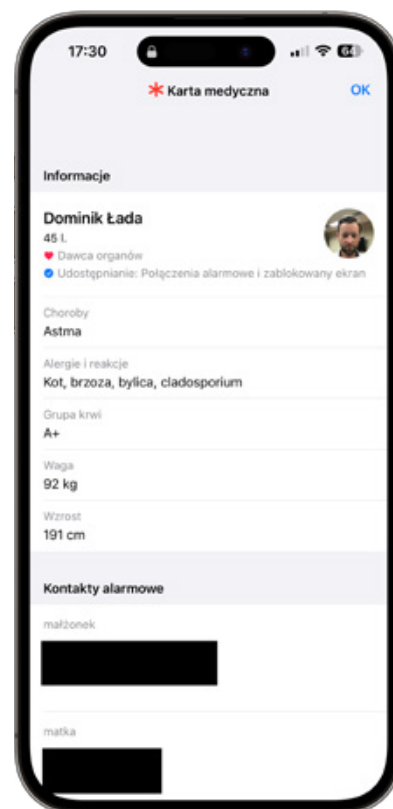
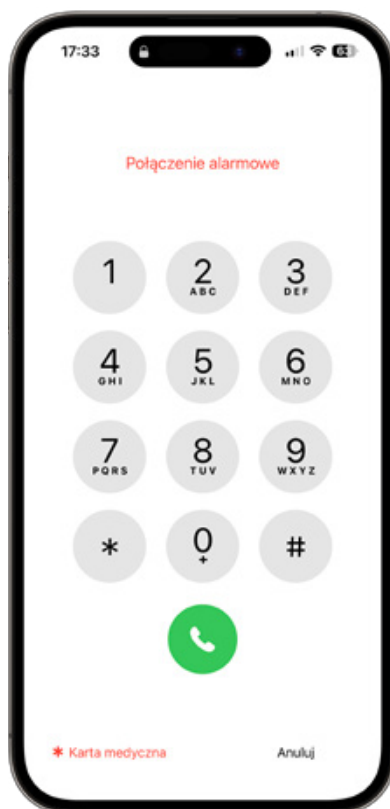
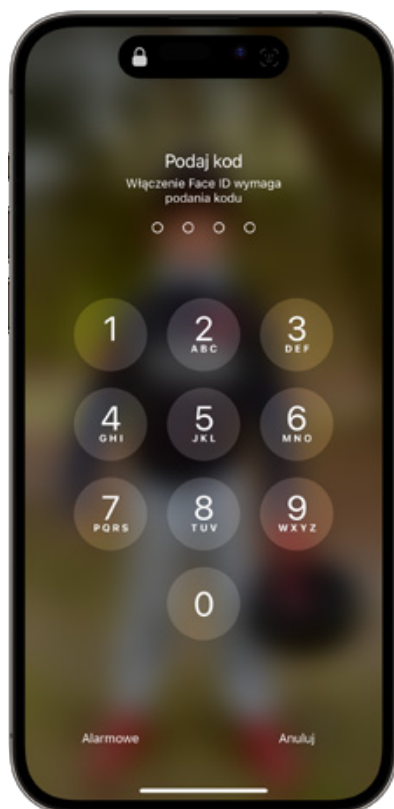
Domowe karaoke i tryb Auracast

JBL PartyBox 330 to także kompletne narzędzie do domowych występów. Głośnik posiada wejścia na gitarę oraz dwa mikrofony. We współpracy z nowymi mikrofonami JBL EasySing Mic oraz funkcją EasySing AI, urządzenie potrafi automatycznie wyciąć oryginalny wokół z dowolnego odtwarzanego utworu, tworząc czysty podkład pod karaoke na żywo.

Dzięki najnowszemu standardowi Bluetooth 6.0 oraz technologii Auracast, głośnik pozwala na bezprzewodowe łączenie wielu kompatybilnych urządzeń JBL. Możesz spiąć dwa modele PartyBox 330 w klasyczny system stereo lub stworzyć całą sieć grających kolumn na dużym ogrodzie. Dodatkowo urządzenie posiada port USB-C obsługujący bezstratny dźwięk oraz wejście optyczne, dzięki czemu głośnik może pełnić funkcję potężnego soundbara podłączonego pod telewizor.

Sugerowana cena detaliczna **JBL** PartyBox 330 wynosi 2499 złotych.

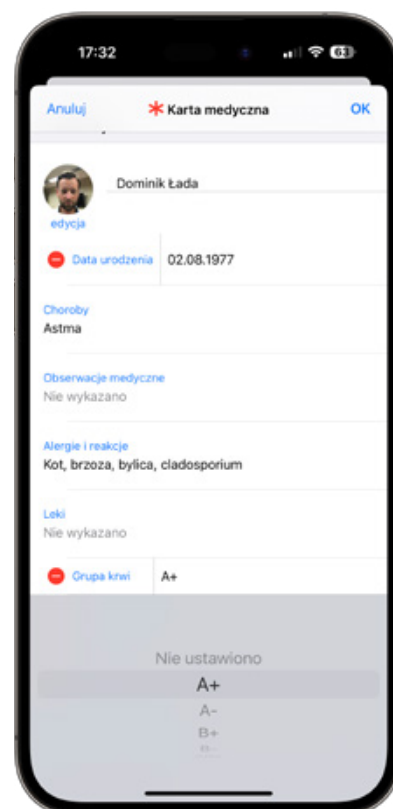




**JAK ODCZYTAĆ
Z ZABLOKOWANEGO EKRANU**

KARTA MEDYCZNA W iPHONE

UZUPEŁNIJ / ODCZYTAJ Z ZABLOKOWANEGO EKRANU

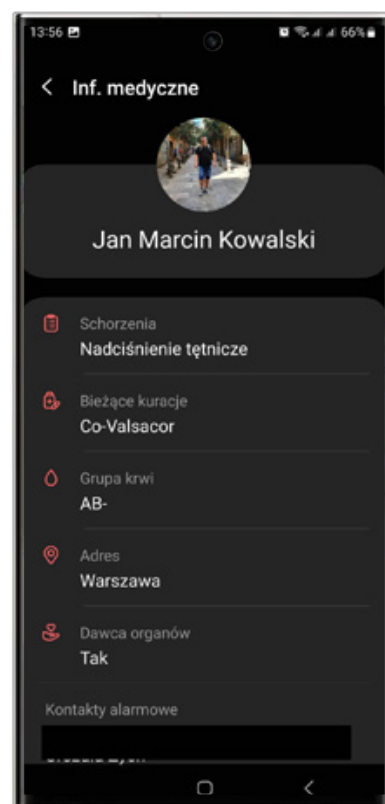
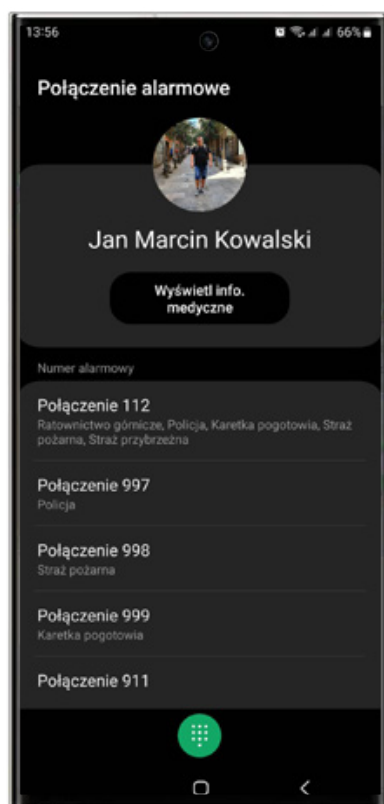


JAK UZUPEŁNIĆ

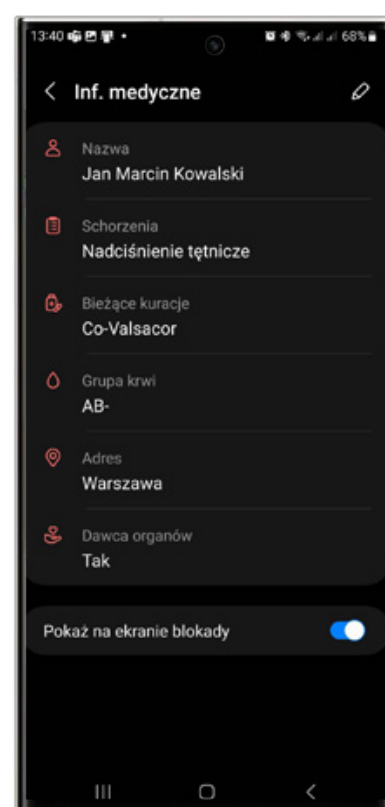
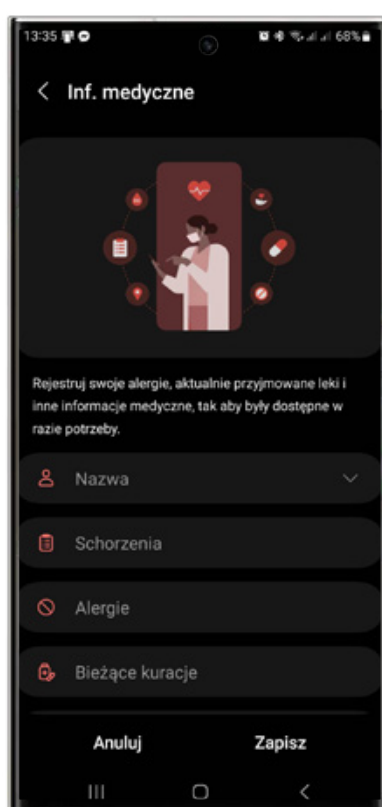
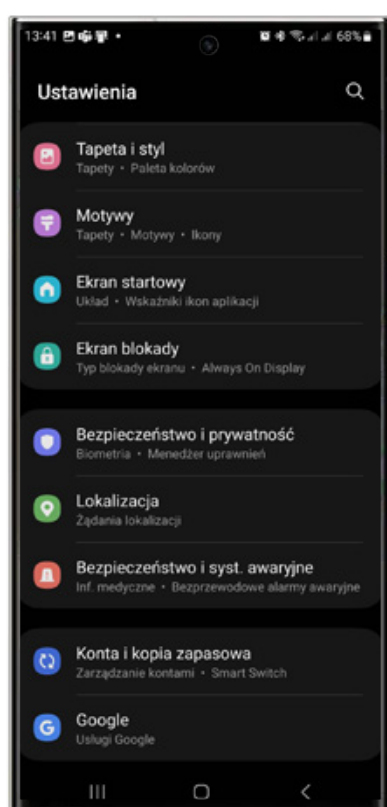


iMAGAZINE

JAK ODCZYTAĆ Z ZABLOKOWANEGO EKRANU



INFORMACJA MEDYCZNA W ANDROIDZIE UZUPEŁNIJ / ODCZYTAJ Z ZABLOKOWANEGO EKRANU



SAMSUNG

iMAGAZiNE

JAK UZUPEŁNIĆ



WOJTEK PIETRUSIEWICZ
@moriDln

Drift King Keiichi Tsuchiya, 600-letnie zbroje samurajskie i okonomiyaki, czyli Japfest 2026

Na skrzyżowaniu pasji, kultury i motoryzacji





Choć od mojego powrotu do domu minęło już dobrych kilka dni, wciąż czuję w nozdrzach specyficzny zapach palonej gumy i wysokooktanowego paliwa. Jak pewnie dobrze wiecie, moje serce bije szybciej do wielu rzeczy – zegarków i klawiatur mechanicznych, rzemiosła doprowadzonego do perfekcji... ale kiedy dowiaduję się o imprezie, na której mam okazję obcować z harmonijnie (lub nie) pracującymi silnikami wolnossą... wróć... z każdym rodzajem silnika, to nie trzeba mnie prosić dwa razy, aby tam się udać. Gdzie, zapytacie? Do Poznania oczywiście! Na Japfest 2026.

Żyjemy w czasach, w których nasze samochody powoli przepoczwarzają się w sterylne ciche tostery na kołach, a tymczasem wokół nas rośnie popularność imprez napędzanych paliwem wysokooktanowym. Niedawno, w lipcowym wydaniu iMagazine, mieliście okazję czytać



moją relację z Hel Riders 2026. Tym razem zapraszam Was na Japfest, który w miniony weekend, od 24 do 26 lipca 2026 r., na dobre przejął Tor Poznań, na którym prezentowało się aż 1150 samochodów.

Od garażowego zlotu na lotnisku po europejskiego giganta

Dla tych z was, którzy świat kultury JDM (Japanese Domestic Market) omijają do tej pory szerokim łukiem, śpieszę z wyjaśnieniem: to absolutnie nie jest typowy zlot entuzjastów tuningu, którzy z głośnikami w bagażnikach ustawiają się na popękany asfalcie pod supermarketem. To wybitnie selektywne i z pewnością najbardziej spektakularne święto japońskich samochodów w naszej części Europy.

Historia tej imprezy fascynuje mnie podwójnie, bo to w gruncie rzeczy scenariusz idealnie skrojony pod ambitny start-up z Doliny Krzemowej. Za wszystkim stoi założyciel Michał Jakubek, który w 2014 roku zorganizował pierwsze spotkanie. Z biegiem lat projekt rósł do gigantycznych rozmiarów, przetrwał przenosiny na kolejne spoty, aż dotarł do pandemicznego roku







2020. Wtedy to organizatorzy stanęli na głowie i w reżimie sanitarnym zorganizowali zlot pod hasłem „Miało nas tu nie być” ([polecam film na YouTube](#)). Dziś Japfest z powodzeniem zadomowił się na najdłuższym polskim Torze Poznań i bez cienia przesady gra w motorsportowej Formule 1.

Tegoroczna edycja naprawdę nie brała jeńców. Gdy w piątkowe południe bramy otworzyły się dla rzeszy widzów, na pełnej pętli toru już na dobre trwała brutalna rywalizacja w Time Attack oraz w wyścigu 1-Hour Endurance. Prawdziwy szal był jednak w sobotę. Obok równoległych wyścigów Drag Wars na prostej startowej, boczna nitka toru zamieniła się w spowity białym dymem poligon dla Drift Battle. A skoro już o lataniu bokiem mowa... Japfest przeszedł sam siebie, a za szok odpowiedzialne było jedno wyjątkowe nazwisko.

Keiichi Tsuchiya – Drift King

Na Japfest 2026 zawitał on – Keiichi Tsuchiya – szerzej znany jako Drift King. Dla fanatyków JDM obecność Tsuchiyi to wydarzenie niemalże religijne. To trochę tak, jakby na lokalny spot miłośników Apple niespodziewanie wpadł z lutownicą w ręku Steve Wozniak. Ten człowiek to chodząca instytucja – w latach 80. przejął sztukę uślizgu z ciasnych górskich tras w Japonii i wykreował z tego globalny sport. Jest dwukrotnym zwycięzcą





w swojej klasie w legendarnym 24-godzinnym Le Mans i główną inspiracją dla kultowego anime „Initial D”.

Dziś facet ma na karku 70 lat, a gdy usiadł za kierownicą potężnie zmodyfikowanej na jego przyjazd Hondy S2000, operował przeniesieniem masy z taką gracją i aptekarską precyzją, że zaprzeczało to znanym mi prawom fizyki. Kiedy w upalne niedzielne popołudnie ten wybitny weteran za kierownicą równie kultowego Nissan Skyline „Hakosuka” – pierwszego jeżdżącego w Polsce dodam – poprowadził paradę ponad tysiąca aut na pełnej pętli toru, wszyscy solidarnie zbierali szczęki z rozgrzanego asfaltu. Magia.

Zdecydowanie najmocniejszą cechą tego festiwalu są jego kontrasty. Kiedy moje



bębenki uszne zaczynały już powoli protestować przez huk strzałów z układów wydechowych, bez problemu uciekałem do wielkiego namiotu, w którym zorganizowano fantastyczną Strefę Kultury Japońskiej. Zaledwie kilkadziesiąt metrów od wyjących potworów mogłeś z bliska przyjrzeć się oryginalnym, 600-letnim zbrojom samurajskim, podziwiać sztukę kaligrafii i w absolutnej ciszy wypić fenomenalnie przygotowaną matchę (za japońską strefę kulinarną odpowiadała świetna ekipa z Yaki Kingu).

Siedzę, pisząc te słowa, i patrzę na zgrane z Japfestu gigabajty zdjęć. Takie wydarzenia udowadniają ponad wszelką wątpliwość, że kultura surowej, szczerej motoryzacji nigdzie się na razie nie wybiera. Żyje własnym życiem i co roku gromadzi potężną, europejską społeczność rewelacyjnych ludzi. Tegoroczny festiwal z Tsuchiya-san bez cienia wątpliwości zapisał się już na kartach historii. Jeśli ominęliście tegoroczne lipcowe szaleństwo – zróbcie sobie gigantyczną przysługę i w ciemno wpiszcie do kalendarza Tor Poznań na przyszły rok.

Tego po prostu trzeba doświadczyć.





NIE MA ~~BIURA~~

Podcast o wszystkim, czego
jeszcze nie wiesz o pracy zdalnej.



Prowadzące: Ewelina Przywara i Magda Błaszczuk





MICHAŁ ŚLIWIŃSKI
@MSliwinski

Podprojekty są do bani, czyli dlaczego od 19 lat upieram się przy płaskiej strukturze w mojej aplikacji

Otwierasz nową aplikację do produktywności i zaczynasz się organizować według hierarchii. Projekty. Podprojekty. Zadania. Podzadania. To wygląda poważnie i profesjonalnie. Czujesz, że masz kontrolę. A jednak, kiedy otworzysz moją aplikację do zadań Nozbe, nie znajdziesz w niej ani podprojektów, ani podzadań. Od 19 lat odmawiam moim klientom tych funkcji, bo czułem, że ta dodatkowa złożoność i hierarchia działają przeciwnie. Okazuje się, że przeczucie mnie nie myliło, i że stoją za tym konkretne badania.



Funkcja, o którą prosi każdy... i się dziwi, że jej nie ma!

Przez prawie dwie dekady prowadzenia Nozbe słyszałem to setki razy: „Przesiadłbym się do was choćby jutro, ale nie macie podprojektów. No weź, Michał, przecież to oczywista funkcja, której Ci brakuje!”.

Odpowiedź zawsze brzmiała: NIE.

Nie dlatego, że trudno to zbudować – to akurat banalnie proste. Powód jest zupełnie inny. Widziałem, co się dzieje z ludźmi, którzy tę funkcję dostają. A teraz moja ulubiona część tej historii: wielu klientów, którzy odeszli od nas do aplikacji z pięknym drzewkiem podprojektów, wróciło. Nie wszyscy, ale wielu. I prawie zawsze mówili to samo: struktura wyglądała świetnie, ale trudniej mi było cokolwiek dowieźć.

Dlaczego hierarchia tak dobrze wygląda... a tak źle działa!

Budowanie struktury potrafi dawać satysfakcję. Jest schludnie i człowiek czuje, że robi postęp. Tyle że kiedy tworzysz „Marketing → Kampania Q3 → Strona → Podstrona sprzedażowa → Teksty”, właśnie poświęciłeś kilka minut na efekt bliski zeru. Co gorsza, nałożyłeś na siebie stały podatek. Za każdym razem, gdy będziesz chciał dodać zadanie, musisz odpowiedzieć sobie na pytanie: gdzie to właściwie pasuje? A za każdym razem, gdy będziesz go szukał, na pytanie: gdzie ja to wsadziłem?

Hierarchia zmusza do ciągłego podejmowania decyzji. A decydowanie to dokładnie to, czego nie potrzebujesz, kiedy chcesz skutecznie działać.

40 lat badań: im głębiej, tym wolniej i z większą liczbą błędów!

I tu mnie zaskoczyło. Wiele naukowców już od początku lat osiemdziesiątych sprawdzało, jak lepiej jest działać: szeroko i płytko kontra wąsko i głęboko? Wyniki są zadziwiająco spójne.

Za każdym razem, gdy będziesz chciał dodać zadanie, musisz odpowiedzieć sobie na pytanie: gdzie to właściwie pasuje? A za każdym razem, gdy będziesz go szukał, na pytanie: gdzie ja to wsadziłem?



1. Najszybciej działamy na płtykich strukturach

Zacząto się od eksperymentu Millera z 1981 roku na temat głębokości menu, powtórnego przez Snowberry'ego, Parkinsona i Sissona w 1983 roku w czasopiśmie „Ergonomics”. Potem Kiger w 1984 roku dał ludziom te same 64 elementy ułożone na pięć różnych sposobów: od wąskiego drzewka o sześciu poziomach po szerokie, mające tylko dwa poziomy. Wynik: im głębsza struktura, tym więcej czasu i tym więcej błędów, a najpłytsze układy podobały się badanym najbardziej.

Porównali drzewko szerokie z głębokim, a następnie postawili użytkowników pod presją czasu. Ci od głębokiego drzewka popełnili 96% więcej błędów i potrzebowali 16% więcej czasu.

2. Przy skomplikowanej strukturze podwajamy liczbę błędów

Wallace, Anderson i Shneiderman (1987) dorzucili szczegół, który uważam za najbardziej istotny dla skutecznej pracy. Porównali drzewko szerokie z głębokim, a następnie postawili użytkowników pod presją czasu. Ci od głębokiego drzewka popełnili 96% więcej błędów i potrzebowali 16% więcej czasu. Innymi słowy: głębsza struktura działa przeciwko tobie dokładnie wtedy, gdy jesteś zabiegany, czyli, umówmy się, wtedy, gdy naprawdę używasz swojej aplikacji do zadań.

3. Hierarchiczne struktury odbieramy... jako bardziej skomplikowane

Jacko i Salvendy (1996) potwierdzili raz jeszcze, że hierarchia, którą ludzie budują, żeby poczuć się zorganizowani, jest dokładnie tym, co sprawia, że ich praca wydaje się trudniejsza. Sam jej widok potrafi przytłoczyć!

Cztery dekady, dziesiątki badań, jeden wniosek: jeśli już budujesz strukturę, rozbudowuj ją w szerz, a nie w głąb.



Złożoność nie jest neutralna. Złożoność to koszt, który płacisz codziennie i bez końca. To samo dotyczy struktury wewnątrz twojej aplikacji. Pięciopoziomowe drzewko nie jest tylko ładniejsze – to mały, stały podatek od każdego zadania, jakie kiedykolwiek utworzysz.

Ofer Bergman z zespołem (2010) poprosił 296 osób o odnalezienie 1131 ich własnych, prawdziwych plików na ich własnych, prawdziwych komputerach i przeanalizował wszystkie 5035 kroków nawigacji. Wniosek: struktury folderów okazały się płytkie – przeciętny plik leżał zaledwie 2,86 folderu w głąb.

Jak ludzie organizują się naprawdę, kiedy nikt nie patrzy

Ofer Bergman z zespołem (2010) poprosił 296 osób o odnalezienie 1131 ich własnych, prawdziwych plików na ich własnych, prawdziwych komputerach i przeanalizował wszystkie 5035 kroków nawigacji. Wniosek: struktury folderów okazały się płytkie – przeciętny plik leżał zaledwie 2,86 folderu w głąb.

Nikt im nie kazał tak pracować. Mając pełną swobodę zbudowania rozbudowanego drzewka swoich marzeń, ludzie po cichu wybierają coś płaskiego. Badacze doszli do wniosku, że ludzie unikają głębokich struktur, bo te kosztują ich czas!

Więc kiedy mówię, że płaska struktura Nozbe odpowiada temu, jak ludzie naprawdę pracują, to nie jest moja opinia. To jest to, co robią, gdy zostawić ich w spokoju.

W głowie mieszczą ci się cztery (4) rzeczy, a nie cztery poziomy!

Dlaczego głębokość tak bardzo boli? Bo w twoim mózgu jest twardy limit. Słynna praca George'a Millera z 1956 roku określiła pojemność pamięci krótkotrwałej na „siedem plus minus dwa”. Przegląd badań Nelsona Cowana z 2001 roku zredukował tę liczbę do mniej więcej czterech porcji informacji i to właśnie czwórka przetrwała dekady kolejnych badań.

Cztery. Tyle wynosi cała twoja pamięć robocza w trakcie nawigowania. Każdy poziom hierarchii, przez który przechodzisz, zjada jej kawałek: W której gałęzi to było? Wrzuciłem to pod klienta czy pod projekt? To



był podprojekt czy sekcja? Zanim znajdziesz zadanie, cały budżet umysłowy wydajesz na szukanie pracy zamiast na jej wykonanie.

Scrollowanie jest jak spadanie... a to łatwiejsze niż wspinaczka!

Nie bez powodu najbardziej uzależniające aplikacje społecznościowe zachęcają cię do scrollowania w nieskończoność. To czemu nie wykorzystać tego mechanizmu do czegoś produktywnego?

Płaska lista projektów czy zadań nie wymaga od twojej pamięci niczego. Po prostu scrollujesz. Lubię powtarzać: scrollowanie jest jak spadanie – nie wymaga wysiłku, grawitacja robi to za ciebie.

A teraz porównaj to z przekopywaniem się przez strukturę projektów, podprojektów, zadań, podzadań i podpodzadań! Tu jest dokładnie odwrotnie. To już przypomina wspinaczkę.

Chwila, a czy rozbijanie spraw na mniejsze kawałki nie pomaga?

Pomaga. Są badania mówiące coś przeciwnego i to one wpłynęły na to, jak zaprojektowaliśmy Nozbe.

Kruger i Evans (2004) pokazali na łamach „Journal of Experimental Social Psychology”, że kiedy ludzie wypiszą sobie poszczególne kroki zadania, zanim oszacują czas jego wykonania, ich szacunki stają się znacznie trafniejsze, błąd planowania spada o ponad połowę. Efekt był najsilniejszy przy zadaniach złożonych. Rozbijanie pracy na kawałki naprawdę pomaga.

A najstojniejszy przykład tego, jak zwykła lista zmienia wyniki, to Okołooperacyjna Karta Kontrolna WHO. W badaniu Haynesa i współpracowników z 2009 roku, opublikowanym w „New England Journal of Medicine”, w ośmiu szpitalach w ośmiu krajach 19-punktowa lista kontrolna obniżyła odsetek powikłań z 11% do 7%, a zgonów szpitalnych – z 1,5% do 0,8%.

Dziewiętnaście punktów na jednej kartce. Nie drzewko. Lista. Płaska (a nie hierarchiczna!) lista kontrolna.



W badaniu Haynesa i współpracowników z 2009 roku, opublikowanym w „New England Journal of Medicine”, w ośmiu szpitalach w ośmiu krajach 19-punktowa lista kontrolna obniżyła odsetek powikłań z 11% do 7%, a zgonów szpitalnych – z 1,5% do 0,8%.

I na tym polega cała różnica, a sformułowanie jej zajęło mi lata: rozbijanie na kroki jest dobre, hierarchia – nie. Musisz znać kroki. Nie potrzebujesz na stałe zagnieżdżonej struktury, żeby je pomieścić.

Dlatego w Nozbe rozwiązaliśmy „podzadania” za pomocą list kontrolnych wewnątrz komentarzy do zadania. Masz rozpisane kroki, szczegóły i to całe „co właściwie znaczy, że skończone” – bez tworzenia nowej gałęzi drzewka, którą trzeba potem w nieskończoność utrzymywać i przez którą trzeba nawigować. A jeśli lista kontrolna urośnie na tyle, że przestaje być listą, jednym kliknięciem zamieniasz ją w projekt. Struktura pojawia się wtedy, kiedy praca tego wymaga, a nie wcześniej.

Co dajemy ci zamiast tego: grupy i sekcje

Nie jesteśmy przeciwko organizacji. Jesteśmy przeciwko hierarchii. Dlatego daliśmy naszym użytkownikom dwa płaskie narzędzia:

- Grupy projektów – możesz grupować projekty razem, a tu jest ta część, której drzewko folderów nie potrafi: jeden projekt może należeć do kilku grup naraz. Na przykład projekt „strona firmowa” może być jednocześnie w grupie Marketing i Programowanie. W drzewku musiałbyś wybrać jedno.
- Sekcje projektu – większy projekt możesz podzielić na sekcje, które da się zwijać, przedstawiać i przenosić między nimi zadania. Wielu naszych klientów używa ich jako pionowego Kanbana. Znowu: to struktura, którą widzisz w jednym widoku, bez przekopywania się.

Jedno i drugie daje ci organizację, o którą naprawdę ci chodziło. I żadne z nich nie dokłada poziomu w głąb. Na tym polega ten trik.



Nie potrzebujesz aplikacji do zarządzania zadaniami, tylko do ich wykonywania

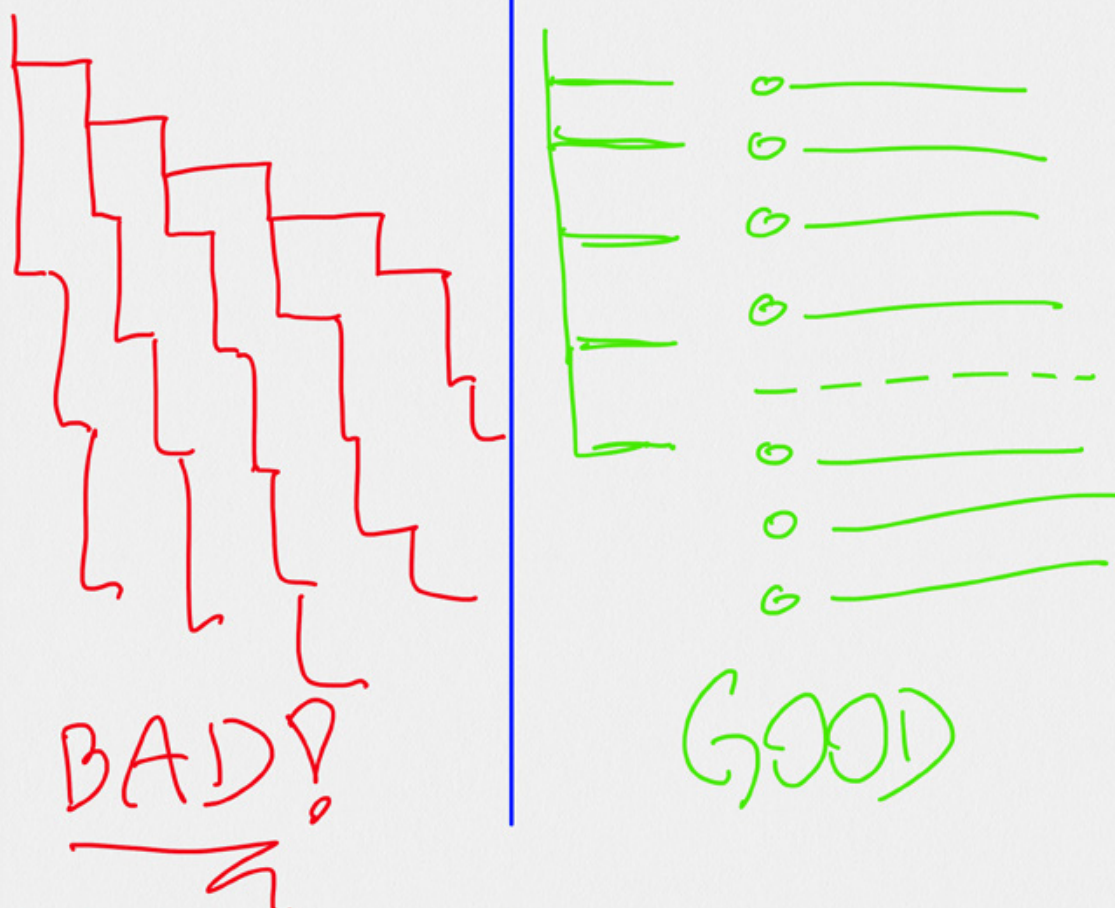
Bo, tak naprawdę, po co jest moja aplikacja? Jej celem nie jest pomaganie ci w zarządzaniu sprawami w hierarchiach. Jej celem jest pomaganie ci w ich kończeniu.

Płaska, pionowa struktura nie wygląda tak imponująco jak zagnieżdżone drzewko podprojektów. Gorzej wypada na zrzutach ekranu. Nie wygrywa tabelki porównania funkcji na stronie konkurencji. Ale robi swoje i teraz już wiem, że cztery dekady badań po cichu przyznają mi rację.

Dlatego rzucam ci wyzwanie. Otwórz aplikację, której używasz i znajdź swój najgłębszy projekt. Policz poziomy. A potem odpowiedz sobie szczerze: ile z nich pomaga ci wykonać pracę, a ile tylko poczuć się zorganizowanym?

Spłaszcz w tym tygodniu jeden z nich. Zobacz, jak się z tym poczujesz. Przez prawie 20 lat prowadzenia Nozbe ludzie próbowali udowodnić mi, że się mylę i nigdy im to nie wychodziło. A teraz wiem, że stoją za mną także badania naukowe.

P.S. Wszystkie odnośniki do badań znajdziesz na moim blogu pod adresem: michael.team/sub.





DOMINIK ŁADA
@dominiklada

Lifestyle

OROME VALAR CS50D – lekkie koła dla wymagających

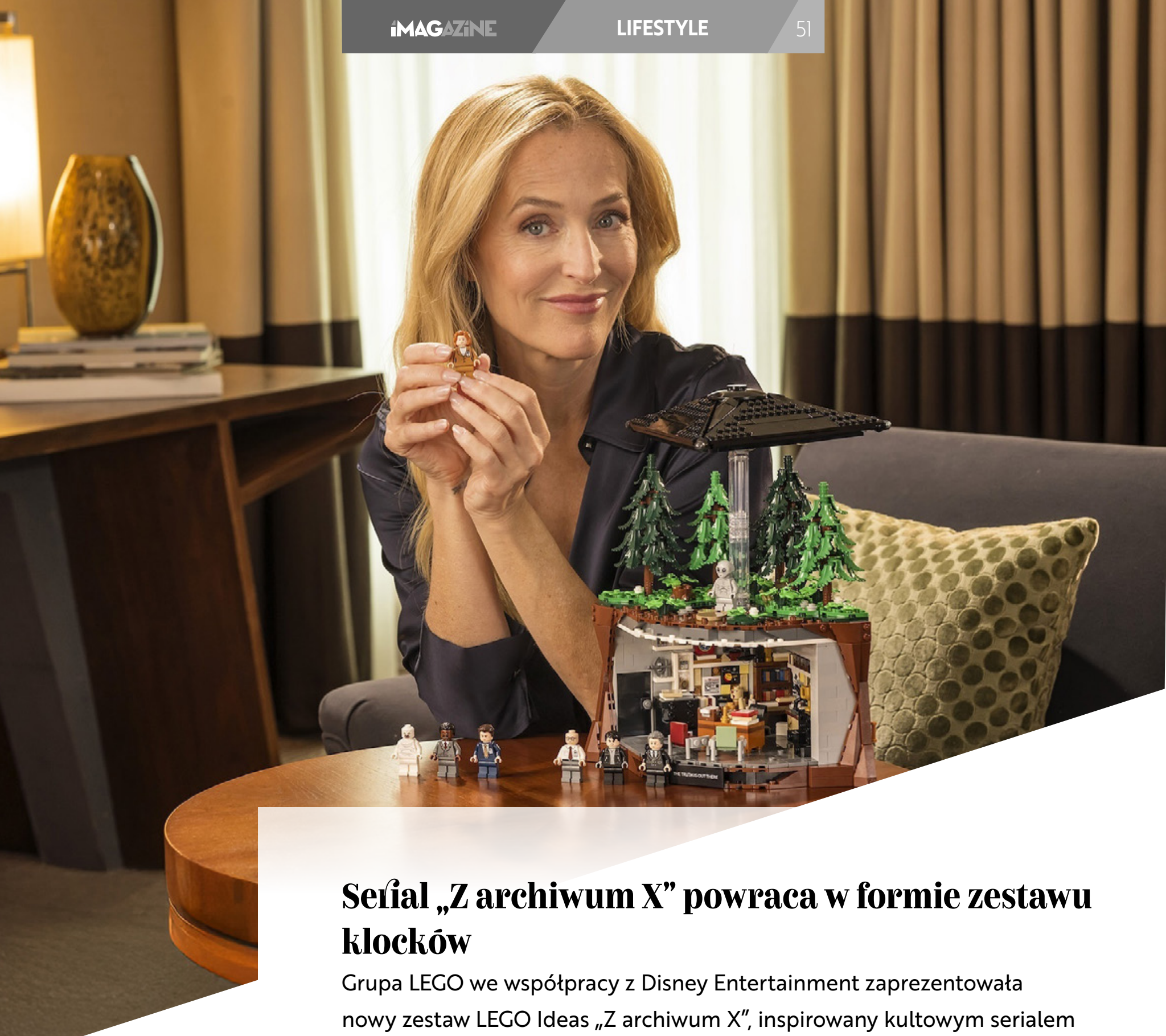
OROME VALAR CS50D to karbonowy zestaw kół szosowych stworzony z myślą o szybkiej jeździe i maksymalnej wydajności. Obręcze o wysokości 50 mm wykonano z włókna węglowego Toray T800, a całość uzupełniają karbonowe szprychy, piasty CNC z mechanizmem zapadkowym 60T oraz ceramiczne łożyska. Efekt? Masa zaledwie 1225 g, która zadowoli nawet najbardziej wymagających kolarzy.

Koła są przystosowane do systemu bezdętkowego, mają obręcze o szerokości 29,5 mm i współpracują z bębenkami Shimano HG, Shimano MSR oraz SRAM XDR. To propozycja dla osób, które chcą poprawić osiągi swojego roweru bez kompromisów.

Cena: 882 EUR

Do kupienia w Elves Bikes Polska





Señal „Z archiwum X” powraca w formie zestawu klocków

Grupa LEGO we współpracy z Disney Entertainment zaprezentowała nowy zestaw LEGO Ideas „Z archiwum X”, inspirowany kultowym serialem science fiction z lat 90. Model składający się z 1 478 elementów powstał na podstawie projektu zgłoszonego przez fana w ramach programu LEGO Ideas i pozwala odtworzyć najbardziej charakterystyczne sceny oraz śledztwa agentów Foxa Muldera i Dany Scully.

Z okazji premiery aktorka Gillian Anderson ponownie wcieliła się w rolę Dany Scully w krótkim filmie promującym nowy zestaw LEGO Ideas „Z archiwum X”. Produkcja w humorystyczny sposób nawiązuje do kultowego serialu i prowadzi widzów przez kolejne etapy śledztwa, którego finałem jest odkrycie nowego modelu LEGO.

Cena: 869,99 PLN



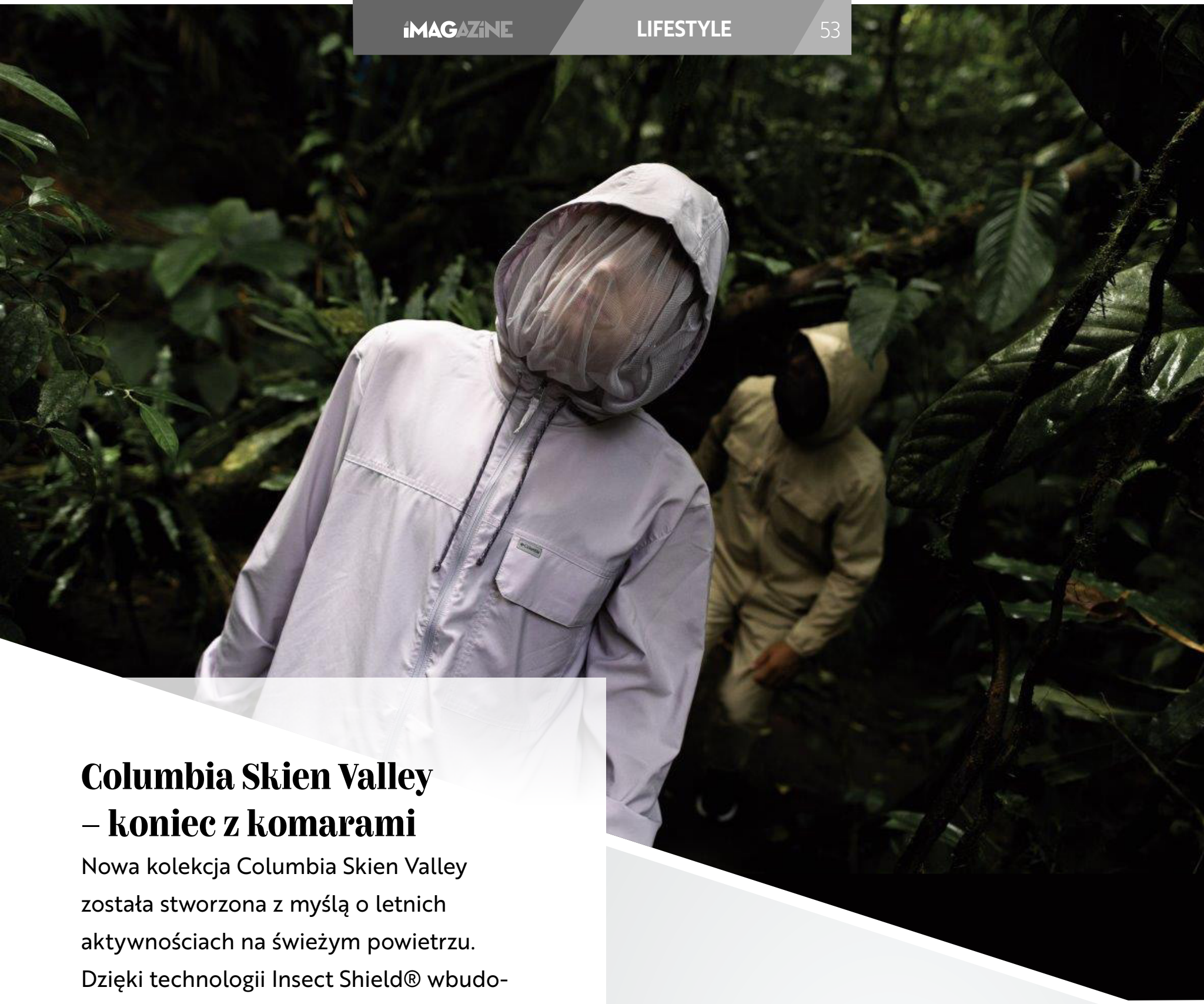
Kuota wraca do gry

Jedna z najbardziej rozpoznawalnych włoskich marek rowerowych początku XXI wieku wraca na rynek. Kuota, założona w 2001 roku i znana z lekkich karbonowych ram oraz sukcesów w kolarstwie szosowym i triathlonie, rozpoczyna globalny powrót z całkowicie odświeżoną gamą rowerów i planem budowy sieci dystrybucji w Europie, w tym także w Polsce.

Nowa oferta obejmuje m.in. modele szosowe K-Al, Khan i K-Uno, a także gravela Kobalt i hardtaila Korsa. Producent stawia na nowoczesne technologie karbonowe, pełną integrację przewodów oraz współpracę z zawodową ekipą Team UKYO. Kuota poszukuje obecnie polskich partnerów handlowych i serwisowych, zapowiadając oficjalny powrót marki do naszego kraju.

Dowiedz się więcej...





Columbia Skien Valley – koniec z komarami

Nowa kolekcja Columbia Skien Valley została stworzona z myślą o letnich aktywnościach na świeżym powietrzu. Dzięki technologii Insect Shield® wbudowanej w tkaninę skutecznie pomaga chronić przed komarami i innymi gryzącymi owadami, pozwalając spokojniej cieszyć się wędrowkami, biwakami czy wieczorami nad jeziorem.

Odzież oferuje również ochronę przeciwsłoneczną Omni-Shade™ UPF 50 oraz system odprowadzania wilgoci Omni-Wick™, zapewniając komfort nawet podczas upalnych dni.

Cena: wg modelu Dostępna w sklepach Columbia i u wybranych partnerów.



Spocket Classic Plus 911 – Porsche 911 w kieszeni

Spocket Classic Plus 911 to ultralekki portfel inspirowany legendarnym Porsche 911, wykonany z wytrzymałego materiału Tyvek. Ten syntetyczny materiał jest odporny na rozdarcia i wilgoć, a jednocześnie niezwykle lekki, dzięki czemu portfel zachowuje smukłą formę nawet przy codziennym użytkowaniu.

Minimalistyczny design, motoryzacyjne akcenty i praktyczny układ przegródek sprawiają, że Classic Plus 911 będzie ciekawym dodatkiem dla fanów Porsche oraz osób ceniących nowoczesne, lekkie akcesoria.

Cena: 74 PLN

Do kupienia w spocket.pl





Waterproof Delphin 3 Bundles for Swimming

Delphin to nietypowy odtwarzacz muzyczny stworzony z myślą o pływakach i miłośnikach sportów wodnych. Łączy się z serwisami streamingowymi, pozwala zapisywać utwory w pamięci urządzenia i odtwarzać je bez konieczności zabierania telefonu na trening. Wodoszczelna konstrukcja sprawia, że sprawdzi się zarówno na basenie, jak i podczas pływania na otwartych akwenach.

Urządzenie współpracuje z przewodnictwem kostnym i wodoodpornymi słuchawkami, dzięki czemu ulubiona muzyka może towarzyszyć użytkownikowi nawet podczas intensywnego treningu w wodzie. To ciekawa propozycja dla osób, które nie wyobrażają sobie aktywności fizycznej bez odpowiedniej ścieżki dźwiękowej.

Cena: ok. 249 USD

Do kupienia w underwateraudio.com



Samsung Galaxy Watch Ultra2 i Galaxy Watch9 – jeszcze inteligentniejsze

Nowe Samsung Galaxy Watch Ultra2 oraz Samsung Galaxy Watch9 stawiają na jeszcze lepsze monitorowanie zdrowia, aktywności i snu, oferując szybsze działanie, wydajniejsze podzespoły oraz nowe funkcje oparte na sztucznej inteligencji. Producent rozwija także możliwości treningowe i personalizację codziennego korzystania z zegarka.

Galaxy Watch Ultra2 pozostaje propozycją dla najbardziej wymagających użytkowników i miłośników aktywności outdoorowych, natomiast Galaxy Watch9 celuje w osoby szukające wszechstronnego smartwatcha do codziennego noszenia. Oba modele integrują się z ekosystemem Galaxy i rozwijają funkcje zdrowotne, które z każdą generacją stają się coraz bardziej użyteczne.

Cena: od 1 699 PLN (Galaxy Watch9) i od 2 999 PLN (Galaxy Watch Ultra2)
Dostępne w przedsprzedaży i sprzedaży u partnerów Samsung





Mobile Pixels Duex DS – drugi ekran zawsze pod ręką

Mobile Pixels Duex DS to przenośny monitor, który w kilka sekund zamienia laptopa w dwuekranowe stanowisko pracy. Ekran mocowany do tylnej części komputera wysuwa się na bok, zapewniając dodatkową przestrzeń do pracy z dokumentami, arkuszami czy aplikacjami komunikacyjnymi – bez konieczności noszenia osobnego monitora.

Lekka konstrukcja, zasilanie przez USB-C i szeroka kompatybilność z komputerami Windows oraz macOS sprawiają, że Duex DS będzie szczególnie atrakcyjnym rozwiązaniem dla osób często pracujących poza biurem. To prosty sposób na zwiększenie produktywności w podróży.

Cena: 1083 PLN

Do kupienia w Applegear



Maszyna do robienia lodów TEFAL Freezi IG803AE0, lody włoskie w 30 minut

Tefal Freezi to kompaktowa maszyna do przygotowywania domowych lodów, sorbetów i mrożonych deserów. Oferuje pięć automatycznych programów, dzięki którym w prosty sposób można przygotować klasyczne lody, jogurt mrożony czy owocowe sorbety, mając pełną kontrolę nad składnikami.

Urządzenie wyróżnia się prostą obsługą i nowoczesnym wzornictwem, a możliwość eksperymentowania z własnymi recepturami sprawia, że będzie ciekawym dodatkiem do każdej kuchni – szczególnie latem, choć równie dobrze sprawdzi się przez cały rok.

Cena: ok. 899 PLN

Dostępna w sprzedaży detalicznej oraz w tefal.pl





PAWEŁ HAĆ
@pawelhac

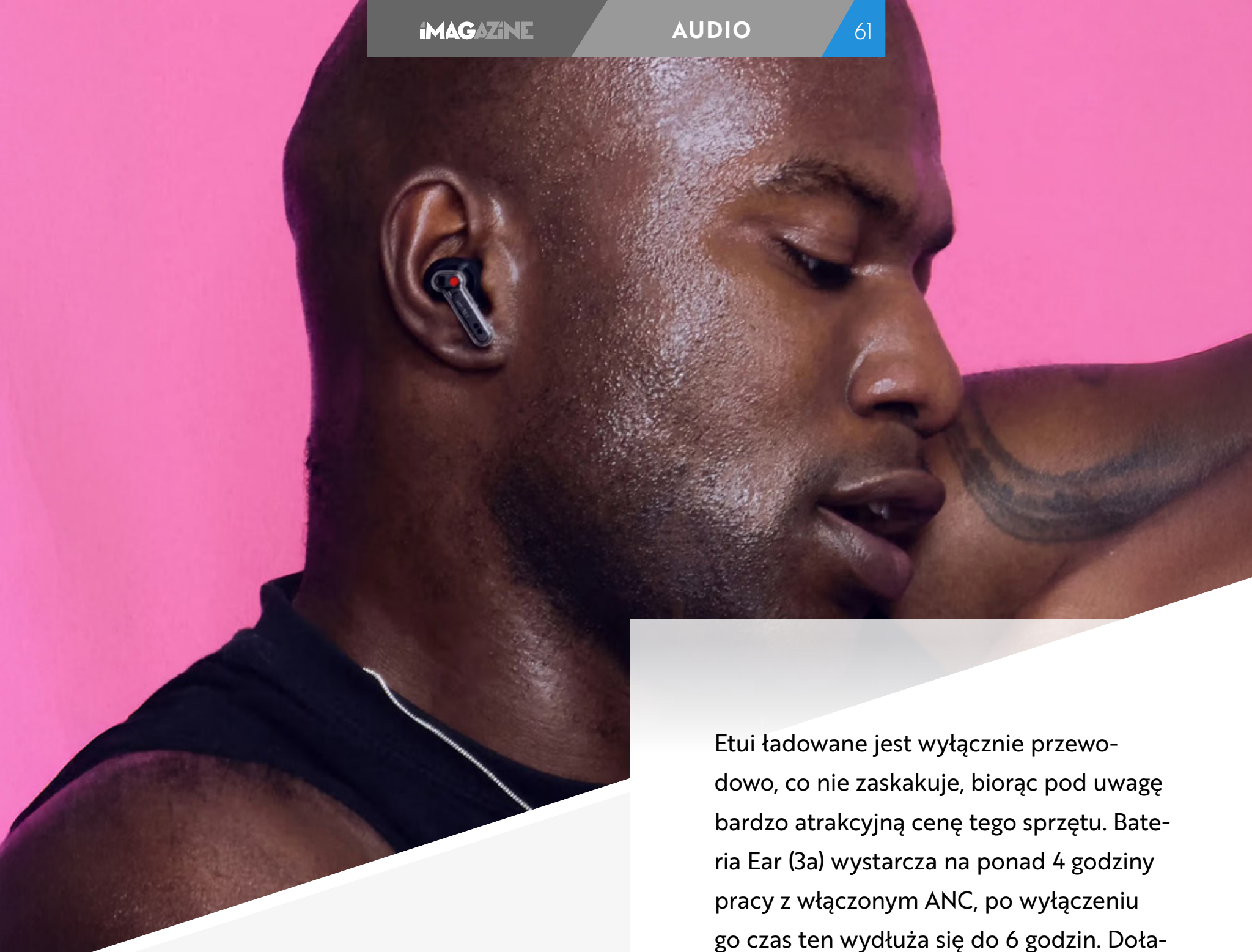
Nothing Ear (3a) – czy możesz powtórzyć?

Słuchawki coraz rzadziej zaskakują, bo o ile stają się coraz lepsze i wygodniejsze w obsłudze, to oferują zazwyczaj podobny zestaw funkcji. Nothing przełamało ten schemat i w Ear (3a) dodało coś, z czego korzystam na co dzień.



Design Nothing od początku przykuwał uwagę swoją odmiennością, a wygląd Ear (3a) jest jego koronnym przykładem. Słuchawki dostarczane są w płaskim, półprzezroczystym etui, które wygląda jakby zapakowane było w plastikowy blister. Wewnątrz umieszczono trzy diody sygnalizujące ładowanie oraz same słuchawki. Te również mają transparentną część obudowy, co nadaje im bardzo industrialnego charakteru. Mają typową, dokanałową konstrukcję, a w zestawie z nimi znajdziemy cztery pary końcówek w różnych rozmiarach. Są lekkie i niewielkie, co czyni je bardzo komfortowymi, a do tego mają IP54. Świetnie trzymają się w uchu podczas treningu, i to pomimo tego, że nie mają żadnych dodatkowych elementów mocujących. Nie wyposażono ich też w fizyczne przyciski czy panele dotykowe, sterujemy nimi poprzez ściskanie wystającego z ucha elementu. To bardzo wygodne rozwiązanie, sprawdzające się znacznie lepiej niż gesty. Sterowanie jest konfigurowalne, i to osobno dla każdej słuchawki.





Etui ładowane jest wyłącznie przewodowo, co nie zaskakuje, biorąc pod uwagę bardzo atrakcyjną cenę tego sprzętu. Bateria Ear (3a) wystarcza na ponad 4 godziny pracy z włączonym ANC, po wyłączeniu go czas ten wydłuża się do 6 godzin. Doładowywanie z etui pozwala osiągnąć do 42 godzin bez podłączania urządzenia do prądu. Nie jest to może powalający wynik, zwłaszcza jeśli spojrzymy na czas działania samych słuchawek, jednak na co dzień w zupełności mi wystarczał.

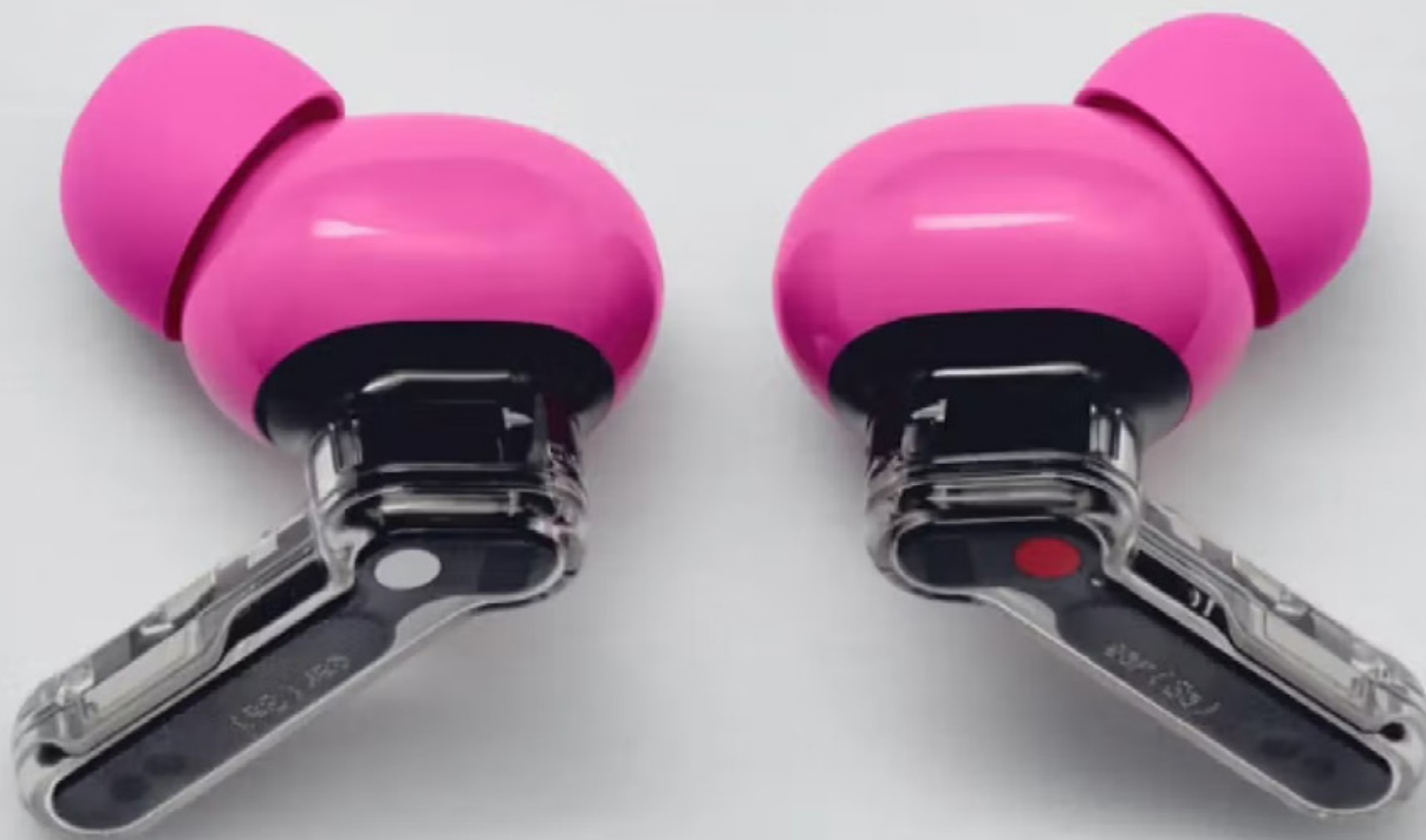
Zestaw funkcji oferowanych przez Nothing Ear (3a) jest imponujący. W dedykowanej aplikacji Nothing X możemy wybrać jeden z trzech poziomów ANC lub ustawić adaptacyjne dostosowanie jego mocy, do wyboru jest też tryb ambient. Ten drugi nie oferuje niestety żadnej regulacji. ANC jest bardzo skuteczne, przepuszcza głównie wysokie dźwięki, natomiast dobrze



wycina średnie i niskie tony. Przy maksymalnym poziomie zauważalnie szumi, nie na tyle jednak, by przeszkadzało to podczas odsłuchu. W aplikacji możliwe jest też ustawienie barwy dźwięku, korzystając z uproszczonego lub zaawansowanego korektora, pozwalającego pobrać presetów innych użytkowników. Nie zabrakło też dźwięku przestrzennego, wykrywania wyjęcia słuchawki z ucha, łączenia z dwoma źródłami jednocześnie czy trybu niskich opóźnień. Konfigurację słuchawek ułatwia Google Fast Pair oraz test dopasowania końcówek. To wszystko jednak znamy, okazuje się natomiast, że Ear (3a) potrafią znacznie więcej.

Głównym wyróżnikiem nowych słuchawek Nothing jest funkcja Audio Snapshot. Po ściśnięciu obu słuchawek jednocześnie dźwięk zaczyna być nagrywany zarówno z otoczenia, jak i z multimedialnych odtwarzanych na smartfonie, a po maksymalnie minucie jest on zapisywany w pamięci słuchawek. Następnie trafia on do aplikacji Nothing X, w której możemy nie tylko go odsłuchać, ale i zrobić jego transkrypcję. Do wyboru mamy trzy opcje, od standardowej po pro (ta ma limit 120 minut miesięcznie, a wraz





ze słuchawkami dostajemy 3 miesiące tej subskrypcji). Z pomocą tej funkcji da się też odtworzyć dźwięk do 30 sekund wcześniej. W ten sam sposób można nagrywać też rozmowy i spotkania, nasi rozmówcy dostaną wcześniej komunikat o tym, że są nagrywani. Ograniczenie dla rozmów to już 2 godziny. Jakość oferowanej transkrypcji jest bardzo dobra, działa ona również po polsku. Owszem, potrzeba trochę czasu, by otrzymać transkrypcję nawet krótkiego nagrania, niemniej generowana jest ona w tle, więc nie musimy czekać z włączoną aplikacją. Jedynym problemem jest to, że do przeglądania notatek konieczne jest połączenie się ze słuchawkami, nawet gdy nagrania są już na telefonie, bo aplikacja nie przepuszcza nas dalej. To uciążliwe, bo dostęp do notatek jest ograniczony, gdy nie mamy słuchawek ze sobą.

Pracując nad dodatkowymi funkcjami, Nothing nie zapomniało o tym, jak istotne jest brzmienie. Za dźwięk w Ear (3a) odpowiadają 12-milimetrowe przetworniki, dające sobie radę nawet z bardziej wymagającymi utworami. Ogólna szczegółowość brzmienia jest dobra, najwięcej detali usłyszymy na środku. Jest on uwydatniony, trochę głośniejszy od reszty, ale jednocześnie oferujący dobrą separację dźwięków. Niskie tony są mocne, trochę krótkie, ale przyjemne i w odpowiedniej ilości. Góra natomiast została lekko wyciszona, pozostaje jednak wyraźna i przyjemna w odbiorze nawet



przy wyższej głośności, ale już przekraczając 80% maksimum, robi się kłująca. W Nothing Ear (3a) na pochwałę zasługuje przestrzeń, tak dobre odwzorowanie jest rzadko spotykane w słuchawkach z tej półki cenowej.

Nieustannie uważam, że najbardziej zaskakujące są nie flagowce, a urządzenia ze średniej półki. To właśnie tu producenci mają odwagę najbardziej eksperymentować i dodawać funkcje, które mogą zupełnie się nie przyjąć lub wręcz odwrotnie, ewoluować w coś, co wyróżnia produkty firmy. Jestem bardzo zadowolony z Nothing Ear (3a), bo nie tylko świetnie wpasowują się w to, jak korzystam ze słuchawek, ale i oferują coś nowego, i to od razu w jakości pozwalającej korzystać z tego na co dzień.

Nothing Ear (3a)



- Design: 5,5/6
- Jakość wykonania: 5/6
- Oprogramowanie: 5,5/6
- Wydajność: 5/6

+ Plusy:

- wygodne nagrywanie rozmów i transkrypcja
- obszerny zestaw funkcji
- dobra jakość brzmienia

- Minusy:

- ograniczony dostęp do notatek

Cena: około 450 PLN





DOMINIK ŁADA
[@dominiklada](#)

Samsung Galaxy Z Fold8. Paszport do przyszłości

Przez ostatnich siedem lat po każdej premierze kolejnego Galaxy Folda mówiłem właściwie to samo: to jest przyszłość smartfonów, ale jeszcze nie teraz. Zawsze czegoś brakowało. Raz urządzenie było zbyt grube, innym razem zewnętrzny ekran wydawał się za wąski, a kolejnym razem po prostu nie potrafiłem znaleźć odpowiedzi na pytanie, dlaczego miałbym zrezygnować z klasycznego smartfona.





Fascynowała mnie sama idea, ale na końcu zawsze wracałem do zwykłego telefonu z przekonaniem, że składane urządzenia potrzebują jeszcze jednego, może dwóch pokoleń.

Galaxy Z Fold8 sprawił, że po raz pierwszy od siedmiu lat przestałem czekać.

I zrozumiałem, że jego charakterystyczny, paszportowy format nie jest już ciekawostką ani eksperymentem. Stał się przepustką do zupełnie nowego sposobu korzystania ze smartfona.

To nie jest tekst o najlepszym smartfonie na rynku. Nie jest też recenzją kolejnego technologicznego gadżetu, który przez kilka dni wywołuje efekt „wow”, by po tygodniu stać się kolejnym urządzeniem w kieszeni. To opowieść o czymś znacznie ciekawszym. O momencie, w którym zdałem sobie sprawę, że być może przez lata patrzyliśmy na rozwój smartfonów z niewłaściwej perspektywy.

Bo Samsung nie stworzył lepszego telefonu.

Samsung stworzył lepszy format telefonu.

I właśnie ten format okazał się dla mnie największą zmianą od wielu lat.



Największa zmiana nie ma nic wspólnego z procesorem

Przez ostatnią dekadę producenci przekonywali nas, że każdy kolejny model będzie szybszy, jaśniejszy, bardziej inteligentny i wyposażony w jeszcze lepszy aparat. Dostawaliśmy więcej megapikseli, więcej mocy obliczeniowej, kolejne funkcje AI i coraz bardziej spektakularne prezentacje. Problem polegał na tym, że z perspektywy codziennego użytkownika niewiele się zmieniło. Nadal korzystaliśmy z telefonu dokładnie w taki sam sposób. Wyciągaliśmy go z kieszeni, odpowiadaliśmy na wiadomości, przeglądaliśmy internet, robiliśmy zdjęcia i odkładaliśmy z powrotem.

Smartfon ewoluował, ale nasze przyzwyczajenia pozostawały niemal identyczne.

Fold8 po raz pierwszy od dawna sprawił, że zacząłem używać telefonu inaczej.

To właśnie dlatego uważam go za urządzenie przełomowe.

Nie dlatego, że ma świetny ekran. Nie dlatego, że jest cienki. Nie dlatego, że Samsung dopracował zawias niemal do perfekcji.





Największą zmianą są proporcje.

Przez siedem lat korzystałem praktycznie z każdego Folda. Każdy kolejny był wyraźnie lepszy od poprzedniego. Znikały największe wady, zawias stawał się coraz lepszy, urządzenia robiły się cieńsze i lżejsze. Po każdej premierze wracałem jednak do tej samej konkluzji – to fantastyczna demonstracja możliwości technologicznych, ale jeszcze nie produkt, który chciałbym nosić w kieszeni przez cały rok.

Paradoks polegał na tym, że Samsung doskonalił wszystko poza tym, co dla mnie było najważniejsze. Sam format. Zewnętrzny ekran przez lata wydawał mi się zbyt wąski, przez co korzystanie z telefonu w podstawowych sytuacjach było mniej naturalne niż na klasycznym smartfonie. Rozłożony ekran zachwycał możliwościami, ale droga do niego wymagała zaakceptowania kompromisów, których nie chciałem ponosić. Fold8 jest pierwszym modelem, przy którym nie mam już poczucia, że coś poświęcam. Wreszcie dostałem urządzenie, które jest równie dobrym smartfonem po złożeniu, jak i po rozłożeniu.

Po złożeniu przypomina zwykły smartfon. Taki, którego można wygodnie obsłużyć jedną ręką podczas spaceru, stojąc w kolejce po kawę albo



wychodząc z samochodu. Nie mam już wrażenia, że trzymam w dłoni wąski pilot do telewizora. Wreszcie jest to telefon, z którego chce się korzystać również wtedy, gdy pozostaje zamknięty.

A potem następuje ten moment.

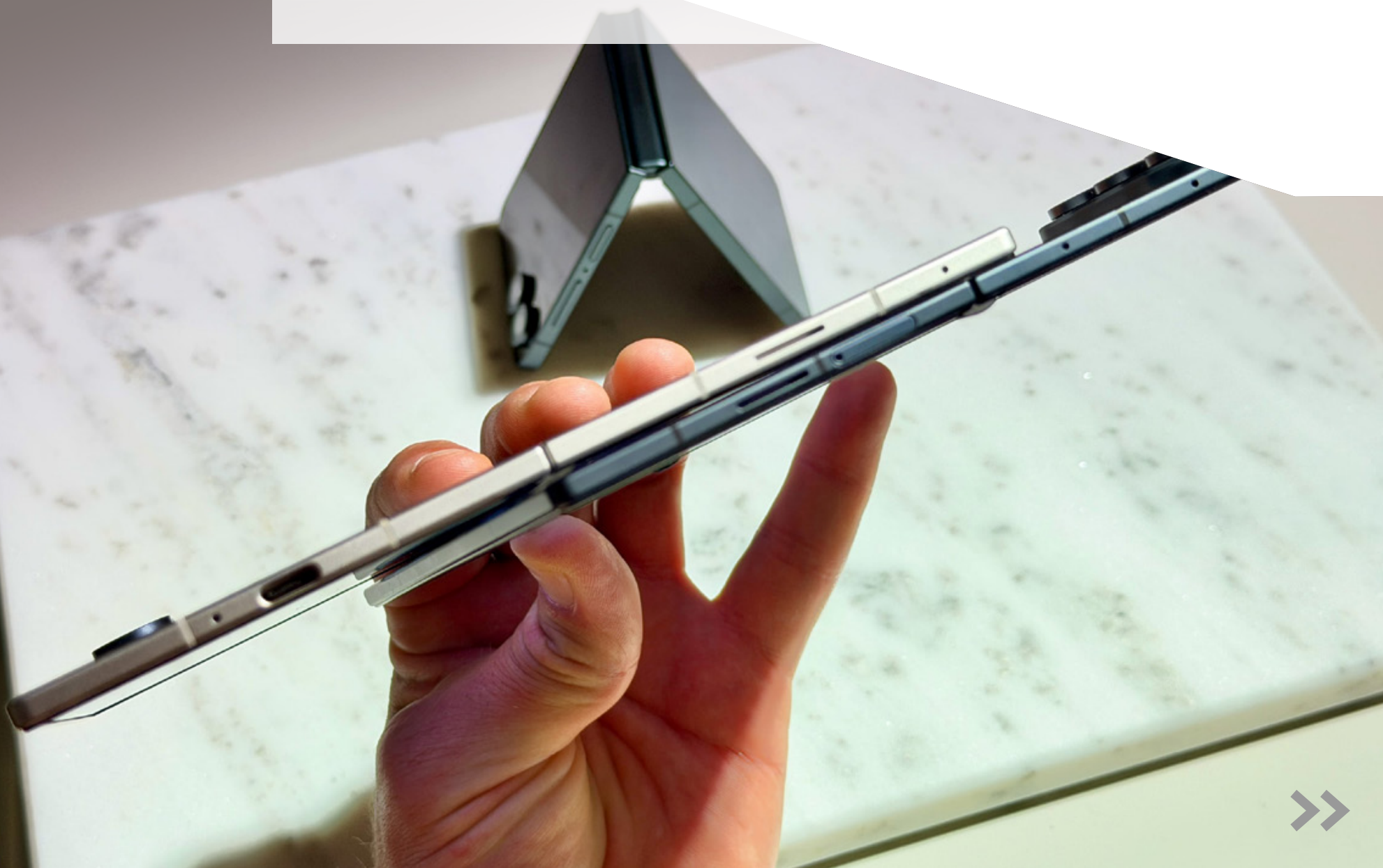
Rozkładam go.

I nagle wszystko zaczyna mieć sens.

Nie pamiętam drugiego urządzenia, którego sens istnienia byłby tak mocno związany z jednym gestem. Rozłożenie Folda nie jest efekciarską sztuczką. To naturalna reakcja na sytuację. Dłuższy mail? Rozkładam. Dokument PDF? Rozkładam. Artykuł, który chcę przeczytać spokojnie przy kawie? Rozkładam. Praca nad tekstem? Rozkładam.

Po kilku dniach przestałem się nad tym zastanawiać.

Stało się to odruchem.





I właśnie wtedy zrozumiałem, że nie zakochałem się w Galaxy Z Fold8.

Zakochałem się w jego formacie.

To nie telefon nauczył się mnie. To ja zmieniłem swoje nawyki

Najlepiej widać to podczas zwykłego dnia pracy. Rano, jeszcze przed pierwszą kawą, telefon pozostaje zamknięty. Sprawdzam Gmaila, zaglądam na Discorda, przeglądam Feedly i Google Discover, odpowiadam na kilka wiadomości. Dokładnie tak samo jak robiłem to wcześniej na każdym innym smartfonie. Nic się nie zmieniło. I bardzo dobrze, bo właśnie tego oczekuję od telefonu, który mam zawsze przy sobie.

Zmiana przychodzi później.

Wystarczy jeden dłuższy tekst, prezentacja albo dokument i odruchowo rozkładam urządzenie. Nie dlatego, że muszę. Dlatego, że jest po prostu wygodniej.

Szybko zauważyłem, że ten prosty gest zaczyna pojawiać się coraz częściej. Najpierw przy pracy, później przy czytaniu, a po kilku dniach właściwie zawsze wtedy, gdy wiedziałem, że z telefonem spędzę więcej niż minutę



czy dwie. Nie planowałem tego. Nie mówiłem sobie: „teraz rozłożę Folda”. Po prostu robiłem to instynktownie.

To zaskakujące, jak szybko mózg uczy się nowego schematu. Po kilku dniach przestałem traktować rozkładanie telefonu jako świadomą decyzję. Stało się równie naturalne, jak obracanie kierownicy podczas jazdy samochodem. Nie zastanawiasz się nad tym. Po prostu to robisz.

I chyba właśnie na tym polega największy sukces Samsunga.

Nie zmusił mnie do zmiany przyzwyczajeń.

Sprawił, że same się zmieniły.

To zresztą największy komplement, jaki mogę wystawić technologii. Naprawdę przełomowe produkty nie zwracają na siebie uwagi przez cały czas. Wręcz przeciwnie – po pewnym czasie stają się niewidoczne. Nie myślisz już o nich. Myślisz o tym, co chcesz zrobić. A urządzenie po prostu przestaje być przeszkodą.





Dokładnie to wydarzyło się podczas mojego tygodnia z Foldem.

Największym zaskoczeniem okazał się tablet

Jeszcze kilka miesięcy temu takie stwierdzenie wydawałoby mi się absurdalne. Od lat moim naturalnym towarzyszem pracy poza biurem był tablet. Zabierałem go praktycznie wszędzie. To na nim czytałem dłuższe teksty, przeglądałem dokumenty, robiłem notatki i konsumowałem treści. Był czymś pomiędzy komputerem a smartfonem – urządzeniem, po które sięgałem zawsze wtedy, gdy ekran telefonu przestawał wystarczać.

Podczas testu Folda wydarzyło się jednak coś, czego kompletnie się nie spodziewałem.

Każdego ranka wkładałem tablet do plecaka.

Każdego wieczoru orientowałem się, że ani razu go z niego nie wyjąłem.

Nie dlatego, że Fold8 zastąpił tablet. To byłoby zbyt daleko idące uproszczenie. Nadal nie napiszę na nim całego numeru iMagazine ani nie



przygotuję kompletnej publikacji od początku do końca. Są zadania, w których większy ekran wciąż pozostaje bezkonkurencyjny.

Problem w tym, że ogromna część codziennych czynności wcale nie wymagała już większego urządzenia.

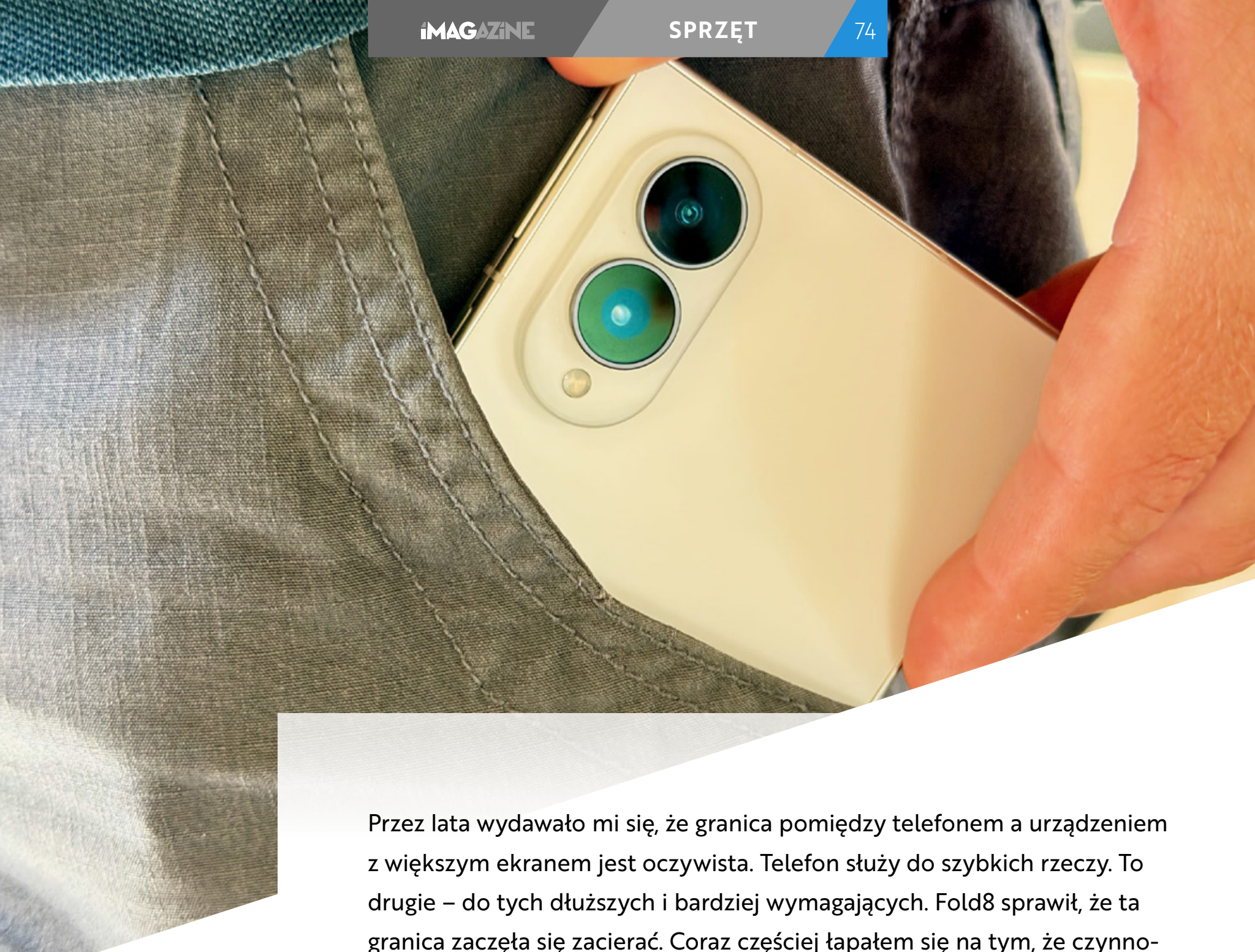
Kilka minut na tarasie z kawą. Oczekiwanie na spotkanie. Podróż pociągiem. Lotnisko. Wieczór na kanapie. Wszystkie te krótkie momenty, kiedy dotąd sięgałem po tablet, nagle zacząłem spędzać z Foldem.

I właśnie wtedy zrozumiałem, że nie chodzi o przekątną ekranu.

Chodzi o dostępność.

Najlepszy ekran to ten, który masz przy sobie dokładnie wtedy, gdy go potrzebujesz.





Przez lata wydawało mi się, że granica pomiędzy telefonem a urządzeniem z większym ekranem jest oczywista. Telefon służy do szybkich rzeczy. To drugie – do tych dłuższych i bardziej wymagających. Fold8 sprawił, że ta granica zaczęła się zacierać. Coraz częściej łapałem się na tym, że czynności, które jeszcze miesiąc wcześniej automatycznie odkładałem „na później, kiedy wyjmę tablet”, wykonywałem od razu. Czytałem raporty, poprawiałem teksty, analizowałem dokumenty czy odpowiadałem na dłuższe wiadomości. Nie dlatego, że musiałem. Po prostu nie było już powodu czekać.

To z pozoru niewielka zmiana, ale właśnie z takich drobiazgów składa się codzienność. Technologia naprawdę wygrywa dopiero wtedy, kiedy przestajesz ją zauważać. Kiedy nie myślisz o urządzeniu, tylko robisz to, co chciałeś zrobić. Fold8 bardzo szybko osiągnął właśnie ten poziom.

Po raz pierwszy zwątpiłem, że większy ekran zawsze znaczy lepszy

Przez osiemnaście lat wydawania iMagazine byłem przekonany, że nie istnieje lepsze urządzenie do czytania naszego magazynu niż klasyczny tablet. Projektując kolejne numery, zawsze miałem go gdzieś z tyłu głowy. To właśnie na jego ekranie sprawdzałem układ tekstów, wielkość fotografii



i rytm kolejnych stron. Był dla mnie punktem odniesienia – wzorem tego, jak powinno wyglądać cyfrowe wydanie magazynu.

Aż pojawił się Fold8.

Po raz pierwszy otworzyłem najnowszy numer iMagazine i złapałem się na tym, że... niczego mi nie brakuje. Wręcz przeciwnie. Jedna strona magazynu niemal idealnie wypełnia ekran. Nie trzeba jej bez przerwy powiększać ani przesuwac. Tekst czyta się naturalnie, fotografie mają odpowiednio dużo przestrzeni, a całość przypomina bardziej kontakt z papierowym wydaniem niż z typową aplikacją mobilną.

To było dla mnie ogromne zaskoczenie.

Nie dlatego, że ekran jest świetny. To wiedziałem od pierwszej chwili.

Zaskoczyło mnie coś zupełnie innego. Po kilku dniach przestałem odczuwać potrzebę sięgania po większe urządzenie. Magazyn przestał być czymś, co „przeczytam później”. Zaczął być czymś, co czytałem od razu – przy porannej kawie, w pociągu, na lotnisku czy wieczorem na tarasie.





I właśnie wtedy zrozumiałem, że Fold8 nie konkuruje z tabletem rozmiarem.

On konkuruje z nim dostępnością.

To ogromna różnica.

Bo najlepsze urządzenie do czytania nie zawsze jest największe. Najlepsze jest to, które masz przy sobie dokładnie wtedy, kiedy znajdziesz dwadzieścia wolnych minut.

Przez lata uważałem, że telefon nigdy nie będzie dobrym narzędziem do czytania dłuższych tekstów. Fold8 nie tylko podważył tę teorię.

On ją po prostu obalił.

Nie liczą się cale. Liczą się proporcje

Podobne odkrycie czekało na mnie podczas czytania książek. W dyskusjach o składanych smartfonach bardzo często mówi się o przekątnej ekranu. Moim zdaniem to rozmowa o niewłaściwej rzeczy.

Komfort czytania nie wynika wyłącznie z liczby cali.

Znacznie ważniejsze są proporcje.



Przecież od wieków książki nie mają panoramicznych stron. Są wyższe niż szersze. Właśnie dlatego klasyczny smartfon zawsze wydawał mi się urządzeniem stworzonym do szybkiego konsumowania informacji, a nie do spokojnej lektury. Wąska kolumna tekstu, częste przewijanie i nieustanne zmiany linii skutecznie odbierały przyjemność z czytania.

Fold8 zmienia tę perspektywę.

Po rozłożeniu ekran zaczyna przypominać niewielką książkę. Oczy męczą się mniej, tekst układa się naturalniej, a czytanie przestaje być kompromisem. To jeden z tych elementów, których nie da się pokazać na slajdzie podczas premiery. Trzeba z nim po prostu spędzić kilka wieczorów.

Dopiero wtedy zaczyna się rozumieć, dlaczego forma urządzenia ma również duże znaczenie jak jego parametry.

Takich momentów podczas testu było zresztą znacznie więcej.

Oglądanie filmów w podróży.

Przeglądanie zdjęć z ostatniego wyjazdu.

Praca na dwóch aplikacjach jednocześnie.

Poprawianie tekstów przed publikacją.

Przeglądanie arkuszy kalkulacyjnych.

Każda z tych czynności osobno nie robi wielkiego wrażenia. Wszystkie razem sprawiają jednak, że coraz rzadziej zastanawiasz się, po które urządzenie sięgnąć.

I właśnie wtedy zaczynasz rozumieć sens istnienia Folda.

Są kompromisy. Tylko przestają mieć znaczenie
Oczywiście Galaxy Z Fold8 nie jest urządzeniem idealnym.



Gdybym tworzył listę życzeń, znalazłby się na niej bardziej zaawansowany teleobiektyw. Nadal trochę brakuje mi również rysika S Pen, który przez lata był jednym z najbardziej charakterystycznych elementów największych smartfonów Samsunga. Jestem przekonany, że część użytkowników będzie oczekiwać także większej baterii czy szybszego ładowania.

Tylko że wydarzyło się coś bardzo ciekawego.

Po kilku dniach przestałem o tych rzeczach myśleć.

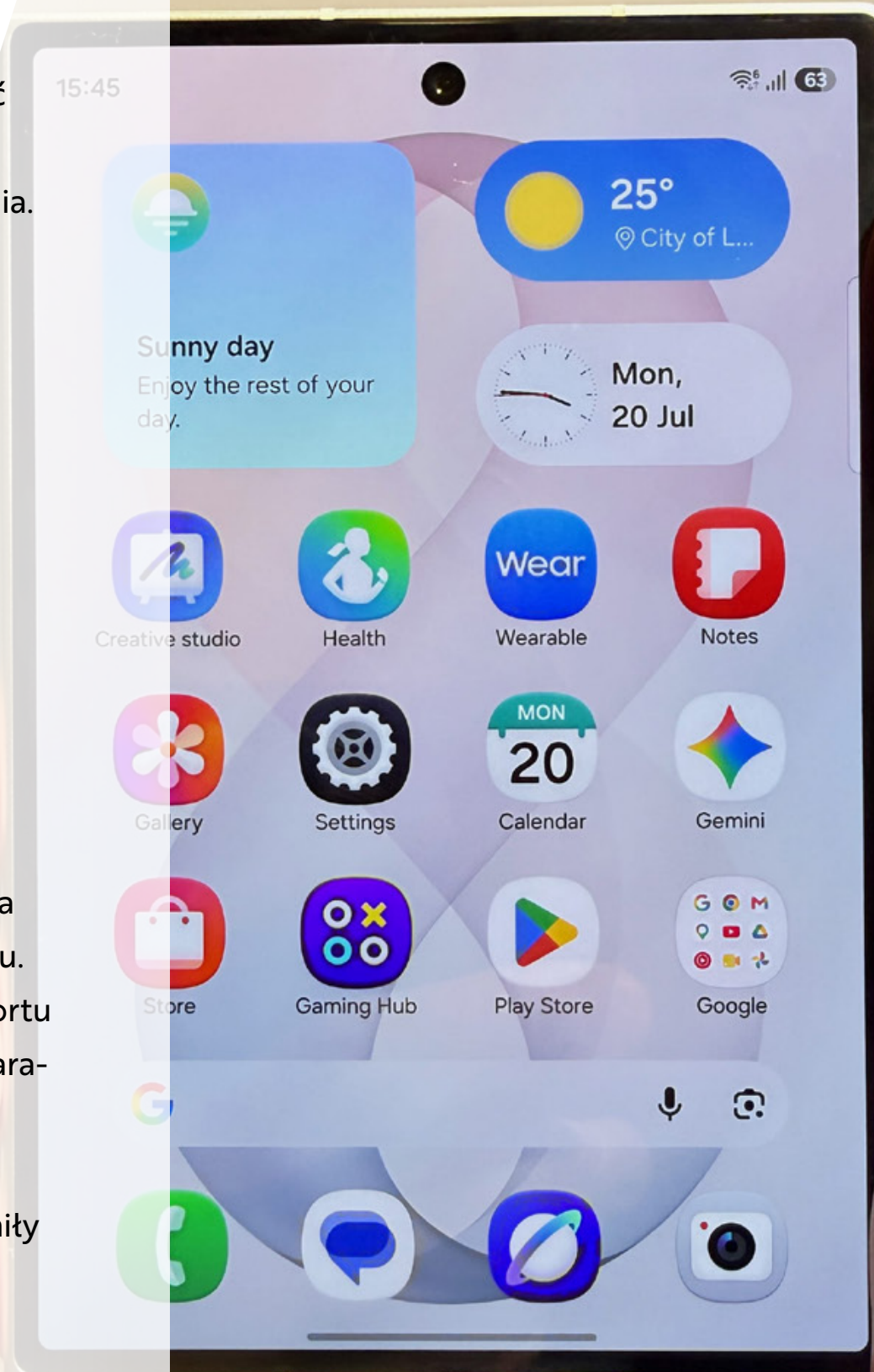
Nie dlatego, że nagle przestały istnieć.

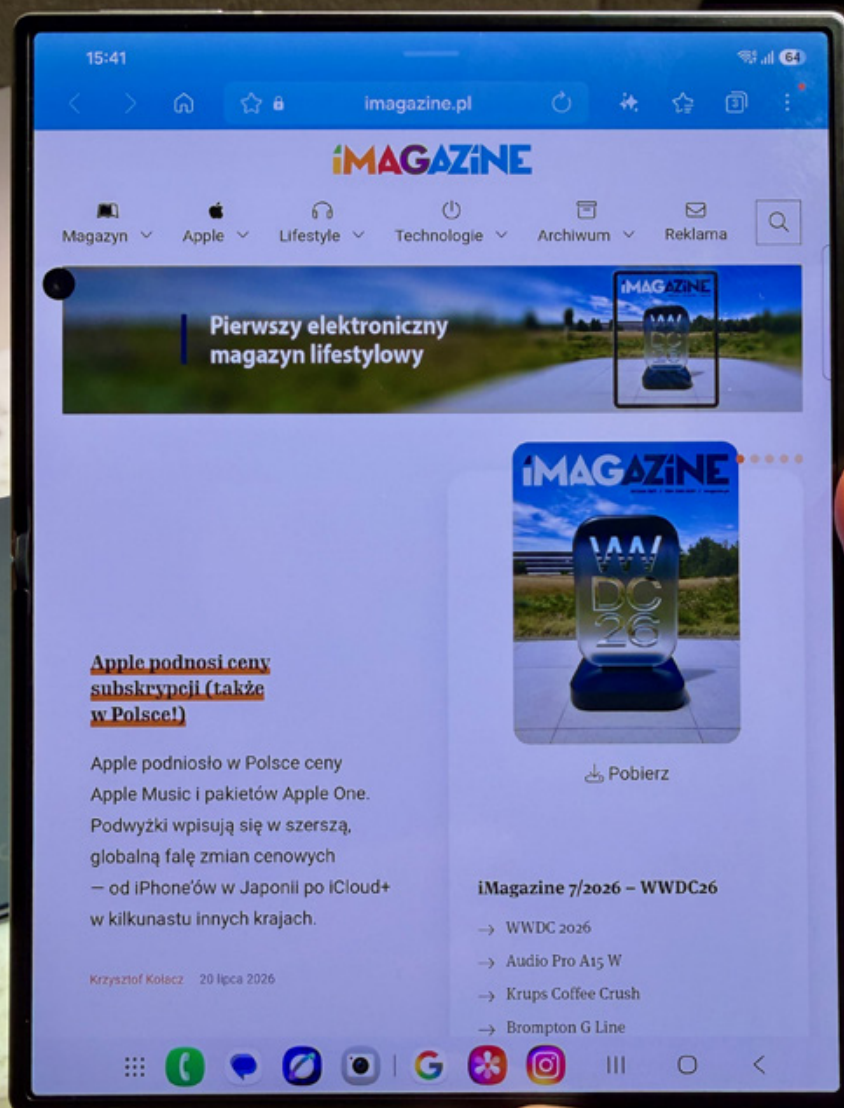
Po prostu przestały mieć znaczenie.

Znacznie częściej łąpałem się na tym, że odruchowo rozkładałam telefon, niż na tym, że brakuje mi mocniejszego zoomu. Znacznie częściej cieszyłem się z komfortu czytania niż zastanawiałem nad listą parametrów technicznych.

I to chyba najlepiej pokazuje, jak zmieniły się moje priorytety.

Przez lata nauczyliśmy się oceniać smartfony według tabelki. Procesor. Aparaty. Jasność ekranu. Bateria. Wyniki benchmarków. Wszystko to jest ważne, ale coraz częściej mam wrażenie, że próbujemy





zmierzyć liczbowo coś, czego z natury zmierzyć się nie da.

Bo jak wpisać do specyfikacji, że urządzenie sprawia, iż czytasz więcej?

Jak wycenić to, że coraz rzadziej wyciągasz z plecaka tablet?

Jak zmierzyć fakt, że zaczynasz pracować inaczej niż jeszcze tydzień wcześniej?

Nie da się.

A przecież właśnie to jest prawdziwa innowacja.

Telefon, który przypadkiem jest składany

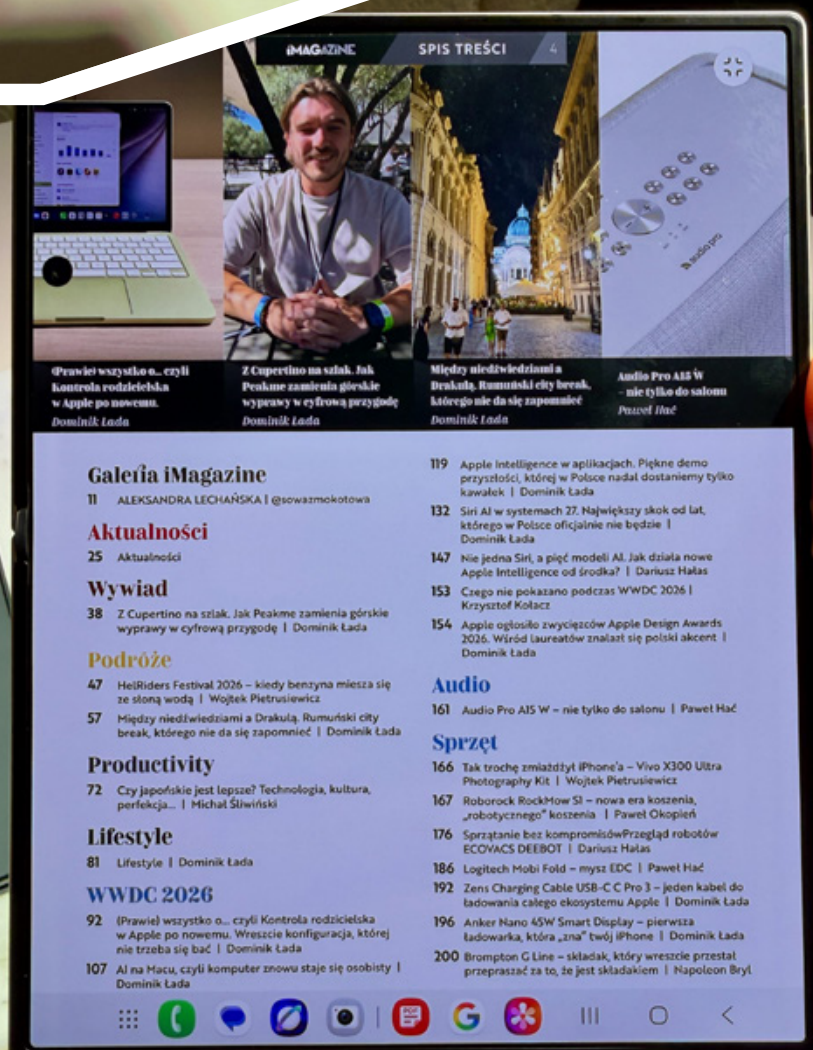
Być może za dwa albo trzy lata Samsung pokaże jeszcze lepszy model. Lżejszy. Jeszcze cieńszy. Z jeszcze lepszym aparatem i mocniejszą baterią.

Tylko że po raz pierwszy od początku istnienia tej kategorii mam poczucie, że będą to już przede wszystkim ewolucyjne poprawki.

Najtrudniejszy etap został zakończony.

Samsung nie musiał już udowadniać, że potrafi zbudować składany smartfon.

Musiał udowodnić, że potrafi zbudować świetny smartfon, który przy okazji się składa.



I właśnie to, moim zdaniem, udało się w Galaxy Z Fold8.

Przez lata producenci próbowali przekonać nas, że przyszłość smartfonów będzie polegała na dokładaniu kolejnych funkcji. Jeszcze więcej sztucznej inteligencji. Jeszcze więcej megapikseli. Jeszcze większa moc obliczeniowa.

Fold8 pokazuje, że największa innowacja przyszła z zupełnie innej strony.

Nie polega na tym, co telefon potrafi.

Polega na tym, jak z niego korzystamy.

To różnica fundamentalna.

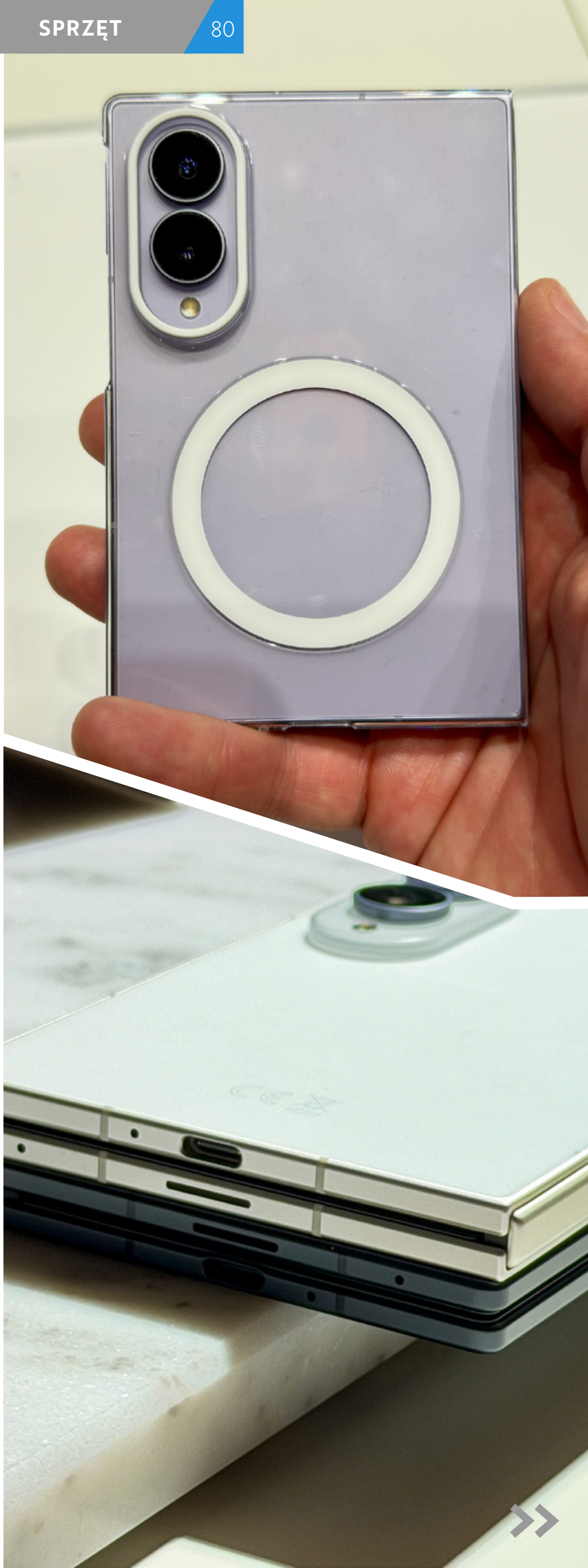
Bo technologia dojrzewała wtedy, kiedy przestaje demonstrować swoje możliwości, a zaczyna dyskretnie zmieniać nasze codzienne nawyki.

I właśnie to wydarzyło się podczas mojego tygodnia z Foldem.

Przyszłość wreszcie przestała być obietnicą

Kiedy po kilku dniach przyszedł moment oddania telefonu, wydarzyło się coś, czego kompletnie się nie spodziewałem.

Wieczorem usiadłem na tarasie z kubkiem herbaty. Obok leżała książka, miałem do przeczytania kilka maili i najnowszy numer iMagazine. Sięgnąłem do kieszeni



i zupełnie odruchowo przesunąłem kciuk w miejsce, w którym przez ostatni tydzień zaczynał się gest otwierania Folda.

Dopiero po chwili dotarło do mnie, że w dłoni trzymam już zwykły smartfon.

Ten gest trwał ułamek sekundy.

Ale powiedział mi o tym telefonie więcej niż wszystkie testy wydajności, porównania aparatów i wykresy czasu pracy na baterii.

Przez siedem lat po każdej premierze kolejnych Foldów powtarzałem, że składane smartfony są przyszłością.

Dzisiaj powiedziałbym coś zupełnie innego.

Przyszłość przestała być obietnicą.

Przestała być efektowną prezentacją podczas konferencji prasowej.

Przestała być wizualizacją tego, co wydarzy się za dwa albo trzy lata.

Po raz pierwszy od dawna miałem poczucie, że technologia nie próbuje za wszelką cenę zwrócić na siebie uwagi. Nie epatuje możliwościami. Nie krzyczy, że jest nowoczesna.

Po prostu ułatwia życie.

Pozwala wygodniej pracować.

Częściej czytać.

Rzadziej zastanawiać się, po które urządzenie powinienem sięgnąć.

I właśnie dlatego uważam Galaxy Z Fold8 za najważniejszy smartfon, z jakiego korzystałem od wielu lat.



Nie dlatego, że jest najlepszy.

Nie dlatego, że nie ma wad.

Dlatego, że przypomniatł mi coś, o czym w świecie technologii bardzo łatwo zapominamy.

Największe innowacje nie zawsze polegają na dodawaniu kolejnych funkcji.

Czasem wystarczy zmienić format, żeby zmienić sposób, w jaki korzystamy z technologii każdego dnia.

Galaxy Z Fold8 nie jest biletem do przyszłości. Jest paszportem. Bo przyszłość nie znajduje się już gdzieś daleko przed nami. Wystarczy otworzyć telefon, żeby się w niej znaleźć.

Tekst powstał we współpracy z firmą Samsung, ale marka nie miała wpływu na treść opinii





WOJTEK PIETRUSIEWICZ
[@moriDln](#)

W końcu możemy mieć mały telefon w kieszeni i duży tablet w dłoni – Samsung Galaxy Z Fold8

Po paru dniach intensywnego używania nowego Galaxy Z Fold 8, w wariacie o bardziej kwadratowych proporcjach („paszportowym”), przychodzę do Was ze zbiorem moich przemyśleń i praktycznych uwag, wykraczających poza suche specyfikacje techniczne.

W dzisiejszym wideo opowiadam, jak ten nietypowy, niższy format zmienia codzienne korzystanie z telefonu. Omawiam, jak sprawdza się zewnętrzny ekran, który o wiele lepiej leży w kieszeni niż w tradycyjnych, podłużnych Foldach, oraz jak wygodnie pisze się na szerszej, ale niższej klawiaturze. Najwięcej czasu poświęcam jednak na genialny moim zdaniem format ekranu głównego (4:3) i jego wpływ na czytanie ebooków, przeglądanie internetu, konsumpcję mediów oraz przede wszystkim niesamowitą użyteczność w środowisku wielozadaniowym i przy pracy na podzielonym ekranie. Nie zabrakło też uwag krytycznych na temat aparatów oraz ramek ekranu.





AGNIESZKA SERAFINOWICZ
[@LifestyleAga](#)

Samsung Galaxy Watch Ultra2 i Watch9: ekran 5000 nitów, procesor 3 nm i większa bateria

Krótki czas pracy na jednym ładowaniu i nieczytelne w mocnym słońcu ekrany to od lat największe grzechy inteligentnych zegarków. Samsung postanowił uderzyć bezpośrednio w te słabości, prezentując nową generację urządzeń naręcznych.





Flagowy Galaxy Watch Ultra2 otrzymał baterię o pojemności 800 mAh oraz wyświetlacz o jasności sięgającej aż 5000 nitów. Te dwie rzeczy przykuwają uwagę od razu, ale to oczywiście niejedyne ulepszenia we flagowym smartwatchu giganta z Korei Południowej.

Ta premiera pokazuje wyraźny zwrot w strategii producenta: zamiast mnożenia gadżeciarskich funkcji, architekci skupili się na wydajności sprzętowej i zauważalnym smukleniu obudów przy jednoczesnym zwiększeniu pojemności ogniów.

Galaxy Watch Ultra2: 12% cieńsza koperta, tytan i certyfikat nurkowy

Model Galaxy Watch Ultra2 zaprojektowano z myślą o użytkownikach oczekujących bezkompromisowej wytrzymałości i pracy w ekstremalnych warunkach. Mimo zastosowania baterii o pojemności 800 mAh (wzrost o 35% względem pierwszej generacji), inżynierom udało się odchudzić wewnętrzną konstrukcję – obudowa jest o 12% cieńsza od poprzednika, choć jak widzicie na zdjęciu Dominika Łady (powyżej), Galaxy Watch Ultra2 obok Apple Watcha Ultra 3 nie wygląda na „odchudzonego”, to wyjątkowo solidna konstrukcja.



Zegarek napędza nowy, wyprodukowany w litografii 3 nm procesor Qualcomm Snapdragon Wear Elite, połączony z 2 GB pamięci RAM oraz 64 GB pamięci wewnętrznej. Ekran Super AMOLED o przekątnej 1,52 cala chroniony szafirowym szkłem osiąga szczytową jasność 5000 nitów, co stanowi aktualny rekord w branży smartwatchy.

Konstrukcja oparta na tytanowej obudowie spełnia wyśrubowane normy odporności:

- wodoszczelność 10 ATM oraz klasa szczelności IP69K,
- wojskowy standard wytrzymałości MIL-STD-810H,
- certyfikat nurkowy EN13319 pozwalający na automatyczny pomiar głębokości, czasu oraz temperatury wody (przy współpracy z aplikacją opracowaną przez markę Mares).

Wśród funkcji sportowych zadebiutował tryb Bieg przełajowy (Trail Run) analizujący nachylenie terenu oraz powiadomienia Nutrition Alert, które na podstawie szacowanej utraty potu wyliczają precyzyjne zapotrzebowanie organizmu na płyny.

Galaxy Watch9: smukła obudowa i ulepszony czujnik BioActive

Podstawowy Galaxy Watch9 zachował charakterystyczną dla serii sylwetkę typu cushion z lekką, aluminiową obudową. Zegarek trafia na rynek w dwóch wariantach rozmiarowych: 40 mm (z baterią 390 mAh) oraz 44 mm (z baterią 445 mAh). Oba warianty napędza ten sam układ Snapdragon Wear Elite, wspierany przez 32 GB pamięci na dane.

Wyświetlacz Super AMOLED generuje jasność na poziomie 3000 nitów, co zapewnia pełną czytelność w jasnym otoczeniu. Zegarek waży zaledwie 31,5 g (wersja 40 mm) lub 34 g (wersja 44 mm) i oferuje odporność zgodną z normami 5 ATM, IP68 oraz MIL-STD-810H.

Kluczowym elementem oprogramowania One UI 9 Watch (opartego na systemie Wear OS 7) jest zmodernizowany czujnik Samsung BioActive. Do najważniejszych funkcji analitycznych należą:

- wykrywanie bezdechu sennego zatwierdzone przez amerykańską agencję FDA,



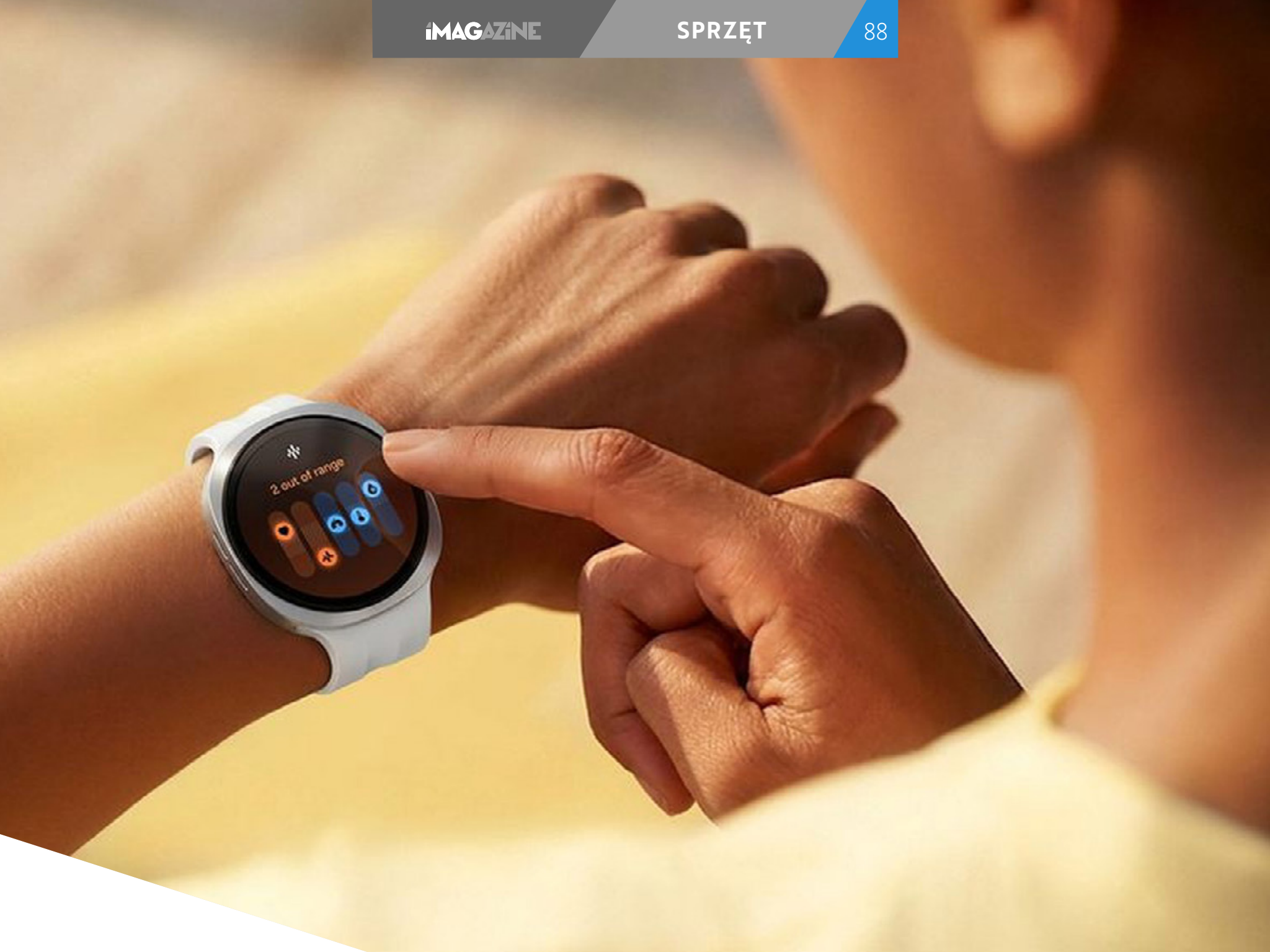
- funkcja Vitals analizująca bazowe parametry życiowe podczas snu i sygnalizująca odchylenia od normy,
- wskaźnik Heart Health Score oceniający kondycję układu krążenia,
- parametr Daily Cardio Load optymalizujący intensywność treningów i czas regeneracji.

Specyfikacja techniczna i porównanie modeli

Samsung Galaxy Watch Ultra2:

- Koperta i wymiary: tytanowa obudowa 47 mm (47,4 x 47,1 x 10,7 mm), masa 61,5 g.
- Wyświetlacz: Super AMOLED 1,52" (498 x 498 px), osłonięty szkłem szafirowym, jasność szczytowa do 5000 nitów.
- Procesor i pamięć: Qualcomm Snapdragon Wear Elite (3 nm), 2 GB RAM oraz 64 GB pamięci na dane.
- Bateria: 800 mAh z obsługą szybkiego ładowania bezprzewodowego.
- Normy odporności i wodoodporność: 10 ATM, IP69K, MIL-STD-810H oraz certyfikat nurkowy EN13319.
- System operacyjny: Wear OS 7 z interfejsem One UI 9 Watch.





Samsung Galaxy Watch9:

- Koperta i wymiary: aluminiowa obudowa w rozmiarze 44 mm (46,0 x 43,7 x 8,6 mm, masa 34,0 g) lub 40 mm (42,7 x 40,4 x 8,6 mm, masa 31,5 g).
- Wyświetlacz: Super AMOLED 1,47" (480 x 480 px w wersji 44 mm) lub 1,34" (438 x 438 px w wersji 40 mm), jasność szczytowa do 3000 nitów.
- Procesor i pamięć: Qualcomm Snapdragon Wear Elite (3 nm), 2 GB RAM oraz 32 GB pamięci na dane.
- Bateria: 445 mAh (wariant 44 mm) lub 390 mAh (wariant 40 mm) z szybkim ładowaniem bezprzewodowym.
- Normy odporności i wodoodporność: 5 ATM, IP68 oraz certyfikat MIL-STD-810H.
- System operacyjny: Wear OS 7 z interfejsem One UI 9 Watch.
- Samsung Galaxy Watch Ultra2



Dostępność i przedsprzedaż

Przedsprzedaż zegarków Galaxy Watch Ultra2 i Galaxy Watch9 ruszyła 22 lipca 2026 roku, natomiast oficjalna sprzedaż sklepowa rozpocznie się 7 sierpnia 2026 roku. Model Ultra2 dostępny jest w wersjach kolorystycznych Tytanowy srebrny oraz Tytanowy czarny. Galaxy Watch9 zaoferuje kolory Beżowy, Grafitowy oraz Srebrny.

Nabywcy nowych zegarków otrzymają w pakiecie darmowe okresy próbne w usługach partnerskich: 60 dni pełnego dostępu do platformy Strava oraz 2 miesiące subskrypcji w usłudze treningowej iFIT. Niestety, ta druga usługa nie będzie oferowana w Polsce, zgodnie z informacją marki Samsung iFIT trafi do 23 wybranych rynków, wśród których naszego kraju zabrakło.





DOMINIK ŁADA
[@dominiklada](#)

Garmin CIRQA

– opaska, o której... zapominasz.
I właśnie o to chodzi

Długo czekałem na taki produkt od Garmina. Paradoksalnie nie dlatego, że brakowało mi kolejnego urządzenia do monitorowania aktywności. Wręcz przeciwnie. Mam Apple Watcha, testowałem praktycznie wszystkie sportowe zegarki Garmina, od miesięcy używam Amazfit Helio Strap, miałem okazję spędzić trochę czasu z Whoopem, a na horyzoncie pojawiają się kolejne konstrukcje pokroju Fitbit Air. Można odnieść wrażenie, że nagle wszyscy producenci doszli do tego samego wniosku.



Najbardziej pożądanym urządzeniem do monitorowania zdrowia... jest takie, które nie wygląda jak urządzenie.

To chyba największy fenomen ostatnich miesięcy. Przez lata producenci przekonywali nas, że ekran powinien być większy, jaśniejszy i pokazywać więcej informacji. Dzisiaj coraz więcej osób chce dokładnie odwrotnej filozofii. Chce nosić klasyczny zegarek. Mechaniczny. Elegancki. Albo po prostu nie chce być co chwilę odrywany od rzeczywistości kolejnym powiadomieniem.

Opaska bez ekranu niczego nie pokazuje. Niczym nie kusi. Nie rozprasza. Po prostu zbiera dane.

I Garmin w końcu dołączył do tego wyścigu.

Mój dzień z Garmin CIRQA

Wieczorem zakładam opaskę na nadgarstek i... właściwie o niej zapominam.

To zdanie będzie się w tym tekście powtarzało wielokrotnie, bo właśnie to jest największa zaleta CIRQA. Nie próbuje zwracać na siebie uwagi. Nie świeci. Nie pika. Nie pokazuje miliona statystyk. Po prostu pracuje.

Materiał paska jest fenomenalny. Miękki, przyjemny w dotyku, niemal aksamitny. To jeden z tych elementów, których nie da się opisać tabelką ze specyfikacją. Trzeba go po prostu dotknąć. Garmin wykonał tutaj kawał świetnej roboty.

Rano budzi mnie inteligentny budzik.

To jedna z funkcji, która zrobiła na mnie największe wrażenie. Ustawiam pobudkę na godzinę 8:00, ale opaska może obudzić mnie między 7:30 a 8:00 – wtedy, gdy organizm znajduje się w najkorzystniejszej fazie snu. W teorii brzmi to jak marketing. W praktyce... działa zaskakująco dobrze.

Kilka razy złapałem się na tym, że budziłem się wypoczęty i dopiero chwilę później orientowałem się, że do ustawionej godziny zostało jeszcze kilkanaście minut.





To jedna z tych funkcji, których nie docenia się podczas prezentacji produktu, ale po tygodniu użytkowania stają się jednym z najmocniejszych argumentów za korzystaniem z urządzenia.

Potem wszystko dzieje się samo

Śniadanie. Praca przy komputerze. Spotkania. Samochód. Kilka spacerów między biurem a domem.

CIRQA niczego ode mnie nie wymaga.

Nie muszę pamiętać o uruchamianiu pomiarów. Nie muszę zastanawiać się, czy wszystko działa poprawnie. Po prostu żyję swoim rytmem, a opaska zapisuje kolejne dane.

Wieczorem zaglądam do aplikacji i okazuje się, że kroki praktycznie pokrywają się z tym, co przez cały dzień rejestrował Apple Watch. Podobnie wygląda analiza snu. Różnice są naprawdę minimalne.

Co ciekawe, większe rozbieżności widzę względem Amazfit Helio Strap. Tyle że tutaj porównanie nie jest do końca uczciwe. Apple Watch i Garmin znajdują się na nadgarstkach, natomiast Helio noszę na bicepsie. Być może właśnie stąd biorą się różnice w odczytach.



I właśnie dlatego zamówiłem już opaskę naramienną do Garmina. Chcę sprawdzić, jak bardzo zmieni się dokładność pomiarów, gdy oba urządzenia będą pracowały w identycznych warunkach.

Wieczór należy do regeneracji

To moment, kiedy Garmin pokazuje swoją największą siłę.

Body Battery, HRV, jakość snu, poziom regeneracji czy gotowość treningowa od lat należą do najmocniejszych stron ekosystemu Garmina. Widać, że firma od dawna rozwija te algorytmy.

Nie jestem natomiast wielkim fanem samej aplikacji Garmin Connect.

To chyba jedyny element, z którym od lat mam problem. Z jednej strony wydaje się toporna i mało intuicyjna. Z drugiej – potrafi przytłoczyć liczbą danych oraz wskaźników. Mam wrażenie, że projektowano ją przede wszystkim z myślą o zawodowcach i osobach bardzo świadomie analizujących każdy trening.

To nie jest aplikacja, do której początkujący użytkownik wejdzie i od razu wszystko zrozumie.

Z drugiej strony... Garmin od zawsze był synonimem sprzętu dla profesjonalistów. Być może właśnie dlatego wygląda to w ten sposób.

Ten jeden przycisk robi różnicę

Rozmiarowo CIRQA jest niemal bliźniaczo podobna do Amazfit Helio Strap.

Jest jednak jedna rzecz, która bardzo szybko okazuje się ogromnym plusem.

Fizyczny przycisk.

Brzmi banalnie, ale możliwość natychmiastowego rozpoczęcia aktywności bez sięgania po telefon okazuje się niezwykle wygodna. Oczywiście CIRQA potrafi sama rozpoznawać aż 80 różnych aktywności, jednak możliwość ręcznego startu daje poczucie kontroli.



To detal.

Ale bardzo dobrze przemyślany.

Nie wszystko jest idealne

Największym rozczarowaniem okazała się bateria.

Garmin deklaruje nawet 10 dni pracy, ale u mnie realnie kończy się to po 6–8 dniach. To nadal bardzo dobry wynik, jednak Amazfit Helio Strap bez większego problemu potrafi wytrzymać około dwóch tygodni.

Druga rzecz to ładowanie.

Garmin nadal korzysta ze swojego charakterystycznego przewodu. Nigdy go nie polubiłem. Za każdym razem próbuję trafić w odpowiednią pozycję, poprawiam kabel, dociskam go i zastanawiam się, czy już ładuje.

Znacznie bardziej odpowiadają mi rozwiązania magnetyczne, które stosują konkurenci.

Jest jeszcze kwestia Garmin Connect Plus.

Producent słusznie podkreśla, że większość funkcji pozostaje darmowa i rzeczywiście tak jest. Jednak ukrycie wykresu tętna za płatną subskrypcją pozostawia pewien niedosyt. To nie jest funkcja, za





którą spodziewałbym się dodatkowej opłaty po zakupie urządzenia kosztującego blisko 900 zł.

Garmin kontra reszta świata

Nie da się dziś mówić o CIRQA bez porównania do konkurencji.

Whoop był pionierem całej kategorii. Nadal oferuje jedną z najlepszych analiz regeneracji, ale obowiązkowy abonament skutecznie odstrasza wielu użytkowników. Kupujesz urządzenie, a później przez cały czas płacisz za możliwość korzystania z niego.

Garmin wygrywa tutaj zdecydowanie. Kupujesz opaskę i większość funkcji masz od razu dostępnych.

Amazfit Helio Strap pozostaje natomiast królem opłacalności. Jest tańszy, oferuje znakomitą baterię, bardzo dobrze radzi sobie z automatycznym wykrywaniem aktywności i dla wielu osób będzie w pełni wystarczający. Garmin odpowiada jednak znacznie dojrzalszym ekosystemem, bardziej zaawansowaną analizą treningów oraz doskonałą współpracą z pozostałymi urządzeniami marki – od zegarków po liczniki Edge.

Jest jeszcze Fitbit Air.

To najbardziej minimalistyczny zawodnik w tym zestawieniu. Jest mniejszy, lżejszy



i praktycznie znika na nadgarstku. Jeśli ktoś szuka wyłącznie prostego monitora zdrowia, będzie bardzo ciekawą propozycją. Jeżeli jednak zależy nam na bardziej zaawansowanych metrykach treningowych, Garmin pozostaje kilka kroków przed nim.

Pierwsze wrażenia? Bardzo pozytywne

Po kilku dniach użytkowania mam wrażenie, że Garmin zrobił dokładnie taki produkt, jakiego oczekiwałem.

Nie próbuje zastąpić smartwatcha.

Nie konkuruje z klasycznym zegarkiem.

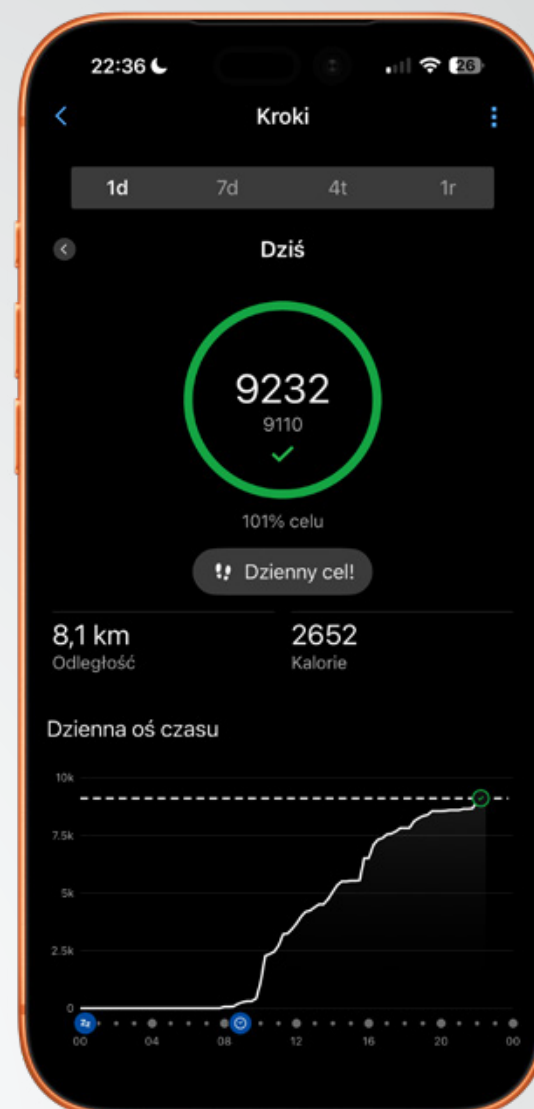
Nie walczy o uwagę użytkownika.

Po prostu zbiera dane, analizuje je i dyskretnie pomaga lepiej zrozumieć własny organizm.

Owszem, chciałbym dłuższej pracy na baterii. Chętnie zobaczyłbym nowocześniejszy sposób ładowania i bardziej przystępną aplikację. Nie podoba mi się również, że część funkcji została schowana za płatnym Garmin Connect Plus.

Jednak kiedy wieczorem zdejmuję z nadgarstka Apple Watcha, a rano przypominam sobie, że przez całą noc miałem na ręce CIRQA... dopiero wtedy dociera do mnie największa zaleta tej opaski.

Najlepszy monitor zdrowia to często taki, którego przez większość dnia po prostu nie zauważamy.





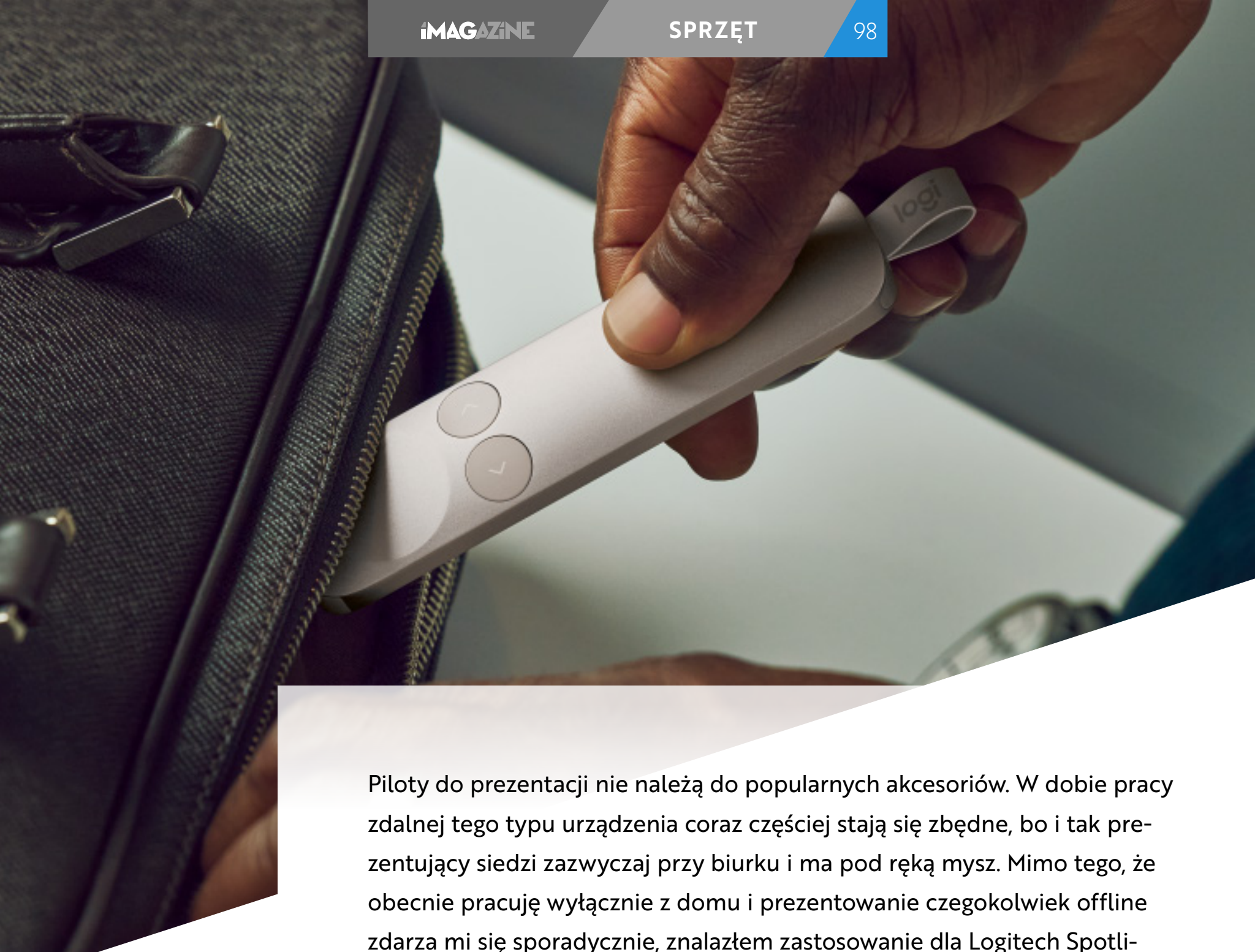
PAWEŁ HAĆ
@pawelhac

Logitech Spotlight 2

– niszowy, ale bezbłędny

Prowadzenie prezentacji jest moją codziennością, dlatego nie chcę zastanawiać się, czy sprzęt, którego do tego używam, mnie nie zawiedzie. Logitech Spotlight 2 wydał mi się więc oczywistym wyborem.





Piloty do prezentacji nie należą do popularnych akcesoriów. W dobie pracy zdalnej tego typu urządzenia coraz częściej stają się zbędne, bo i tak prezentujący siedzi zazwyczaj przy biurku i ma pod ręką mysz. Mimo tego, że obecnie pracuję wyłącznie z domu i prezentowanie czegokolwiek offline zdarza mi się sporadycznie, znalazłem zastosowanie dla Logitech Spotlight 2 również na co dzień. Staram się pracować na stojąco i zdecydowanie łatwiej mi w ten sposób prowadzić prezentację, z tego też powodu trzymany w dłoni pilot wydaje się bardziej intuicyjnym rozwiązaniem niż mysz i klawiatura. Ponadto Spotlight 2 oferuje szerokie możliwości konfiguracji i narzędzia, które ułatwiają prezentację w znacznym stopniu. To wystarczająco dużo, bym sięgał po niego kilka razy w tygodniu.

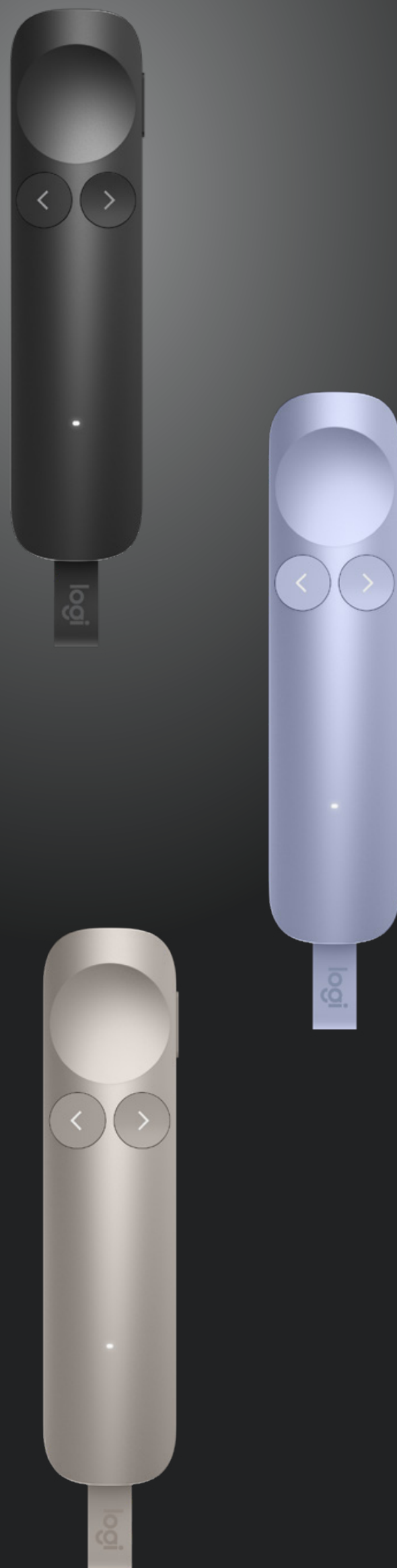
Spotlight 2 to smukłe, zrobione z aluminium urządzenie, które bardzo dobrze leży w dłoni. Na froncie ma dwa przyciski strzałek, w tym jeden wklęsły, by łatwo bezwzrokowo go odróżnić, na boku znalazł się trzeci. Ponadto urządzenie ma powierzchnię wykrywającą dwa stopnie nacisku.

Trzymany w dłoni pilot wydaje się bardziej intuicyjnym rozwiązaniem niż mysz i klawiatura.



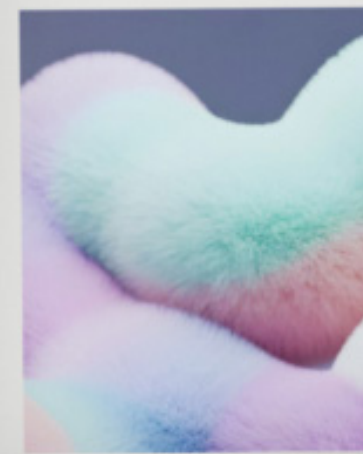
Brzmi to niezbyt spektakularnie, ale w praktyce jest to dokładnie to, czego potrzebuję – to bardzo wyspecjalizowany produkt. Na górze umieszczono wskaźnik laserowy, natomiast na dole mamy port USB, w który wetknięty jest radiowy odbiornik Logi Bolt. Pozwala on podłączyć się szybko do komputera, bez konieczności parowania przez Bluetooth. Co prawda, by korzystać z wszystkich możliwości pilota, potrzebne jest i tak oprogramowanie Logi Options+, niemniej warto pamiętać, że korporacyjne reguły bezpieczeństwa bądź konfiguracje sprzętowe laptopów mogą uniemożliwiać użycie Bluetooth – odbiornik radiowy pozwala to obejść. Niestety, port USB umieszczony jest głęboko w obudowie, a w komplecie nie dostajemy żadnej sztywnej przejściówki, która pozwalałaby wygodnie się do niego podłączyć. Przez to ładowanie nie należy do wygodnych, i choć bateria wystarcza nawet na trzy miesiące regularnego używania, to wciąż kiedyś trzeba to robić.

Logi Options+ daje wiele możliwości dostosowania sprzętu do potrzeb użytkownika, jednak w przypadku Spotlight 2 trzeba mieć na uwadze to, że nie jest to mysz, a zupełnie inne urządzenie. Nadal mamy opcję zapisania odrębnych ustawień dla każdej aplikacji, z jakiej korzystamy, na tym podobieństwa się

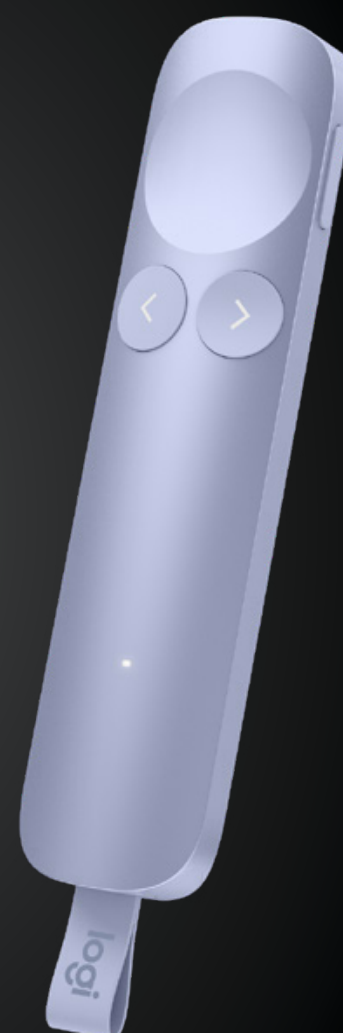


1 SCULPTED CLOUD

A luxurious high-pile textile with dimensional color that shift across the surface, providing cloud-like softness while maintaining a refined aesthetic that brings depth and tactile richness to contemporary seating design.



jednak kończą. Przyciski pilota są programowalne, ale lista akcji jest zdecydowanie krótsza. Strzałki standardowo przełączają slajdy, przytrzymanie cofania może natomiast wywołać szybkie przewijanie w obie strony bądź sterowanie głośnością. Boczny przycisk akcji ma z kolei na stałe przypisanie włączanie lasera przez dłuższe przytrzymanie, domyślne kliknięcie wywołuje natomiast tryb prezentacji. Alternatywnie może ono wyłączyć ekran, wywołać skrót klawiszowy bądź automatyzację stworzoną w Logi Options+. W przypadku prezentowania to dokładnie to, czego potrzebuję, mimo niewielu dostępnych akcji nie odczuwam jakiegokolwiek braku. Podwójne kliknięcie włącza tryb skupienia, pozwalający się wyciszyć, ćwicząc oddech. Pilot wibruje w rękach sygnalizując, jak oddychać – to proste, ale wydaje się przydatne (choć sam nie odczułem potrzeby, by skorzystać





z tej funkcji po tym, gdy już sprawdziłem, jak działa). Warto wspomnieć przy okazji o haptyce urządzenia. Pilot potrafi sygnalizować w ten sposób zarówno wciśnięcie powierzchni dotykowej, jak i wspomagać trening oddechowy czy sygnalizować o upływającym czasie. Timer to bardzo przydatna funkcja, pozwala ustawić alerty, gdy do końca pozostał nam określony czas. Można ustawić ich kilka, dzięki czemu łatwiej zapanować nad tempem i długością odpowiednich sekcji.

Tryb podświetlania treści ekranu wymaga osobnego komentarza. Lekkie wciśnięcie powierzchni dotykowej zaczyna wyświetlać na ekranie wirtualny wskaźnik laserowy. Możemy oczywiście zmienić jego wielkość i kolor, da się też przestawić sposób jego działania na sterowanie kursorem. Z uwagi na precyzję sterowania za pomocą żyroskopu nie uważam tego za najwygodniejszy sposób na interakcję z treścią na ekranie, zdecydowanie nie sprawdzi się on, gdy robimy demo czegoś, co wymaga więcej niż dwóch kliknięć. Wystarczy natomiast do tego, by kliknąć na link czy uruchomić odtwarzacz wideo. Bardziej interesująco robi się po mocniejszym przyciśnięciu kciuka. Aktywuje ono tryb wyróżniania treści na ekranie, oferujący kilka różnych sposobów działania. Podstawowy z nich, czyli Spotlight, zaciemnia ekran z wyjątkiem wskazywanego aktualnie obszaru. Alternatywny Squarelight działa podobnie, ale robimy w nim prostokątne



zaznaczenie, które znika dopiero po ponownym przyciśnięciu palca. Mamy też lupę oraz rysowanie po ekranie. Każda z tych funkcji oferuje dodatkowe opcje konfiguracji, takie jak przejrzystość tła czy wielkość wyróżnianej powierzchni. Każdą z nich uważam za przemyślaną i praktyczną, natomiast brakuje mi możliwości przełączania się między nimi podczas prezentowania, na przykład poprzez wciśnięcie przycisku akcji.

Musiąłem przyzwyczaić się do Spotlight 2, bo, choć wcześniej korzystałem z pilotów do prezentacji, to żaden nie oferował tylu możliwości. Logitech dobrze zna potrzeby pracowników biurowych i dostarcza jedynie to, co naprawdę się przydaje. Zdaję sobie sprawę z tego, jak niszowe jest to urządzenie, niemniej jeśli prezentacje są czyjąś codziennością, powinien docenić możliwości, jakie daje. Nawet jeśli odbywają się one online.



Logitech Spotlight 2



- Design: 5,5/6
- Jakość wykonania: 5,5/6
- Oprogramowanie: 5/6
- Wydajność: 5/6

+ Plusy:

- bardzo intuicyjna obsługa
- praktyczne i wygodne funkcje wyróżniania
- precyzja działania

– Minusy:

- niewygodny dostęp do portu USB

Cena: około 550 PLN





DOMINIK ŁADA
[@dominiklada](#)

Withings BPM Vision

– technologia, która przypomina o tym, co naprawdę ważne

Od blisko dwudziestu lat w iMagazine opisujemy technologie. Przez nasze ręce przewinęły się setki smartfonów, komputerów, zegarków, słuchawek i innych gadżetów. Większość z nich sprawiała, że pracowało się szybciej, wygodniej albo po prostu przyjemniej. Im dłużej jednak zajmuję się technologią, tym bardziej dochodzę do wniosku, że jej najważniejszym zadaniem wcale nie jest dostarczanie rozrywki czy zwiększanie wydajności. Największą wartość ma wtedy, gdy pomaga nam zadbać o zdrowie.



To właśnie dlatego od kilku lat z ogromnym zainteresowaniem obserwuję rozwój urządzeń medycznych. Mam wręcz wrażenie, że to obecnie jedna z najciekawszych kategorii elektroniki użytkowej. Być może to kwestia wieku, a może po prostu dojrzewania do myśli, że zdrowia nie da się kupić. Można jednak kupić urządzenia, które pomagają o nie świadomie zadbać.

Withings od lat jest dla mnie właśnie taką marką. Pamiętam ich pierwsze inteligentne wagi jeszcze z czasów, gdy większość producentów dopiero zastanawiała się, czy dane zdrowotne mają jakąkolwiek wartość. Dziś

portfolio firmy obejmuje praktycznie wszystkie najważniejsze obszary monitorowania organizmu – od inteligentnych wag Body Scan i Body Smart, przez zegarki ScanWatch, monitor snu Sleep Analyzer, termometr Thermo i domowe centrum diagnostyczne BeamO, aż po ciśnieniomierze. Wszystkie te urządzenia łączy jedna filozofia – nie próbują zastąpić lekarza. Dostarczają rzetelnych danych, które pomagają wcześniej zauważyć zmiany zachodzące w naszym organizmie.

Najnowszy BPM Vision jest chyba najlepszym przykładem takiego podejścia.

W moim przypadku spojrzenie na technologię zmieniło się w ciągu ostatnich kilkunastu miesięcy. Problemy z kręgosłupem sprawiły, że zacząłem jeszcze bardziej świadomie podchodzić do zdrowia. Regularnie analizuję jakość snu, kontroluję wagę i skład

ciała, zwracam uwagę na regenerację, aktywność fizyczną czy tętno. Nie dlatego, że nagle stałem się hipochondrykiem. Wręcz przeciwnie. Chcę jak najdłużej pozostać aktywny – jeździć na rowerze, pływać, podróżować i testować nowe technologie. A do tego potrzebny jest sprawny organizm.

Właśnie dlatego coraz bardziej doceniam urządzenia, które pomagają monitorować zdrowie bez robienia z tego wielkiego wydarzenia. Pomiar trwa kilkadziesiąt sekund, zapisuje się automatycznie, a po kilku miesiącach zaczynamy dostrzegać pewne schematy. To wiedza, której nie da się

Regularnie analizuję jakość snu, kontroluję wagę i skład ciała, zwracam uwagę na regenerację, aktywność fizyczną czy tętno. Nie dlatego, że nagle stałem się hipochondrykiem. Wręcz przeciwnie. Chcę jak najdłużej pozostać aktywny...





uzyskać podczas jednej wizyty u lekarza. I właśnie w tym miejscu technologia może być ogromnym wsparciem – nie zastępując specjalisty, ale dostarczając mu znacznie pełniejszego obrazu naszego zdrowia.

Dobra wiadomość? Sprzedaje się błyskawicznie

Jest pewna rzecz, która ucieszyła mnie jeszcze zanim BPM Vision trafił na moje biurko.

Urządzenie praktycznie wszędzie wyprzedaje się błyskawicznie. Kolejne dostawy znikają niemal natychmiast po pojawieniu się w sklepach.

Można oczywiście powiedzieć, że producent nie doszacował zainteresowania. Ja wolę patrzeć na to zupełnie inaczej. To oznacza, że coraz więcej osób zaczyna traktować profilaktykę równie poważnie jak zakup nowego smartfona czy smartwatcha.

I bardzo dobrze.

Od lat powtarzamy, że warto więcej się ruszać, lepiej spać i zdrowiej się odżywiać. Regularny pomiar ciśnienia powinien być równie naturalnym elementem dbania o siebie. Zwłaszcza że nadciśnienie przez długi czas potrafi nie dawać żadnych objawów, a jednocześnie pozostaje jednym



z najważniejszych czynników ryzyka zawału serca, udaru mózgu czy niewydolności krążenia.

Serce naprawdę rzadko daje drugą szansę.

To certyfikowane urządzenie medyczne. I to robi ogromną różnicę

W świecie elektroniki bardzo łatwo zatrzeć granicę między gadżetem a sprzętem medycznym.

Withings BPM Vision wygląda nowocześnie. Ma elegancką obudowę, świetny, 2,8-calowy kolorowy wyświetlacz, wzorowo zaprojektowaną aplikację i wszystkie cechy urządzenia premium. Łatwo więc zapomnieć o tym, co najważniejsze.

To certyfikowane urządzenie medyczne

Nie gadżet inspirowany medycyną. Nie urządzenie pokazujące orientacyjne wyniki.

To sprzęt stworzony zgodnie z rygorystycznymi standardami medycznymi, którego zadaniem jest wykonywanie wiarygodnych i powtarzalnych pomiarów ciśnienia tętniczego. W przypadku zdrowia właśnie to ma największe znaczenie. Wynik ma być nie tylko szybki, ale przede wszystkim dokładny.

Wreszcie ciśnieniomierz, z którego chce się korzystać

Największym problemem większości ciśnieniomierzy nie jest ich dokładność.

Problem polega na tym, że po kilku tygodniach trafiają do szuflady.

Withings bardzo dobrze to zrozumiał.

BPM Vision stoi na biurku lub komodzie i zachęca do wykonania pomiaru. Duży kolorowy ekran jest doskonale czytelny nawet dla osób starszych. Wyniki prezentowane są w prosty sposób, a kolorowe oznaczenia natychmiast pokazują, czy ciśnienie mieści się w zalecanych normach.



Nie trzeba wyciągać telefonu ani zastanawiać się, co oznaczają poszczególne wartości.

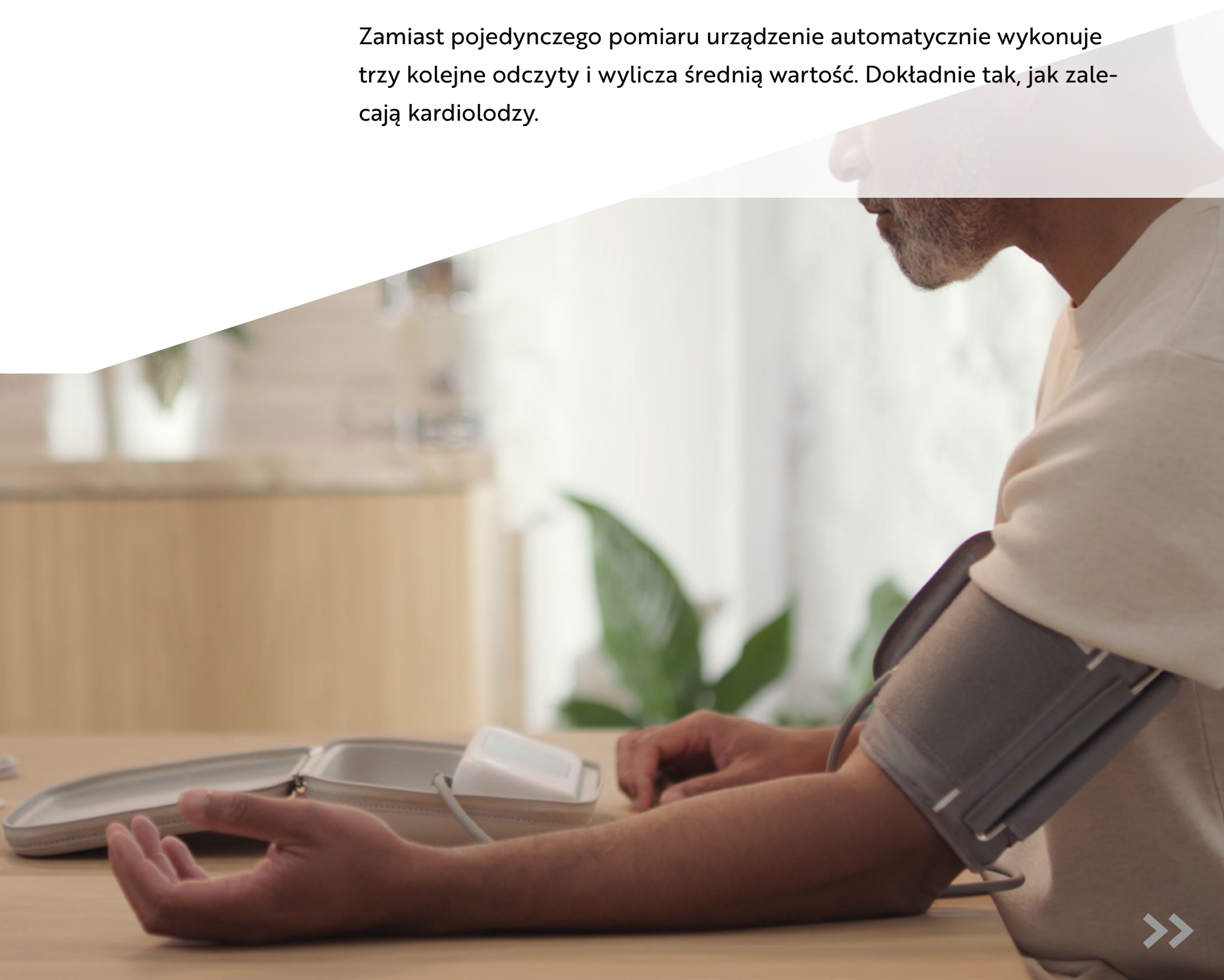
Do tego urządzenie pracuje wyjątkowo cicho, ma akumulator wystarczający nawet na rok pracy na jednym ładowaniu przez USB-C i obsługuje do ośmiu użytkowników oraz tryb gościa. Dzięki temu z jednego urządzenia może korzystać praktycznie cała rodzina.

To właśnie takie drobiazgi sprawiają, że z BPM Vision naprawdę chce się korzystać.

Trzy pomiary są lepsze niż jeden

Jedną z funkcji, która najbardziej przypadła mi do gustu, jest Triple Trust.

Zamiast pojedynczego pomiaru urządzenie automatycznie wykonuje trzy kolejne odczyty i wylicza średnią wartość. Dokładnie tak, jak zalecają kardiolodzy.





Brzmi niepozornie, ale w praktyce eliminuje wiele błędów wynikających ze stresu, rozmowy czy zwykłego pośpiechu. Nie musimy pamiętać o wykonaniu kolejnych pomiarów. BPM Vision robi to za nas.

To jeden z tych elementów, o których szybko przestajemy myśleć, ale bardzo trudno byłoby później z nich zrezygnować.

EKG jako dodatkowa warstwa bezpieczeństwa

Drugą ważną funkcją jest możliwość wykonania 30-sekundowego badania EKG poprzez przyłożenie palców do elektrod umieszczonych na urządzeniu.

Oczywiście nie zastąpi ono lekarza ani profesjonalnej diagnostyki. Trzeba też uczciwie wspomnieć, że w pierwszych zagranicznych testach zdarzały się sytuacje, w których pomiar EKG wymagał ponownego wykonania.

Nie zmienia to jednak faktu, że możliwość wykonania takiego badania w domu jest ogromną wartością. Jeśli urządzenie zwróci uwagę na potencjalne migotanie przedsionków i zachęci użytkownika do szybszej konsultacji z kardiologiem, to już spełniło swoją rolę.



Ekosystem, którego konkurencja może pozazdrościć

Od kilku lat korzystam z różnych urządzeń Withings i właśnie tutaj widzę największą przewagę tej marki.

BPM Vision nie jest samotnym produktem.

Jest kolejnym elementem bardzo przemyślanego ekosystemu zdrowotnego.

Na co dzień korzystam z wagi Body Scan, monitora snu Sleep Analyzer, urządzenia BeamO, bezdotykowego termometru Thermo oraz zegarków Scan-Watch. Każde z tych urządzeń odpowiada za inny element naszego zdrowia.

Nagle przestajemy patrzeć na pojedyncze liczby, a zaczynamy obserwować cały organizm.

Dopiero kiedy wszystkie dane trafiają do jednej aplikacji, zaczynamy dostrzegać zależności. Gorszy sen wpływa na regenerację. Wyższe ciśnienie często pojawia się w bardziej stresujących okresach. Zmiany masy ciała mają swoje odbicie w innych parametrach organizmu.

Nagle przestajemy patrzeć na pojedyncze liczby, a zaczynamy obserwować cały organizm.

I właśnie to najbardziej podoba mi się w filozofii Withings.

Wszystko zapisuje się samo

Synchronizacja przez Wi-Fi i Bluetooth działa dokładnie tak, jak powinna.

Wykonuję pomiar i po chwili wszystko znajduje się w aplikacji Withings, dostępnej również w języku polskim. Mogę śledzić historię wyników, analizować trendy albo wygenerować raport PDF, który bez problemu wyślę lekarzowi jeszcze przed wizytą.





Dla najbardziej wymagających użytkowników przygotowano również usługę Withings+, oferującą bardziej rozbudowane analizy zdrowotne, konsultacje kardiologiczne online i dodatkowe interpretacje wyników. Co jednak najważniejsze, do codziennego korzystania z BPM Vision żadna subskrypcja nie jest potrzebna. Podstawowe funkcje pozostają całkowicie darmowe.

Tak właśnie powinna wyglądać technologia

BPM Vision nie jest najtańszym ciśnieniomierzem na rynku.

Można kupić prostsze urządzenia za znacznie mniejsze pieniądze.

Ale podobnie jak w przypadku smartwatchy czy inteligentnych wag, nie płacimy tutaj wyłącznie za sam pomiar. Płacimy za jakość wykonania, komfort codziennego użytkowania, świetnie zaprojektowaną aplikację, integrację z całym ekosystemem zdrowotnym i przede wszystkim za zaufanie do wyników.

Czy ma wady? Oczywiście. Jest większy od poprzedniego BPM Connect, przyciski mogłyby być podświetlane, a historia pomiarów mogłaby być dostępna również bezpośrednio na ekranie urządzenia. Funkcja EKG także nie zawsze działa idealnie za pierwszym razem.

To jednak drobiazgi.



Po kilku dniach z BPM Vision mam przede wszystkim poczucie, że Withings po raz kolejny pokazał, iż technologia nie musi być spektakularna, żeby była naprawdę wartościowa.

Mam nadzieję, że BPM Vision będzie sprzedawał się równie dobrze jeszcze przez wiele miesięcy. Nie dlatego, że życzę Withings kolejnego sukcesu sprzedażowego – choć z pewnością na niego zasłużyli. Chciałbym po prostu wierzyć, że coraz więcej z nas zaczyna traktować dbanie o serce nie jako reakcję na chorobę, ale jako codzienny nawyk.

Nowy telefon kupimy za dwa czy trzy lata. Smartwatch wymienimy za pięć. O zdrowe serce warto zadbać już dziś.

Bo najlepsza technologia to nie ta, która ma najwięcej funkcji. Najlepsza technologia to ta, która sprawia, że możemy dłużej cieszyć się życiem.

I właśnie dlatego uważam, że Withings BPM Vision jest jednym z najważniejszych urządzeń, jakie trafiły na mój testowy stół w tym roku.





PAWEŁ HAĆ
@pawelhac

XGIMI Titan Noir Max – ewolucja w dobrą stronę

Większość dostępnych na rynku projektorów oferuje funkcje smart, pozwalające na przykład korzystać z aplikacji do streamingu bezpośrednio na urządzeniu. XGIMI w modelu Titan Noir Max obiera jednak inny kierunek. Sprzęt opiera się na autorskim oprogramowaniu producenta, które skupia się w pełni na ustawieniach obrazu.





W szerokiej ofercie projektorów XGIMI linia Titan zajmuje szczególne miejsce. Pod względem gabarytów to wciąż masywna konstrukcja, ważąca 11,5 kilograma, ale wersja Noir Max zyskała ciemne wykończenie obudowy, które dobrze wtapia się w zaciemnione pomieszczenie. Aluminiowe podstawki czynią projektor optycznie lżejszym, jednocześnie poprawiając cyrkulację powietrza pod obudową. Z uwagi na masę urządzenia trzeba będzie skorzystać z dedykowanego uchwytu lub stojaka, by bezpiecznie zamocować go w miejscu innym niż blat. Kształt obudowy jest klasyczny, zrobiono ją z aluminium, a na froncie, oprócz dużej soczewki, znajdują się czujniki do kalibracji, wykrywania osób oraz maskownica głośników. Z tyłu umieszczono obszerny zestaw portów: trzy gniazda HDMI (w tym jedno eARC), dwa USB-A (jedno w standardzie 3.0), złącze optyczne, Ethernet oraz mini Jack. Do sterowania potrzebujemy pilota, a ten dołączony do zestawu ma identyczny układ jak w bazowym modelu i podświetlane klawisze. W komplecie dostajemy jeszcze dużą walizkę, idealną do transportowania i przechowywania urządzenia.

Jak już wspomniałem, najbardziej specyficzną cechą modelu Titan Noir Max jest brak klasycznego systemu Smart TV. Oprogramowanie służy głównie jako bardzo rozbudowane narzędzie do konfiguracji i kalibracji parametrów wyświetlania. Aby cieszyć się dostępem do serwisów streamingowych, należy podłączyć zewnętrzne urządzenie pokroju Apple TV. Tę niedogodność system nadrabia mnogością opcji. Titan Noir Max nadal wykorzystuje sztuczną





inteligencję do optymalizacji kontrastu, a w tej wersji sprzętowej wspiera ją dodatkowo nowa, dynamiczna przysłona, która zauważalnie pogłębia czerń w ciemniejszych scenach. Dźwięk również doczekał się poprawek, system audio od Harman/Kardon zyskał bowiem rozbudowany korektor graficzny, pozwalający na ręczne dopasowanie brzmienia do własnych preferencji. Jeśli jesteśmy już przy dźwięku, to warto wspomnieć o tym, jaki wydaje (a właściwie, jakiego nie wydaje) projektor podczas pracy. Jest tak cichy, że zastanawiałem się, czy aby na pewno jego chłodzenie działa, a jedynie podczas startu wentylatory przez chwilę mają wyższe obroty.

Równie interesująco prezentują się opcje związane z optyką. XGIMI zastosowało obiektyw złożony z 15 soczewek. Projektor dysponuje bezstratnym zoomem optycznym oraz funkcją lens shift, co pozwala na fizyczne przesunięcie obrazu zarówno w pionie, jak i w poziomie bez utraty jakości. Funkcje te mogą działać w sposób w pełni zautomatyzowany dzięki zestawowi wbudowanych czujników, ale korekcja manualna też jest oczywiście możliwa. Cały proces zajmuje chwilę, ale efekty kalibracji i korekty są bardzo satysfakcjonujące.

W kwestii parametrów wyświetlania XGIMI Titan Noir Max przynosi ogromne zmiany. To wciąż projektor DLP 4K, jednak wykorzystano tu nową matrycę 0.47 cala w technologii SST. Współpracuje



ona z nowoczesnym źródłem światła opartym na potrójnym laserze RGB. Zapewniło to wzrost jasności szczytowej do wysokiego poziomu 7000 ISO lumenów i świetne pokrycie barw: aż 110% palety BT.2020. Największą różnicą względem poprzedników jest jednak poziom kontrastu. Mechanizm podwójnej przysłony zlokalizowany wewnątrz układu optycznego skutecznie odcina niechciane światło, co mocno poprawia głębię czerni. Dodatkowo usprawniono tryb gry: obsługa odświeżania 240 Hz w rozdzielczości 1080p, zaledwie 1 ms opóźnienia, a także wsparcie dla VRR i ALLM sprawiają, że sprzęt dobrze sprawdza się w grach, choć opóźnienia wciąż są zauważalne w tych najbardziej dynamicznych tytułach.

Nowy model utwierdza w przekonaniu, że jest to urządzenie dla wymagających kinomaniaków. XGIMI Titan Noir Max zachował bardzo wysoką ostrość obrazu, zyskując jednocześnie lepszą czerń i znakomitą reprodukcję kolorów dzięki potrójnemu laserowi RGB. Zastosowanie autorskiego systemu może wskazywać, że priorytetem producenta była tym razem bezkompromisowa jakość optyki, a nie funkcje multimedialne. Jako użytkownik wolalbym jednak zobaczyć tu Google TV, z którym XGIMI ma już przecież duże doświadczenie.

XGIMI Titan Noir Max



- Design: 5,5/6
- Jakość wykonania: 6/6
- Oprogramowanie: 4/6
- Wydajność: 6/6

+ Plusy:

- bardzo dobra jakość i wysoka jasność obrazu
- ruchoma soczewka ułatwiająca dostosowanie obrazu
- bardzo cicha praca

- Minusy:

- wysoka waga i gabaryty wymagające stabilnego montażu
- brak systemu smart

Cena: 18 999 PLN

Dostępne w Top Hi-Fi & Video Design





PAWEŁ OKOPIEŃ
[@paweloko](#)

Samsung S90H – szach-mat!

Niech tytuł tej recenzji, mający podwójne dno będzie najlepszą minirecenzją testowanego telewizora. Samsung S90H to model telewizora, który każdy, naprawdę każdy, szukający ekranu w 2026 roku i z pewnością w pierwszych miesiącach 2027 roku będzie musiał brać pod uwagę. A jeśli tego nie zrobi, to popełni olbrzymi błąd.





Rynek telewizorów to setki modeli, w przeróżnych calach od kilku producentów. W rzeczywistości jednak jak chce się kupić dobry telewizor na lata, to lista ta zawęży się do raptem paru modeli i 2–3 firm, w tym pierwsze skrzypce wciąż grają dwie firmy na S. W dodatku, choć jeszcze 6 lat temu sceptycznie podchodziłem do rekomendacji telewizorów OLED ze względu na ich niską jasność czy żywotność paneli, dziś sytuacja jest już odmienna. I zakup innego telewizora niż OLED ma sens tylko, jeśli nasz budżet to mniej niż 2500 złotych lub chcemy kupić telewizor o przekątnej 98 cali i większej. A Samsung S90H tylko to potwierdza.

Spadek popytu na telewizory sprawił, że opóźnione są sprawdzone schematy. Pierwszy raz nowe telewizory Samsunga standardowo zostały pokazane w pierwszych dniach stycznia podczas targów CES w Las Vegas, polska premiera połączona z warsztatami dla dziennikarzy miała miejsce pod koniec maja, a ekrany do sprzedaży zaczęły trafiać właściwie w czerwcu. To sprawia też, że opisywany teraz Samsung S90H jest właściwie „świeżakiem”, wartym uwagi już teraz, ale realnie to model, na który warto czaić się szczególnie od października, kiedy sklepy pozbędą się jego poprzednika. I tak dziś 55-calowy S90F jesteśmy w stanie nabyć



za 3500 złotych, a w szerokiej dystrybucji nowy model QE55S90H dostępny jest od 7499 złotych. Czyli ponad 100% drożej. Jednocześnie musimy zaznaczyć, że nikt nie da nam gwarancji, że za rok S90H będzie tak tani, elektronika ma obecnie tendencję do wzrostu cen, a Samsung zamyka swoją słowacką fabrykę. Więc należy spodziewać się, że rosnące koszty produkcji i ograniczenie mocy produkcyjnych sprawi, że firma i dystrybutorzy nie będą za wszelką cenę wypychać telewizory po niskich cenach. Niemniej wierzę, że S90H będzie jednym z najbardziej opłacalnych i najciekawszych telewizorów tego roku.

Jaki jest więc S90H? Matowy – i to jest najważniejsza informacja. I to największa nowość względem poprzednika, poza faktem, że jest od niego jeszcze jaśniejszy. Do tej pory matowy ekran Samsung montował we flagowym modelu OLED oraz w telewizorach The Frame (tam ten mat jest jeszcze mocniejszy). Ta zmiana sprawia, że S90H staje się nie tylko świetnym telewizorem do kina domowego, ale też świetnym uniwersalnym telewizorem do salonu. W nocy czy po zaciemnieniu pokoju możemy cieszyć się obrazem z fantastyczną plastyką, nieograniczonym kontrastem, niezłym



eraz odtwarzane

Brak sygnału

NETFLIX

prime
video

Disney+

YouTube

Apple TV

CANAL+

sweet
tv

sky

MEGOGO

SmartThings

Baidu

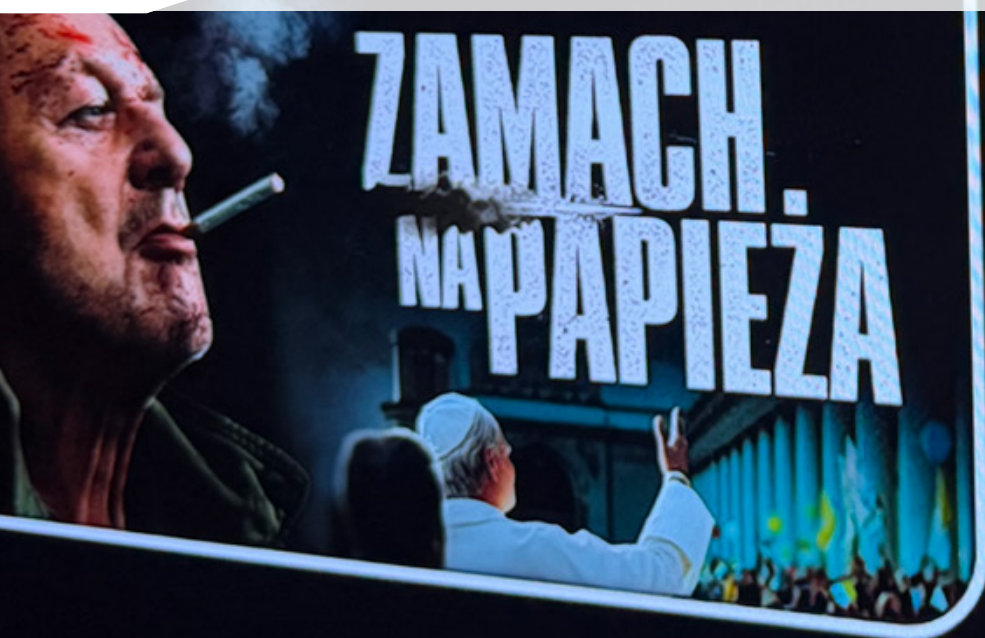
efektem HDR, dobrze odwzorowanymi kolorami. A w dzień oczywiście tracimy pełnię tych doświadczeń, na szczęście w niewielkim stopniu i nasłonecznione pomieszczenie, promienie padające na ekran, odbicia okien... przestają być problemem. To gigantyczna zmiana komfortu oglądania, a jednocześnie możliwość cieszenia się telewizorem OLED, gdzie w wielu modelach to właśnie korzystanie z ekranu z organiczną matrycą w dzień było tym, co dyskwalifikowało taki ekran z domowego zacisza.

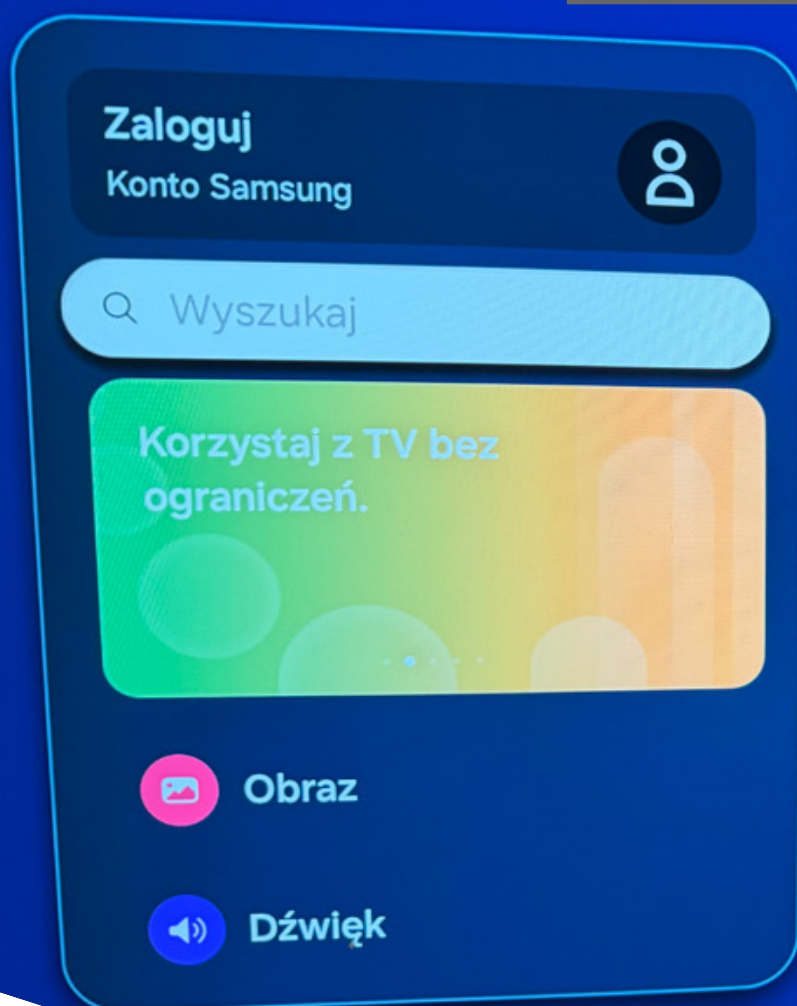
W przypadku S90H Samsung zastosował w testowanym przeze mnie, 55-calowym egzemplarzu matrycę WOLED od LG Display. I taki ekran trafił do niemal wszystkich przekątnych tego modelu (czyli 42, 48, 55, 65 i 83 cale). Jedynie w 77-calowym telewizorze zastosowano QD-OLED od Samsung Display, co czyni model 77-calowy jeszcze bardziej interesującym. Jeśli zobaczycie szczegółowe testy chociażby wybierz.tv czy zagranicznych redakcji, to wnioski będą wszędzie podobne – S90H to bardzo dobry telewizor klasy wyższej-średniej niezależnie od przekątnej i zastosowanej matrycy. W przypadku Samsunga, aby cieszyć się lepszym obrazem, trzeba sięgnąć po model S99H lub S95H oraz modele LG G6 i Sony Bravia II. A to już modele dla miłośników kina, high-endowej jakości i technologicznych niuansów. Obraz, jaki oferuje S90H na co dzień, zwłaszcza przy wygaszonym świetle, dla większości będzie więcej niż satysfakcjonujący.



I to niezależnie, czy jest się „ignorantem”, który wybierze jeden z domyślnych trybów, sięgnie po tryby wykorzystujące mechanizmy AI, wybierze tryb filmowy, czy skorzysta z profesjonalnej kalibracji. Po prostu, gdy szukamy telewizora z doskonałym obrazem na lata, S90H jest (a właściwie będzie, gdy rynek skoryguje cenę) dobrym wyborem.

Oprócz wysokiej jakości obrazu otrzymujemy przyzwoitą jakość dźwięku, chociaż tu zawsze rekomenduję zakup soundbara lub sięgnięcie po inne rozwiązania audio mniej lub bardziej zaawansowane, dopasowane do potrzeb. Ale przede wszystkim Samsung S90H to szybki i stabilny Smart TV. Koreański producent od lat nie dostarcza klasycznych pilotów do swoich urządzeń. Mamy mały pilot, z szybkim,





Kabel Antena: odłączono

(1) Podłącz kabel Antena, aby oglądać TV na żywo.

naciśnąć przycisk Podłączone urządzenia poniżej, aby wybrać podłączone źródło.

Podłączone urząd...

sponsorowanym dostępem do Netfliksa, Prime Video i YouTube oraz przyciski do nawigacji, na tylnej ścianie panel do ładowania solarnego, a na dole port USB-C. Wciąż uważam, że firma mogłaby w takich modelach jak S90H i flagowych zastosować pilot choćby z aluminiową obudową, coś bardziej premium, ale ten jest bardzo wygodny. I chociaż sam jestem orędownikiem po konfiguracji przejścia na przystawkę Apple TV, jeśli się na to nie zdecydujecie, Samsung zaskoczy was czytelnym interfejsem, bogactwem i różnorodnością aplikacji (w tym chociażby Xbox GamePass Cloud do grania w gry w chmurze czy dostępem zdalnym do komputera), atrakcyjnymi wizualnie wygaszaczami oraz mnóstwem funkcji AI. Niestety, jestem stetryczna i dla mnie te funkcje AI w telewizorze to wodotryski i lubię obraz i dźwięk jak najbliższy wersji źródłowej, ale dla wielu te opcje będą naprawdę przydatne. Uważam, że najbardziej unikalnym rozwiązaniem jest automatyczne zwiększanie głośności dialogów, gdy telewizor wykryje hałas. Koniec irytacji w momencie, gdy inni domownicy uruchomią mikser, odkurzacz pionowy etc.

Samsung S90H ma wady czysto teoretyczne. Brak wsparcia dla Dolby Vision jest tą najczęściej podawaną. Samsung uparcie nie wykupuje licencji



na ten format i ta taktyka do tej pory opłaca się. Dziś coraz więcej serwisów streamingowych chętniej udostępnia treści HDR w formacie HDR10+, włączając w to sam efekt HDR uzyskiwany przez TV należy ten problem pominąć. Podobnie sytuacja ma się z formatami dźwiękowymi, brakuje chociażby DTS:X i ograniczenia w niektórych formatach Dolby – tylko że wszystkie te formaty mają sens w momencie, gdy korzystamy z porządnego systemu audio.

Czy kupiłbym Samsunga S90H? Osobiście czaję się na S99H ze względu na unikalny design i jeszcze wyższą jasność. W momencie pisania tego tekstu zamiast S90H poleciłbym prawdopodobnie zeszłorocznego flagowca S95F z racji na korzystniejszą cenę. A tym, którzy nie potrzebują matowej matrycy i wyższej jasności, poleciłbym zeszłoroczny model. Ale ta sytuacja z tygodnia na tydzień będzie się zmieniać na korzyść S90H. To jeden z najciekawszych nowych modeli 2026 na rynku.





WOJTEK PIETRUSIEWICZ
[@moriDn](#)

Porsche Cayenne E-Hybrid – jak to działa i czy to ma sens?

Zaawansowana technologia ma sens tylko wtedy, gdy staje się dla nas „przezroczysta”. Gdy wsiadasz do samochodu, używasz go jak każdy inny i nie musisz się zastanawiać, jak to działa, to wtedy wszystkie elementy układają się w logiczną całość.





Egzemplarz testowy Cayenne e-hybrid skonfigurowano w lakierze Vanadium Grey Metallic z wnętrzem Basalt Black, które pięknie kontrastuje z głęboką czerwienią Barrique Red. Ten model katalogowo kosztuje 578 tys. PLN, ale dołożono mu opcji za 123 807 PLN, więc finalny cios to 701 807 PLN.

Bateria, która robi różnicę

Zacznijmy od tego, co jest absolutnym fundamentem w hybrydzie plug-in. Na pokładzie mamy tu akumulator wysokonapięciowy o pojemności brutto 25,9 kWh. Co to oznacza w codziennym użytkowaniu? Zasięg w cyklu miejskim deklarowany jest na 88 km. Dla wielu ma to sens – cały tydzień przecież dojeżdżamy do biura, robimy zakupy i odbieramy dzieciaki ze szkoły, nie musząc przy tym w ogóle budzić do życia jednostki spalinowej. A gdy już przyjdzie moment na



uzupełnienie elektronów, zintegrowana ładowarka prądu przemiennego (AC) o mocy 11 kW pozwala napełnić baterię od zera do pełna w niecałe 3 godziny.

E-Hybrid

Zajrzyjmy głębiej do układu napędowego, bo to tutaj znajdują się najciekawsze techniczne aspekty tego auta. Pod maską drzemie 3-litrowe V6, które bez elektrycznego wspomagania oferuje wystarczające osiągi dla większości z nas. Mówimy o jednostce wyposażonej w bezpośredni wtrysk benzyny (DFI) oraz turbosprężarkę typu twin-scroll, która dba o błyskawiczną reakcję na gaz. Wspomaga to układ VarioCam Plus, płynnie żonglujący fazami rozrządu. Pomimo że, realnie rzecz biorąc, jest to napęd wystarczający, wielu z nas oczekuje czegoś więcej. V8-ki najlepiej. Generującej dreszczyk emocji. Chcemy mieć ciastko i zjeść ciastko. Finalnie jednak to ciasto znika na stacji benzynowej, szczególnie w dzisiejszych czasach.





To właśnie tutaj z pomocą przychodzi bateria i układ hybrydowy. Pomędzy silnikiem a 8-biegową przekładnią automatyczną siedzi elektryczny silnik generujący 130 kW (176 KM) i 460 Nm momentu. Fuzja tych dwóch światów daje nam systemowe 470 KM i 650 Nm, a to już potrafi wygenerować mrowienie na plecach podczas przyspieszania. Jednak moc to nie wszystko – kluczowe jest to, jak moc przenoszona jest na asfalt. Dbą o to system Porsche Traction Management (PTM) – aktywny napęd na cztery koła z elektronicznie sterowanym sprzęgłem wielopłytkowym, który w milisekundach potrafi żonglować niutonometrami między osiami. Skutek? Z obowiązkowym pakietem Sport Chrono ten 2,5-tonowy kolos łamie barierę 100 km/h w 4,9 sekundy.

Trybów funkcjonowania tego napędu jest kilka, ale realnie rzecz biorąc, będziemy korzystali z dwóch – pełnego trybu EV, gdzie silnik spalinowy nie jest niepokojony, oraz standardowego trybu hybrydowego, gdzie to samochód decyduje, kiedy i co jest wykorzystywane. W praktyce ten ostatni tryb spisuje się zaskakująco dobrze i po pierwszych kilkunastu kilometrach zostawiłem go w spokoju, aby robił swoje. Oczywiście będą sytuacje, kiedy będziemy chcieli być w trybie Sport, ale w codziennym użytkowaniu rzadko to się będzie zdarzało (większości z nas).





Spalinowe Cayenne wśród futurystycznych samochodów przyszłości

Na dzisiejszych drogach możemy spotkać samochody wyposażone w ogromne ekrany, które oferują zaawansowane systemy operacyjne z „bajeranckim” wyglądem, w których schowano wszystkie funkcje do sterowania auta. Tymczasem spalinowy wariant Cayenne, pomimo że wcale nie jest samochodem analogowym, jednak sprawia takie wrażenie, głównie ze względu na dostępność wielu przycisków i pokręteł, które możemy obsługiwać bez odwracania wzroku od drogi.

Zdaję sobie sprawę z tego, że jestem dinozaurem pod wieloma względami, ale ostatnio miałem sytuację, w której chciałem ustawić lusterka w nowym samochodzie. Jako osoba, która nie tylko sprawnie porusza się po wszelkich systemach operacyjnych – mobilnych i nie – oraz która interesuje się motoryzacją od pieluchy, nie mogłem tej funkcji znaleźć. Dziennikarz obok mnie również na tym poległ. Okazało się, po udaniu się po pomoc do pracownika firmy, że trzeba wysunąć „szybkie menu” z góry ekranu, przejść do trybu jego edycji, tam dodać funkcję ustawiania lusterek i dopiero wtedy staje się ona dostępna. Nie ma dostępu do niej w żaden inny sposób. Teraz wyobraźcie sobie, że próbowałbym je ustawić w trakcie jazdy z jakiegoś powodu...

Ergonomia korzystania z samochodu, która odpowiada m.in. za dostęp do



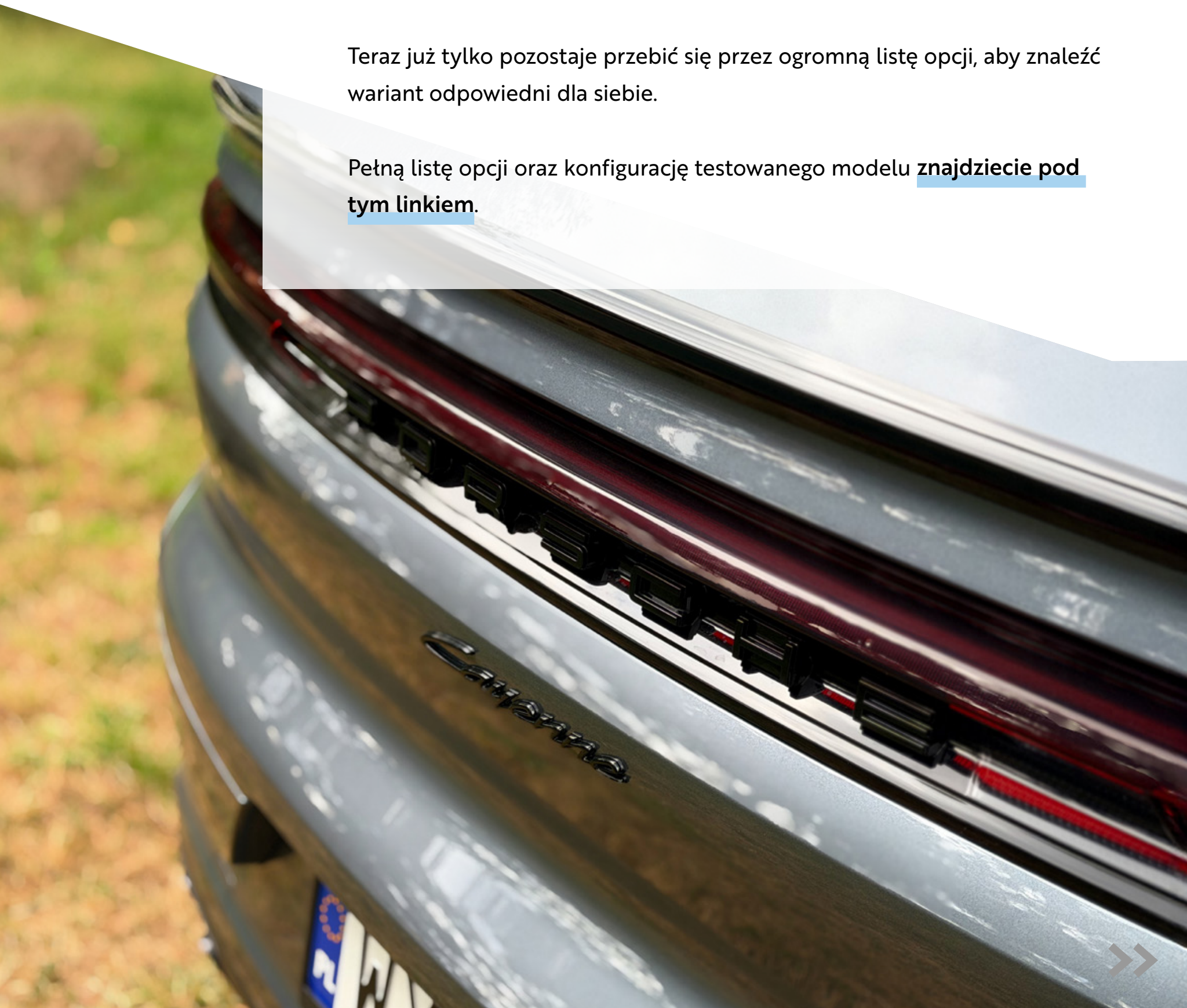
najbardziej podstawowych funkcji, jest ważna, a ta w Cayenne jest prawie wzorowa, pomimo że wnętrze nie sprawia wrażenia futurystycznego. Pozostaje jednak eleganckie, funkcjonalne i można je wykończyć z przepychem, jeśli mamy na to fundusze. Niezależnie od tego ostatniego, pozostaje jednak szalenie komfortowe.

Zatem podsumowując...

W połączeniu z układem hybrydowym ten wariant dla wielu staje się złotym środkiem użyteczności – jest oszczędny, praktyczny, komfortowy i jednocześnie zapewniający odpowiednie osiągi, gdy sytuacja tego wymaga. No i do tego sprawdzony pod względem zastosowanej technologii, jej funkcjonalności oraz bezawaryjności.

Teraz już tylko pozostaje przebić się przez ogromną listę opcji, aby znaleźć wariant odpowiedni dla siebie.

Pełną listę opcji oraz konfigurację testowanego modelu [znajdziecie pod tym linkiem](#).





DARIUSZ HAŁAS
[@blob_tech](#)

Maserati Grecale Modena

Włoski styl i emocje na co dzień

Maserati Grecale Modena jest słabsze od szalonego Trofeo, ale wcale nie gorsze. Setka w 5,3 s, wygoda i przewidywalność. Co ważne, inaczej niż w Exlantixie ET z tego wydania iMagazine, systemy ADAS wspierają kierowcę, a nie z nim walczą.





Dziś prezentuję wam auto, które udowadnia, że SUV-y też potrafią jeździć i wcale nie muszą mieć jakiejś kosmicznej mocy. Model Maserati Grecale Modena, czyli wersja słabsza od opisywanej już wcześniej u nas szalonej wersji Trofeo, co jednak w żadnym razie nie umniejsza zalet tego wozu. Grecale nie jest po prostu wygodne; to jeden z tych nielicznych SUV-ów, którym naprawdę chce się jeździć bez wyraźnego celu, po prostu dla samej przyjemności połykania kolejnych kilometrów. Podczas gdy Porsche zarzuciło całkiem spalinowego Macana, przechodząc w pełni na napęd elektryczny, Włosi z uśmiechem na ustach wciąż nam dają wybór i mówią: bierzcie i jedźcie wszędzie gdzie chcecie, ciesząc się z każdego pokonanego zakrętu. I za to im absolutna chwała.

Włoska szkoła uwodzenia

Bohater niniejszego testu to bezdyskusyjnie SUV pełną gębą, ale taki, w którym użyteczność nie zabija motoryzacyjnej poezji. Już przy pierwszym kontakcie wzrokowym Maserati Grecale Modena robi bardzo dobre wrażenie. Testowany egzemplarz przyciąga wzrok specjalnym kolorem nadwozia Blu Intenso. To głęboki, wielowymiarowy niebieski lakier, który w pełnym, ostrym słońcu skrzy się niesamowitymi refleksami, a w cieniu staje się elegancko mroczny. Z przodu dumnie pręży się potężny, nisko osadzony grill z charakterystycznym logo trójzębu, otoczony przez

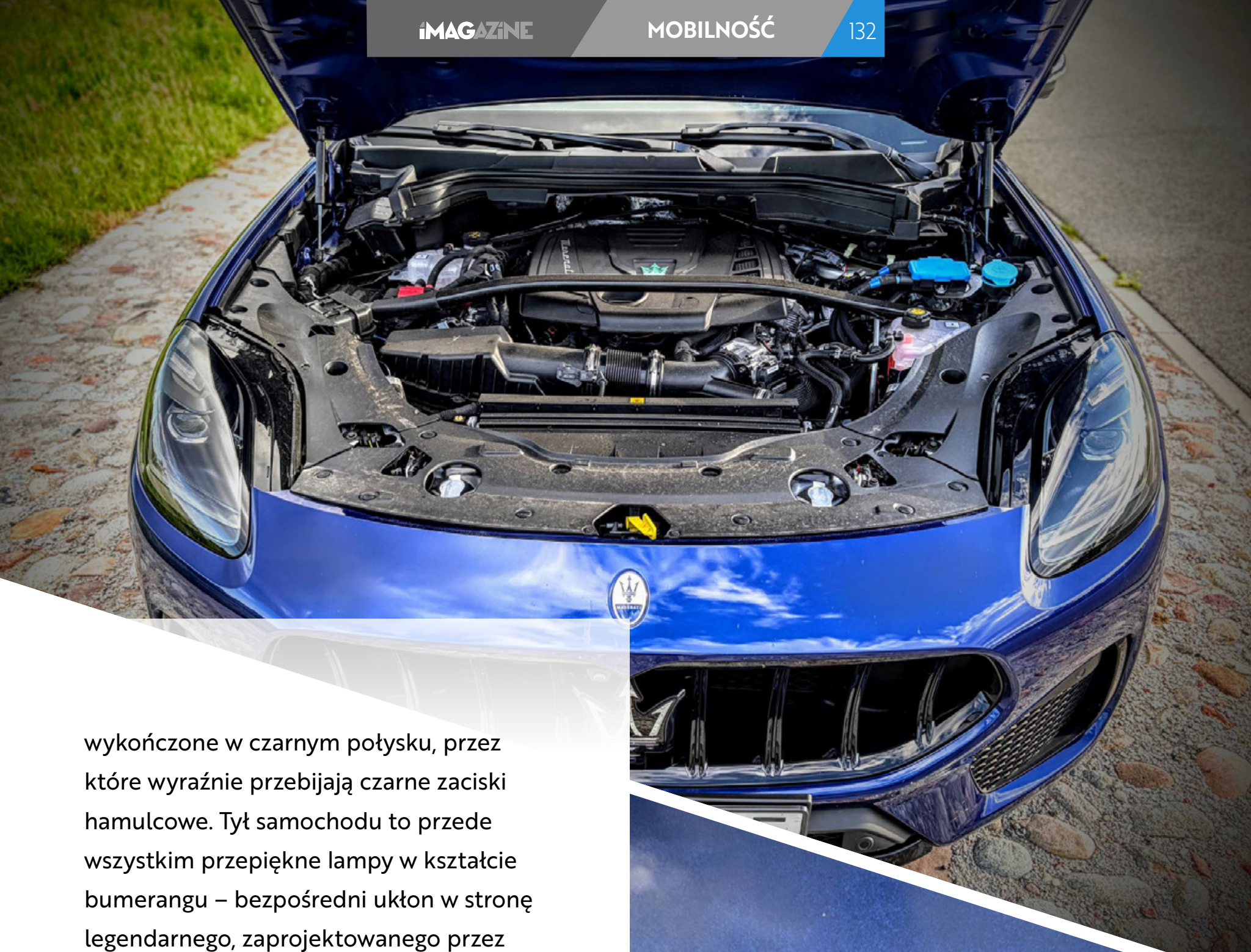




panionowe, genialnie zaprojektowane reflektory w technologii adaptacyjnej Full LED Matrix. Owe światła nie tylko rewelacyjnie wyglądają, nawiązując do supersportowego modelu MC20, ale też w nocy dynamicznie wycinają obiekty przed nami, oświetlając pobocza z bardzo dobrą precyzją. Oślepianie innych kierowców? Złe działanie automatyki długich? Nic takiego nie odnotowałem.

Patrząc na profil auta, od razu zauważymy klasyczne, rasowe proporcje – długą maskę, wyraźnie cofniętą kabinę i opadającą w stylu coupe linię dachu. Trzy kultowe wloty powietrza na przednich błotnikach zwieńczono subtelnym, eleganckim czarnym napisem „Modena”. Całości dopełniają potężne, 20-calowe, kute felgi aluminiowe o wzorze Etere





wykończone w czarnym połysku, przez które wyraźnie przebijają czarne zaciski hamulcowe. Tył samochodu to przede wszystkim przepiękne lampy w kształcie bumerangu – bezpośredni ukłon w stronę legendarnego, zaprojektowanego przez Giugiaro modelu 3200 GT. Dopelnieniem agresywnego wyglądu tyłu jest układ wydechowy Quad Tips z czarnym sportowym zaworem, z którego dobiega niezwykle przyjemny, rasowy warkot. Owszem, dźwięk nie jest tak wyrafinowany jak z sześciocylindrowego Nettuno V6 (ten fenomenalny motor wymaga zamówienia wersji Trofeo), ale jest znacznie lepiej niż się spodziewałem po jednostce czterocylindrowej. Wymiary tego auta (4847 mm długości i 2901 mm rozstawu osi) dają jasny sygnał, że to nie jest małe miejskie wozidełko, a pełnoprawny zawodnik w klasie wyższej.

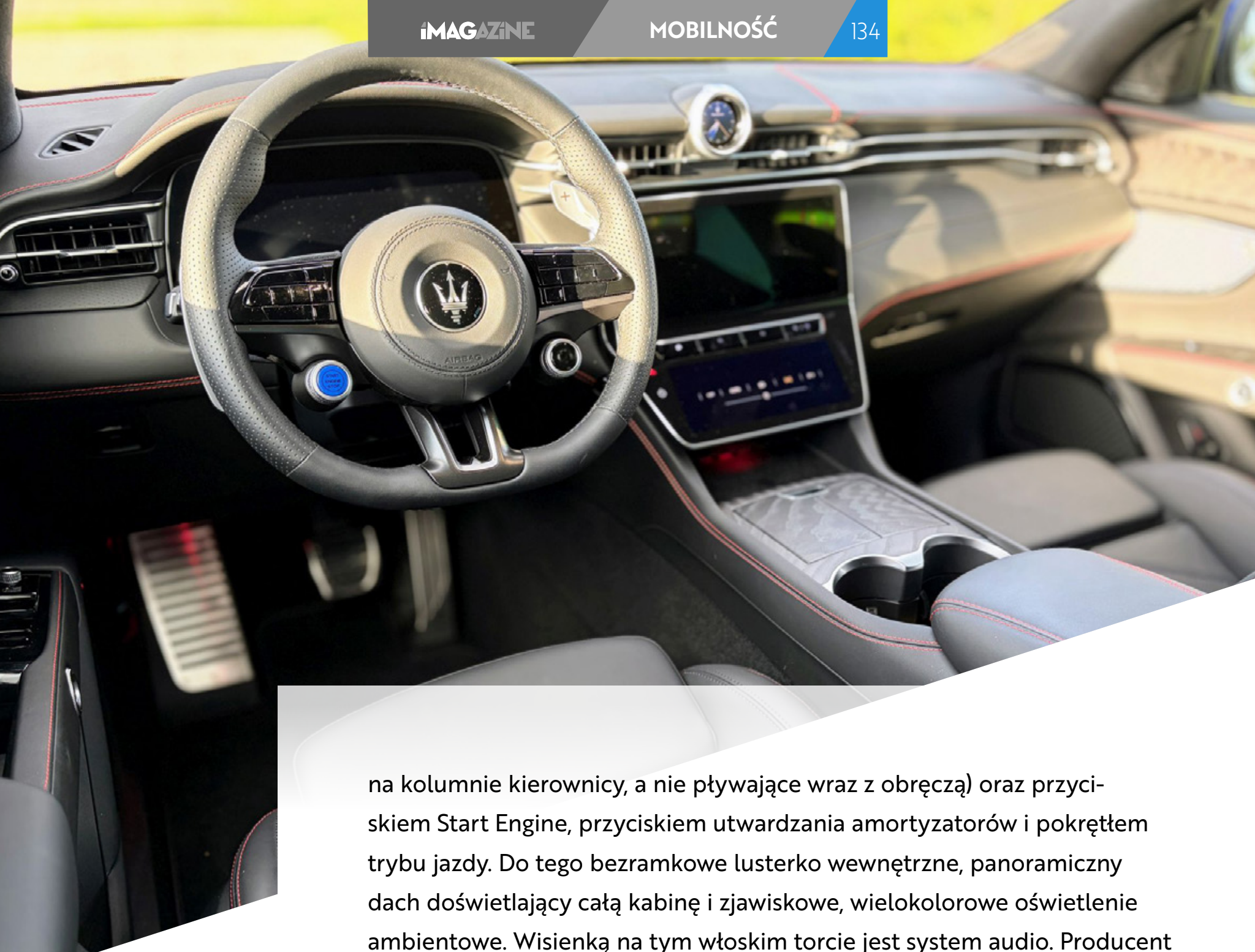


Wnętrze, czyli technologia spotyka rzemiosło

Jestem coraz starszy, więc nic dziwnego, że coraz bardziej doceniam w samochodach komfort, który nie wyklucza sportowego charakteru, ale pozwala przejechać kilkaset kilometrów bez konieczności rezerwacji wizyty u fizjoterapeuty. I choć w nocy we wnętrzu zwracają uwagę przede wszystkim liczne ekrany, to w dzień bardziej docenicie jakość i fakturę materiałów. Wnętrze testowanego egzemplarza to prawdziwy majstersztyk wykończony sportową, najwyższej jakości skórą w czarnej tonacji z czerwonym stebnowaniem, uzupełnione elementami ze szlachetnego drewna Radica o otwartych porach i wstawkami z anodowanego aluminium. Żadnego tandetnego piano black.

Z przodu znajdziemy elektrycznie regulowane w czternastu kierunkach, podgrzewane i wentylowane fotele z pamięcią ustawień. Są to fotele, które idealnie otulają ciało podczas szybkiego pokonywania zakrętów, ale pozostają miękkie i przyjazne na autostradzie. Dodajmy do tego przepiękną, perforowaną kierownicę sportową z potężnymi, aluminiowymi łopatkami do zmiany biegów (osadzonymi – tak jak powinno być – sztywno





na kolumnie kierownicy, a nie pływające wraz z obręczą) oraz przyciskiem Start Engine, przyciskiem utwardzania amortyzatorów i pokrętle trybu jazdy. Do tego bezramkowe lusterko wewnętrzne, panoramiczny dach doświetlający całą kabinę i zjawiskowe, wielokolorowe oświetlenie ambientowe. Wisienką na tym włoskim torcie jest system audio. Producent zastosował tu czysto grający zestaw Sonus Faber Premium z czternastoma głośnikami, który zamienia kabinę Maserati w prywatną salę koncertową. Niezależnie od tego, czy słuchasz ciężkiego rocka, czy muzyki klasycznej, klarowność sceny muzycznej i głębia basu są po prostu powalające.

Cyfrowe serce z ludzką twarzą

Maserati długo kazało nam czekać na nowoczesne systemy multimedialne w swoich autach, ale w Grecale Włosi nadrobili zaległości z ogromną nawiązką. Konsola centralna to triumf minimalizmu i nowoczesności, w której pierwsze skrzypce grają dwa ekrany. Górny, dotykowy wyświetlacz o przekątnej 12,3 cala obsługuje nawigację, multimedia i zaawansowany system UConnect (oczywiście z bezprzewodowym wsparciem dla Apple CarPlay i Android Auto). Pod nim zlokalizowano zagięty w stronę kierowcy mniejszy ekran o przekątnej 8,8 cala pełniący rolę centrum kontroli komfortu, z poziomu którego obsługujemy zaawansowaną, trzystrefową klimatyzację oraz ustawienia świateł, a także parę innych detali (m.in. motyw



zegarka na desce rozdzielczej, czy oświetlenie ambientowe). Zegary przed kierowcą to również w pełni cyfrowy, konfigurowalny wyświetlacz. Co ciekawe, klasyczny zegarek Maserati umieszczony na samym szczycie deski rozdzielczej nie jest już analogowy – to mały, okrągły smartwatch, który potrafi wyświetlać czas, przeciążenia G-Force, a nawet wizualizować pracę cyfrowego asystenta głosowego, czy sygnalizować że smartfon na tacce indukcyjnej właśnie rozpoczął ładowanie.

Na szczególną pochwałę zasługuje również dbałość o logikę i detale w tłumaczeniu interfejsu oprogramowania. Jako osoba, która na co dzień testuje nowinki technologiczne, często łapię się za głowę widząc językowe potworki na ekranach aut za pół miliona złotych. Tutaj, gdy głęboko w ustawieniach systemu zmieniałem parametry profilowania i konfigurowałem asystentów jazdy, system poprosił mnie o zatwierdzenie modyfikacji. Responsywność ekranów jest na wysokim poziomie i choć może się wydawać, że ekran sterowania klimy osadzony tak nisko jest błędem, to w istocie całością sterowało mi się znacznie wygodniej niż na jednym olbrzymim tablecie, jaki proponuje wiele innych marek (szczególnie chińskich premium).





A skoro mowa o asystentach, Grecale nie idzie tu na żadne kompromisy. Znajdziemy tu to, co realnie pomaga: dobrze działającą kamerę 360 stopni z dynamicznymi liniami, adaptacyjny tempomat z funkcją Stop&Go, który zachowuje się dokładnie tak, jak tego oczekiwałbym od takiego rozwiązania, aktywny monitoring martwego pola, asystenta utrzymania pasa ruchu i system rozpoznawania znaków drogowych z inteligentną kontrolą prędkości. Czego nie ma? Np. funkcji automatycznej zmiany pasa na autostradzie... I bardzo dobrze! Bo Maserati stawia na to, żebyś to Ty kierowco panował nad autem. Asysta ma cię wspierać, a nie wyręczać. Całość zintegrowano w sposób niezwykle płynny. Te systemy są obecne na pokładzie, czuwają nad naszym bezpieczeństwem, ale w przeciwieństwie do nachalnych rozwiązań znanych z chińskiej motoryzacji, tutaj elektronika robi to z gracją i nienachalnością, pozwalając kierowcy w pełni cieszyć się jazdą.

Miękka hybryda z twardym pazurem

Pod zgrabnie wyrzeźbioną, aluminiową maską wersji Modena nie znajdziemy potężnego V6 z Trofeo ani podwójnych silników elektrycznych z elektrycznego wariantu Folgore. Sercem tego wozu jest rzędowy, czterocylindrowy, dwulitrowy silnik benzynowy wsparty zaawansowanym systemem miękkiej hybrydy (MHEV). Niech jednak nikogo nie zwiedzie skromna pojemność – inżynierowie z Maserati wycisnęli z tego motoru imponujące



330 koni mechanicznych oraz 450 Nm momentu obrotowego.

Układ hybrydowy oprócz standardowej turbosprężarki wykorzystuje elektryczny kompresor (e-Booster). Jego głównym zadaniem jest wspomaganie silnika spalinowego w dolnych zakresach obrotów, zanim gazy spalinowe odpowiednio rozkręcą klasyczne turbo. Efekt? Całkowity brak irytującej turbodziury i szybka reakcja na zdecydowane polecenie kierowcy wydane pedałem przyspieszenia. Napęd przekazywany jest na wszystkie cztery koła za pośrednictwem bajecznie wręcz szybkiej, ośmiobiegowej skrzyni automatycznej, a trakcję na wyjściach z ostrych zakrętów poprawia mechanizm różnicowy o ograniczonym poślizgu. To wszystko sprawia, że ten ważący blisko dwie tony włoski byk katapultuje się do pierwszej setki w zaledwie 5,3 sekundy, a prędkość maksymalna wynosi zacie 240 km/h.





Wrażenia z jazdy, dynamika i apetyt na paliwo

W wielkomiejskich warunkach Grecale Modena jest zadziwiająco cywilizowane. Adaptacyjne zawieszenie rewelacyjnie filtruje studzienki, zapadnięte asfalty i wszędochyłskie progi zwalniające, a wysoka pozycja za kierownicą i spore powierzchnie szyb zapewniają doskonałą widoczność. Manewrowanie wspomagane świetnymi kamerami sprawia, że miejska dżungla nie jest dla tego SUV-a żadnym wyzwaniem.

Prawdziwa zabawa zaczyna się jednak za znakiem wyznaczającym granice miasta. Za pomocą pokrętła umieszczonego na kierownicy wybieramy jeden z trybów jazdy – od oszczędnego Comfort, przez uniwersalny GT (wybór domyślny po uruchomieniu auta), aż po wyostrzony tryb Sport. Z każdym ruchem pokrętła Grecale wyraźnie napina mięśnie. W trybie Sport zawieszenie się utwardza, układ



kierowniczy nabiera przyjemnego ciężaru i chirurgicznej precyzji, a zawory w wydechu otwierają się, wpuszczając do kabiny głęboki, basowy dźwięk włoskiej jednostki, akcentowany przyjemnymi strzałami przy zmianie biegów. Prowadzenie tego auta to absolutna poezja. Auto wpisuje się w zakręty z lekkością hatchbacka, trzymając się asfaltu z niewzruszoną pewnością. Granica przyczepności zawieszona jest niewiarygodnie wręcz wysoko, a układ kierowniczy daje doskonały feedback z przednich kół.

A jak wygląda kwestia spalania? Przy tak wyśrubowanych osiąгах trudno oczekiwać cudów od dwulitrowej jednostki spalinowej niosącej ciężką budę luksusowego SUV-a. Jednak wyniki są w pełni akceptowalne. Specjalnie zrobiona trasa o długości 180 km, składająca się głównie z odcinków po szybkiej autostradzie pokonywanej absolutnie przepisowo, plus odrobina wolniejszej trasy mieszanej, wskazała na komputerze wynik 9,9 litra na 100 km. Co jeszcze bardziej interesujące, moja ostateczna, skrupulatnie zanotowana średnia z całego, obszernego testu to również dokładnie 9,9 litra / 100 km z dystansu niespełna 600 km. Zaznaczam jednak uczciwie – jeśli większość czasu spędzicie w zakorkowanym, miejskim gąszczu, musicie liczyć się ze znacznie większym apetytem, sięgającym nawet rzędu 15 l/100 km. Prawda jest jednak taka, że jeżeli zechcemy wyprowadzić to zwinne Maserati na tor i korzystać z pełni jego możliwości, wówczas dyskusja o spalaniu





staje się po prostu absolutnie bezprzedmiotowa. Sam fakt, że ten SUV na torze wstydu nie przynosi, wiele mówi o charakterze tego wozu.

Kalkulacja kosztów i podsumowanie, miłe zaskoczenie

Przejdźmy do finansów, bo tutaj sytuacja robi się niebywale wręcz intrygująca. Cena katalogowa testowanego przez nas, kompletnie wyposażonego egzemplarza Grecale Modena wynosi 443 000 PLN brutto. Owszem, to potężna kwota, ale załączona do użyczonego pojazdu specyfikacja uwzględnia potężną obniżkę. Cena promocyjna zjechała bowiem do poziomu 379 000 PLN brutto.

Co ciekawe, ta wyjątkowa, promocyjna cena sprawia, że testowany, naszpikowany pod sam dach technologią egzemplarz Maserati Grecale jest wyceniany nieco tylko drożej jak wypasiona po kokardę... Alfa Romeo Stelvio (ok. 340 tys. zł). I żebyśmy się dobrze zrozumieli – nie mówię tu wcale o topowej wersji Quadrifoglio (która jest znacznie droższa od opisywanego tu wozu). To jest wręcz niebywała okazja, kupić pełnoprawne, rodowodowe Maserati praktycznie w cenie Alfę Romeo. I żeby uciąć wszelkie plotki z internetowych forów: to w żadnym wypadku nie są rynkowe bliźnięta. Konstrukcyjnie Maserati



Grecale jest od Stelvio zauważalnie większe, w opisywanej wersji Modena również mocniejsze od Stelvio (poza oczywiście ekstremalnym wariantem Quadrifoglio). Przede wszystkim jednak Maserati jest w kabinie znacznie bardziej szykowne, luksusowe pod kątem użytych materiałów i bez porównania wygodniejsze na dłuższych dystansach. Maserati gra w zupełnie innej, znacznie wyższej lidze niż Alfa Romeo. Warto też nadmienić, że ta bardziej szykowna włoska marka na swoje pojazdy zapewnia 36-miesięczną gwarancję bez żadnego limitu kilometrów, co na pewno ułatwi sen potencjalnemu nabywcy.

Podsumowując, Maserati Grecale Modena to SUV kompletny, na dodatek nie tak opatrzonej na ulicach jak Porsche Macan, Audi Q5, BMW X3, Mercedes GLC, czy wspomniana Alfa Romeo Stelvio. Przebojowy na zewnątrz, luksusowy i pachnący skórą w środku, a na drodze udowadniający, że genów motosportu nie da się tak po prostu wymazać z inżynierskiego DNA. To piękny hołd dla spalinowej motoryzacji w jej najbardziej użytkowym, a zarazem wciąż urzekającym wydaniu.

Maserati Grecale Modena



- Design: 6/6
- Jakość wykonania: 5,5/6
- Oprogramowanie: 5/6
- Wydajność: 5/6

+ Plusy:

- Budzący emocje design nadwozia
- Wysokiej jakości materiały i wykończenie wnętrza
- Rozbudowany, logiczny, dość szybki system multimedialny
- Komfortowe i zaawansowane systemy wsparcia kierowcy
- Absolutnie fenomenalne, angażujące prowadzenie i fajne brzmienie
- Promocyjna cena pozycjonująca auto niezwykle atrakcyjnie na tle konkurencji z segmentu premium

- Minusy:

- Spory apetyt na paliwo podczas stricte miejskiej jazdy





DARIUSZ HAŁAS
[@blob_tech](#)

Toyota Aygo X 1.5 Hybrid Maluch, który nie boi się tras

Samochód z segmentu A to zazwyczaj wózek na zakupy, którym strach wyjechać za miasto. Toyota Aygo X ze 116-konną hybrydą niszczy ten stereotyp. Po kilku dniach jazdy zrozumiałem, że największym atutem tego auta nie jest jego rozmiar, lecz znikomy apetyt na paliwo i zaskakująca uniwersalność.





Do naszego redakcyjnego garażu trafiła świetnie prezentująca się wersja Style VIP z pakietem JBL, ubrana w metalizowany lakier Cinnamon z czarnym dachem Eclipse Black. Rozmiar nie był zaskoczeniem, bo to typowy przedstawiciel segmentu A, ale im więcej kilometrów, tym więcej niespodzianek.

To nie jest nijakie auto

Przy długości niespełna 3,8 metra (dokładnie 3776 mm), Aygo X prezentuje się dość bojowo. To zasługa mocno zarysowanych nadkoli, wykończenia przedniego grilla w kolorze fortepianowej czerni i 18-calowych, aluminiowych felg. Mimo podwyższonego prześwitu i sylwetki przypominającej miniaturowego crossovera to wciąż idealny sprzęt do przeciskania się przez zatłoczone centrum Warszawy i parkowania w miejscach, z których kierowcy



pełnoprawnych SUV-ów muszą z żalem rezygnować. Przednie światła w technologii LED oraz fabrycznie przyciemniane tylne szyby sprawiają, że ten japoński maluch nie wygląda budżetowo.

Wnętrze, w którym niczego nie brakuje

Po otwarciu drzwi przy pomocy inteligentnego kluczyka widać, że w tej wersji wyposażenia nie szukano kompromisów. Owszem, materiały na desce rozdzielczej czy w bocznych drzwiach to głównie twarde plastiki. Czy to przeszkadza? Szczerze mówiąc, zupełnie mi to nie wadziło. Jak na auto tej wielkości wyposażenie robi za to duże wrażenie.

Mamy tu do dyspozycji dwustrefową klimatyzację automatyczną z technologią Nanoe-X, podgrzewane fotele przednie z częściowo perforowaną tapicerką SakuraTouch, kamerę cofania ze statycznymi liniami prowadzenia oraz stację do bezprzewodowego ładowania telefonu. W centrum dowodzenia znajduje się czytelny, 10,5-calowy ekran systemu Toyota Smart Connect z płynnie działającym, bezprzewodowym interfejsem Apple CarPlay. Z kolei pakiet audio JBL z subwooferem ukrytym w bagażniku wykonuje





pryzwoity kawał akustycznej roboty. Skoro o bagażniku mowa, oddaje on do dyspozycji skromne 231 litrów, a przestrzeń z tyłu na kanapie jest po prostu symboliczna. Dlatego traktuję Aygo X jako wóz dla maksymalnie dwóch osób – przy takiej liczbie podróżujących ten samochód nie zmusza do żadnych wyrzeczeń, oczywiście scenariusz 2+2 (rodzice + dwójka małych dzieci) również jest do ogarnięcia, ale umówmy się... kiedyś miałem „przyjemność” jechać w cztery osoby Fiatem 126p z Warszawy nad Bałtyk i się dało. Aygo X na krótszych dystansach da radę w czwórkę.

Hybryda, która lubi nie tylko miasto

Pod maską pracuje produkowany w Polsce układ 1.5 Hybrid Dynamic Force. Zestaw ten generuje łączną moc 116 KM, co w połączeniu z bezstopniową przekładnią



e-CVT i masą 1110 kg daje sporą zwinność w ruchu miejskim. Żeby nie być gołosłownym, małe Aygo X zbiera się do miejskich 50 km/h w jakieś 3,2–3,5 sekundy spod świateł. Myny innych kierowców? Bezcenne. W ogóle w mieście auto sprawia wrażenie bardzo lekkiego, często wykorzystując wyłącznie napęd elektryczny do przemieszczania się pomiędzy skrzyżowaniami. Gdy wyjedziemy z miasta, to informuję, że sprint do setki zajmuje 9,2 sekundy, co jest wartością bardzo przyzwoitą jak na najmniejszy segment, a dynamika zdecydowanie ułatwia poradzenie sobie z długimi składami ciężarowymi na trasach szybkiego ruchu. To maluch bez kompleksów.

Ale to, co przekonało mnie do tego modelu najbardziej, to fakt, że to typowo miejskie „wozidełko” (i piszę to raczej pieszczotliwie niż z pogardą) zupełnie nie boi się dłuższych wyjazdów. Pokonałem nim na raz ponad 170-kilometrową trasę, w większości korzystając z autostrady. Trzymając się prędkości w okolicach 120 km/h, Aygo X radziło sobie bez najmniejszego problemu. Przy 140 km/h w kabinie robi się już po prostu za głośno, by cieszyć się rozmową czy zestawem audio, dlatego w mojej ocenie 120 km/h to autostradowe optimum. Nad bezpieczeństwem podróży bardzo dyskretnie





czuwa pakiet asystentów Toyota T-Mate, w tym przydatny inteligentny tempomat adaptacyjny (IACC) oraz asystent utrzymania pasa ruchu (LTA).

Spalanie, czyli osvajanie cennika

Po tygodniu jazdy złapałem się na tym, że przestałem zwracać uwagę na rozmiary auta. Zacząłem natomiast zastanawiać się, kiedy ostatni raz tankowałem. Wspomniana wyżej trasa, głównie autostradowa, zaowocowała zużyciem zaledwie 4,3 litrów na każde 100 kilometrów. Prawdziwe powody do uśmiechu pojawiają się jednak po zjechaniu do miasta. To właśnie w gęstym ruchu układ hybrydowy udowadnia swoją wartość. Typowe, spokojne kręcenie się po mieście pozwala na uzyskanie spalania rzędu 2,7 l/100 km. Wyniki w przedziale od 3 do 4 litrów są do osiągnięcia z łatwością, bez uprawiania jakiegokolwiek ekojazdy.

Największym wyzwaniem jest bez wątpienia kwota, jaką trzeba zapłacić za bogato wyposażony egzemplarz. Wersja z pakietami VIP oraz JBL z łatwością przekracza barierę 110 tysięcy złotych. Czy warto dopłacać blisko 30 tys. zł do topowej wersji? Moim zdaniem niekoniecznie, bo już bazową wersję Active – wyposażoną w ten sam oszczędny napęd hybrydowy – można kupić w cenie specjalnej od 81 900 zł. Nawet w tej



podstawie otrzymujesz adaptacyjny tempomat, asystenta utrzymania pasa ruchu, kamerę cofania i klimatyzację.

Polubiłem to auto. Nie dlatego, że próbuje udawać coś większego. Po prostu bardzo dobrze robi to, do czego zostało stworzone. A przy okazji pokazuje, że nawet najmniejszy segment może dziś bez kompleksów wyjechać poza miasto.

Toyota Aygo X 1.5 Hybrid Style VIP



- Design: 5/6
- Jakość wykonania: 4/6
- Oprogramowanie: 5/6
- Wydajność: 5,5/6

+ Plusy:

- Imponująco niskie spalanie w mieście, osiągnęte bez usilnej ekofazdy
- Jak na auto tej wielkości wyposażenie robi duże wrażenie (m.in. dwustrefowa klimatyzacja z aktywnym filtrem, indukcyjna ładowarka, bezprzewodowy CarPlay, podgrzewanie foteli)
- Zaskakująca stabilność i użyteczność w trasach szybkiego ruchu przy prędkościach do 120 km/h
- Przyzwoite nagłośnienie z pakietu JBL
- Zwinność i dynamika sprawdzonego układu hybrydowego z Yarisa

- Minusy:

- Wysoka cena zakupu w bogato skonfigurowanych wariantach wyposażenia
- Z tyłu ilość miejsca jest czysto symboliczna
- Hałas w kabinie przy prędkościach autostradowych powyżej 120 km/h





DARIUSZ HAŁAS
[@blob_tech](#)

Exlantix ET

Software nie dorósł do hardware'u

Godzina 18:17. Autostrada A2. Tempomat ustawiony na 140 km/h. Nic nie zapowiada problemów. Nagle Exlantix ET sam zaczyna zwalniać. Bez ostrzeżenia. Bez wyjaśnienia. Wtedy zrozumiałem, że największym atutem tego samochodu jest hardware, a największą słabością – software.





Pierwsze wrażenie nie zapowiadało problemów. Wręcz przeciwnie. Już wcześniej miałem okazję poznać Exlantixa ET podczas wydarzenia na **Silesia Ringu**, ale dopiero kilkaset kilometrów spędzonych za jego kierownicą pozwala zrozumieć, czym naprawdę jest ten samochód. A właściwie... czym jeszcze nie jest. Zaczniemy jednak od początku.

Luksus w standardzie i komfort bez kompromisów

A ten początek w przypadku Exlantixa ET wypada wręcz imponująco. Gdy pierwszy raz podchodzisz do tego auta, od razu zauważasz jego potężne gabaryty – niemal 5 metrów długości (dokładnie 4980 mm) oraz trzymetrowy rozstaw osi sprawiają, że w środku przestrzeni jest pod dostatkiem. Zresztą wykończenie kabiny to czysty popis inżynierów i projektantów. Wnętrze otula miękka skóra Nappa, a dbałość o detale stoi na najwyższym poziomie. Bezramkowe drzwi ze specjalnym, sztywnym, akustycznym szkłem sprawiają, że po ich zamknięciu w środku panuje wręcz cementarna cisza – hałas dobiegający z zewnątrz jest doskonale izolowany.

Przednie fotele to absolutna czołówka w tej wymagającej klasie. Regulowane elektrycznie w 8 kierunkach z pamięcią ustawień, 4-kierunkową regulacją podparcia lędźwiowego oraz podgrzewaniem, wentylacją



i zaawansowanym, 8-punktowym masażem, który w trasie potrafi przynieść prawdziwą ulgę. Co ciekawe, producent nie zapomniał o pasażerach z tyłu. Kanapa również jest podgrzewana i wentylowana, a podróżujący w drugim rzędzie mają do dyspozycji własny ekran dotykowy do sterowania trzystrefową klimatyzacją.

Szczególną uwagę warto zwrócić na fotel pasażera z przodu. Wyposażono go w specjalną funkcję relaksu, dzięki której rozkłada się on niczym leżanka, oferując elektrycznie podnoszone podparcie nóg. To genialne rozwiązanie, gdy chcemy uciąć sobie drzemkę lub po prostu odpocząć podczas dłuższego postoju na stacji ładowania. Kierowca, choć jego fotel również jest bajecznie wygodny, nie ma aż tak ekstremalnie rozbudowanej opcji „leżakowania”, więc może jedynie z zazdrością spoglądać na zrelakowanego pasażera obok.

O odpowiednią atmosferę dba również dach panoramiczny o powierzchni aż 2,4 m² z powłoką filtrującą 99,9% promieni UV oraz elektryczną roletą, a także system zarządzania jakością powietrza z jonizacją i wbudowanym





dyfuzorem zapachowym. Na liście wyposażenia znalazł się też chłodzony podłokietnik, nastrojowe oświetlenie ambientowe z paletą 256 kolorów, imponujący wyświetlacz przezierny HUD o przekątnej aż 21 cali, cyfrowe zegary 10,25" oraz centralny ekran multimedialny 15,6" o rozdzielczości 2.5K. Nie brakuje tu bezprzewodowej, chłodzonej ładowarki do smartfonów o mocy 50 W, obsługi Apple CarPlay i Android Auto czy funkcji V2L. A co najważniejsze – to wszystko dostajemy w standardzie. Za kwotę 349 900 zł auto przyjeżdża kompletnie wyposażone.

Sala koncertowa z Dolby Atmos

Osobny akapit należy się systemowi audio, bo ten po prostu rzuca na kolana. Na pokładzie Exlantixa ET zamontowano zestaw sygnowany przez iFlytek, składający się z aż 23 głośników i legitymujący

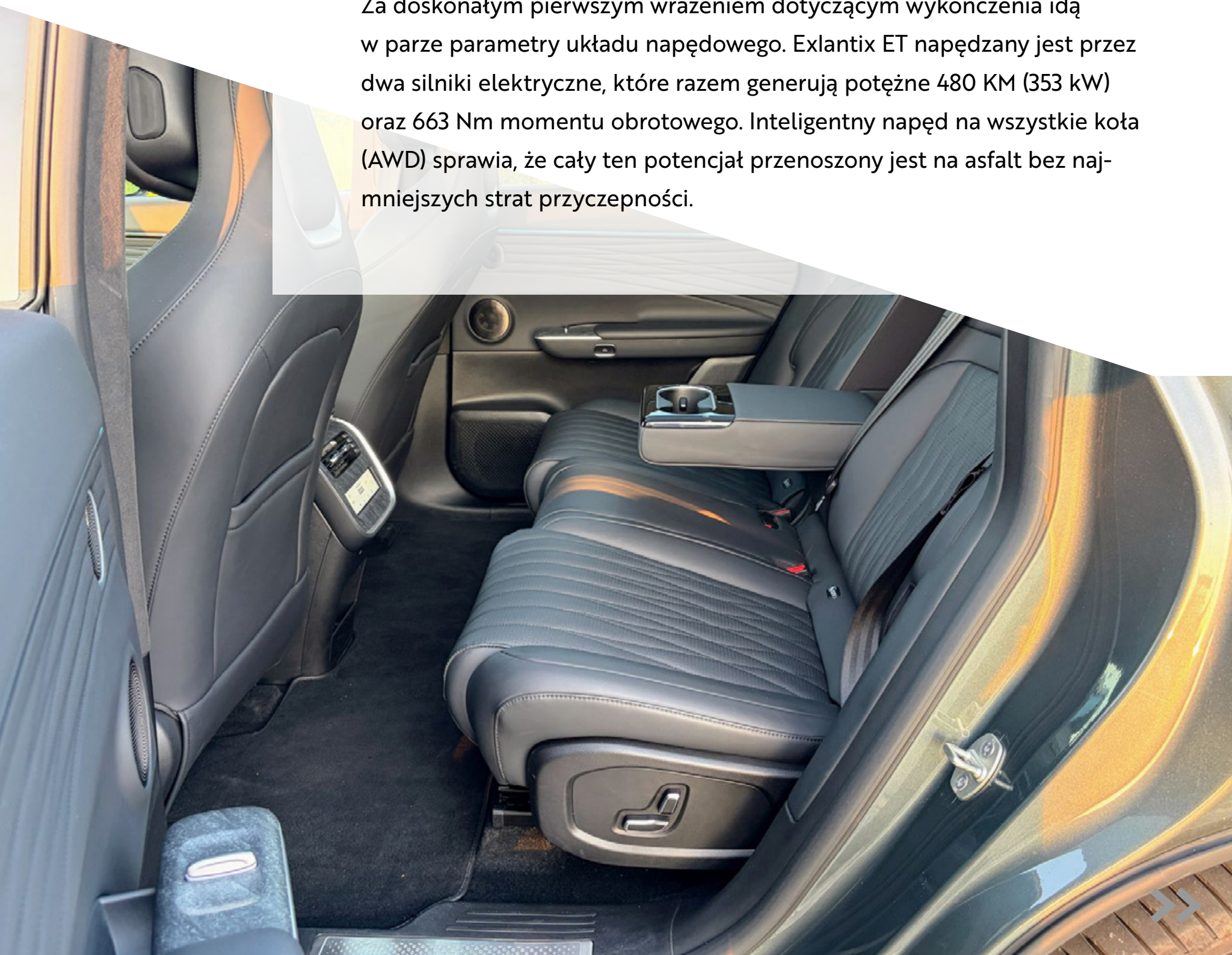


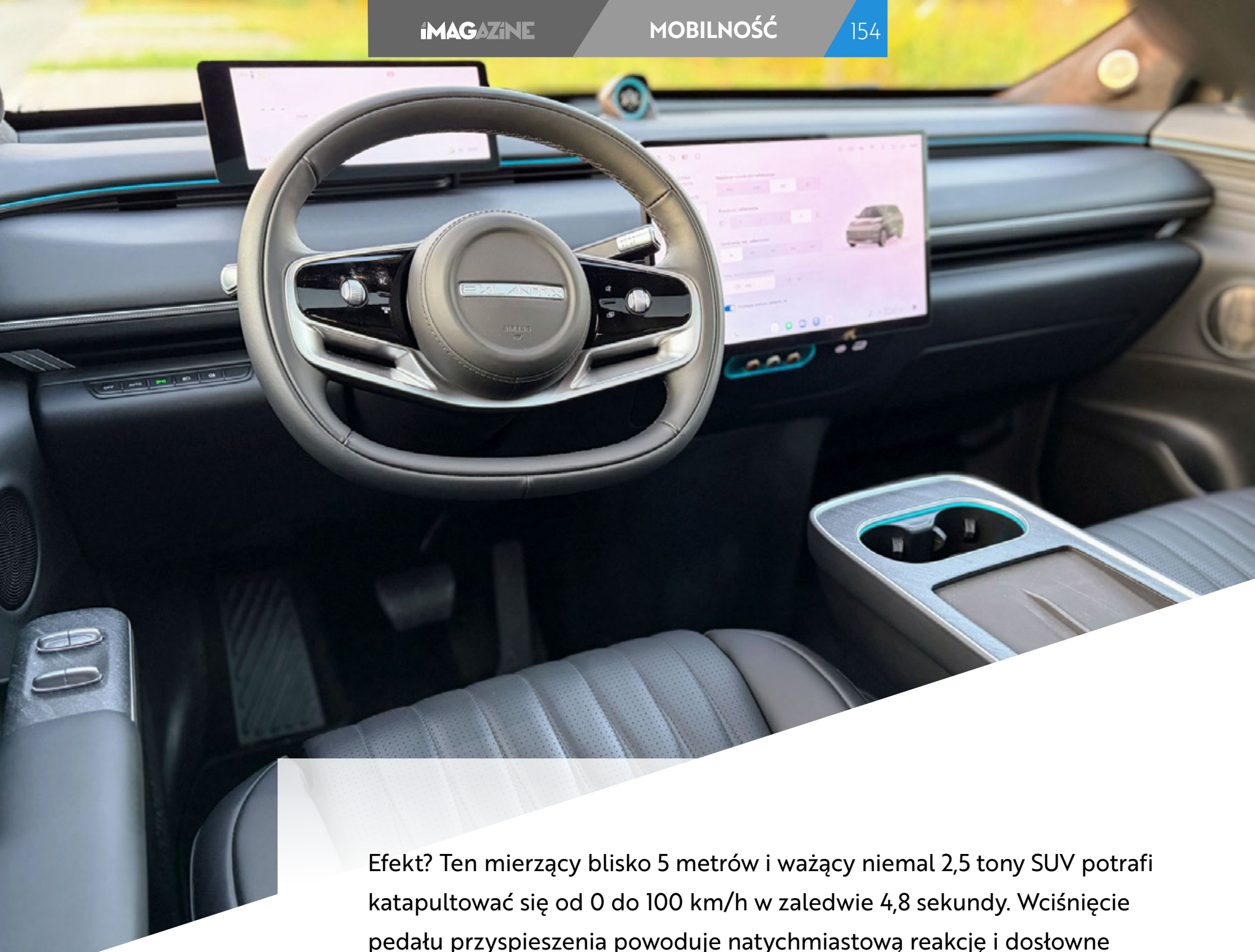
się potężną mocą 2140 W. Wsparcie dla technologii Dolby Atmos sprawia, że kabina samochodu zamienia się w wyciszoną salę koncertową. Mógłbym tu pisać o szerokości sceny, doskonale kontrolowanym basie, ale... lepiej po prostu wybrać się do najbliższego salonu marki i po prostu samemu przekonać się o jakości tego audio.

Bardzo ciekawym i niezwykle praktycznym smaczkiem są dwa głośniki wbudowane bezpośrednio w zagłówek fotela kierowcy. Dzięki nim komunikaty nawigacji czy rozmowy telefoniczne mogą trafiać dyskretnie prosto do naszych uszu, nie zakłócając muzyki płynącej z reszty zestawu. To audio nie tylko gra głośno – ono gra z niesamowitą klasą.

Potężna moc, świetne zawieszenie i atomowe przyspieszenie

Za doskonałym pierwszym wrażeniem dotyczącym wykończenia idą w parze parametry układu napędowego. Exlantix ET napędzany jest przez dwa silniki elektryczne, które razem generują potężne 480 KM (353 kW) oraz 663 Nm momentu obrotowego. Inteligentny napęd na wszystkie koła (AWD) sprawia, że cały ten potencjał przenoszony jest na asfalt bez najmniejszych strat przyczepności.





Efekt? Ten mierzący blisko 5 metrów i ważący niemal 2,5 tony SUV potrafi katapultować się od 0 do 100 km/h w zaledwie 4,8 sekundy. Wciśnięcie pedału przyspieszenia powoduje natychmiastową reakcję i dosłowne wbicie w fotel, ale też mocne uniesienie przodu auta. Masz wręcz wrażenie, że za chwilę odleciś na orbitę. Prędkość maksymalna została ograniczona do 200 km/h, co jest wartością w zupełności wystarczającą także na niemieckich autostradach. Równie imponująco wypada układ hamulcowy – wydajne, 6-tłoczkowe, wentylowane tarcze potrafią zatrzymać ten potężny wóz ze 100 km/h na dystansie 34,7 metra. Jednak, mimo imponujących parametrów napędu, ten SUV preferuje spokojniejsze traktowanie, odpłaca wówczas efektem kapitalnej płynności.

Za tę płynność odpowiada pneumatyczne zawieszenie z systemem ciągłej regulacji tłumienia (CDC) oraz adaptacyjnymi amortyzatorami. Pozwala ono na zmianę prześwitu w zakresie od 135 do 205 mm, ale przede wszystkim genialnie połyka wszelkie nierówności nawierzchni. Auto wręcz płynie po drodze, odcinając pasażerów od dziur i wyrw, a dwuwahaczowa konstrukcja z przodu i wielowahaczowa z tyłu dbają o to, by prowadziło się pewnie i stabilnie. Niestety, nie wszystko było idealne.

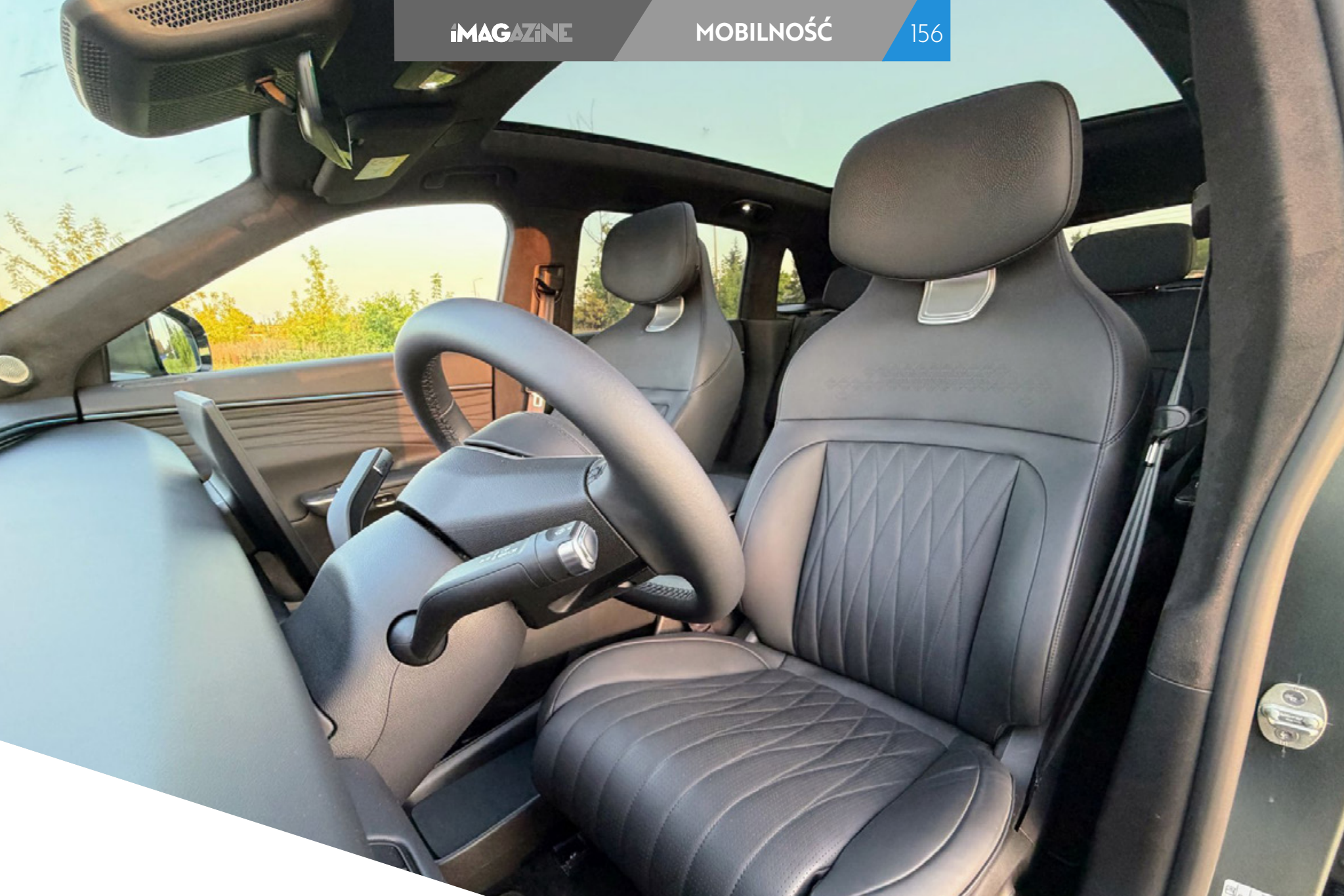


Tempomat, który żyje własnym życiem

To właśnie na autostradzie Exlantix ET zaliczył u mnie pierwszą istotną wpadkę. Ustawiam adaptacyjny tempomat na 140 km/h, droga praktycznie pusta, nowiutka A2 (fragment pomiędzy węzłem Biała Podlaska a węzłem Siedlce Wschód), żadnych samochodów przede mną, żadnych zjazdów, żadnych dodatkowych ograniczeń, żadnych komunikatów na ekranie. Przez chwilę wszystko działa wzorowo, po czym samochód nagle zwalnia do około 125 km/h. Chwilę później przyspiesza do 135 km/h, znowu zwalnia, po czym bardzo ospale wraca do zadanej prędkości, by po kilku sekundach ponownie zacząć hamować. Wszystko dzieje się bez najmniejszego wyjaśnienia.

Nie chcę jednoznacznie przesądzać, co było przyczyną takiego zachowania, ale po przejechaniu dłuższego odcinka zacząłem dostrzegać pewną prawidłowość. Samochód potrafił zwolnić zachowawczo, gdy wyprzedzałem pojazd znajdujący się na innym pasie ruchu, a także zwalniał na bardzo łagodnych łukach autostrady. Problem w tym, że mówimy o jednym z najnowocześniejszych odcinków A2 w Europie, projektowanym właśnie z myślą o jeździe z prędkością 140 km/h. Jeśli rzeczywiście to algorytm uznawał takie łuki za wymagające redukcji prędkości, to jego kalibracja wymaga jeszcze sporo pracy.





Nocna jazda? Lepiej nie licz na elektronikę

Jeszcze większym rozczarowaniem okazały się reflektory. Sam brak świateł matrycowych w samochodzie oficjalnie ogłaszającym jako przedstawiciel segmentu premium jest dla mnie trudny do zrozumienia. Dziś takie rozwiązania znajdziemy już nawet w wielu europejskich modelach segmentu B, a tutaj ich po prostu nie ma. Szkoda, bo Matrix LED to nie gadżet. To jedna z tych technologii, które realnie poprawiają bezpieczeństwo podczas nocnej jazdy.

Nie lepiej wypada automatyczne przełączanie świateł drogowych. W praktyce system zachowywał się dokładnie odwrotnie, niż powinien. Odblask od znaku drogowego potrafił uznać za światła nadjeżdżającego samochodu i natychmiast wyłączyć długie. Zdarzały się jednak również sytuacje odwrotne – rzeczywiste reflektory samochodu jadącego z przeciwka nie robiły na nim większego wrażenia. Skończyło się to tym, że zostałem „pozdrowiony” błyskami długich przez innego kierowcę, który miał pełne prawo być zirytowany. Po kilku takich sytuacjach wyłączyłem automat i wróciłem do ręcznej obsługi świateł. Tak po prostu było bezpieczniej.





Asystent pasa ruchu, który bardziej przeszkadza niż pomaga

Kolejny zgrzyt pojawił się podczas przejazdu odcinkiem S7 będącym w przebudowie (trasa pomiędzy Warszawą a lotniskiem w Modlinie). Wąskie, tymczasowe pasy ruchu, bariery bardzo blisko samochodu – dokładnie takie miejsce, w którym elektroniczni asystenci powinni pomagać kierowcy, a nie dokładać mu stresu. Tymczasem Exlantix ET zaczął nerwowo szarpać kierownicą, nieustannie ostrzegać sygnałami dźwiękowymi, wibrował wieńcem kierownicy i usiłował na siłę korygować tor jazdy. W pewnym momencie miałem wrażenie, że nie prowadzę samochodu, tylko siłuję się z nim o każdy centymetr pasa ruchu. Gdybym odpuścił nacisk na kierownicę, miałbym poważne





obawy, że elektronika skieruje auto prosto w bariery ochronne. Nie twierdzę, że tak by było, ale samo wrażenie było wystarczającym dyskomfortem. Zamiast spokojnie prowadzić samochód, walczyłem z jego elektroniką o utrzymanie właściwego toru jazdy. W takiej sytuacji system nie zwiększa bezpieczeństwa – wręcz przeciwnie, staje się kolejnym źródłem stresu dla kierowcy.

Ładowanie bez niespodzianek. Tak powinno wyglądać zarządzanie akumulatorem

Na szczęście nie wszystkie elektroniczne systemy Exlantixa ET pozostawiły po sobie mieszane odczucia. Zupełnie odwrotnie było podczas testu ładowania. Samochód podłączyłem do stacji GreenWay przy hotelu Dukat w Białej Podlaskiej. To ładowarka oznaczona jako 150 kW, jednak z własnego doświadczenia wiem, że w praktyce nigdy nie widziałem na



niej więcej niż około 120 kW. Co równie istotne, przez cały czas ładowania Exlantixa ET korzystałem z niej jako jedyny użytkownik, więc moc nie była dzielona pomiędzy dwa samochody.

Test rozpocząłem przy 24°C, czyli temperaturze praktycznie idealnej dla akumulatorów litowo-jonowych. Auto rozpoczęło ładowanie z poziomu 7% energii, a dynamicznie wyliczany zasięg wynosił zaledwie 30 kilometrów. Po zakończeniu procesu komputer pokładowy pokazywał już 100% naładowania oraz 428 kilometrów prognozowanego zasięgu. Sama stacja zarejestrowała przekazanie 90,809 kWh energii w ciągu 63 minut.

Najważniejsza okazała się jednak sama charakterystyka ładowania. Exlantix ET przez większą część procesu utrzymywał moc przekraczającą 110 kW, a ograniczanie rozpoczęło się dopiero w okolicach 80% naładowania. Krzywa była stabilna, bez gwałtownych wahań i nagłych spadków mocy. Od około 10 do 80% akumulator naładował się w około 35 minut, co należy uznać za





bardzo dobry wynik, zwłaszcza że ograniczeniem była w tym przypadku raczej sama stacja niż samochód. Paradoksalnie właśnie tutaj Exlantix ET pokazał, że problemem nie jest software jako taki. Problemem jest to, że jedne jego elementy są już bardzo dopracowane, a inne sprawiają wrażenie niedokończonych. Oprogramowanie zarządzające akumulatorem (BMS) działało wzorowo. Zupełnie inaczej niż systemy wspomagające kierowcę. Soft BMS to jeden z tych elementów, których kierowca na co dzień nie widzi, ale które mają ogromny wpływ na komfort eksploatacji auta elektrycznego. I w tym przypadku inżynierowie Exlantixa wzorowo odrobili pracę domową.

Komfort klasy premium, oprogramowanie jeszcze nie

I chyba właśnie tutaj tkwi największy paradoks Exlantixa ET. To samochód, który potrafi zachwycić komfortem. Fotele należą do jednych z najlepszych, z jakimi miałem do czynienia. Masaże, wyciszenie, jakość nagłośnienia czy nawet system zapachowy z trzema aromatami do wyboru sprawiają, że pierwsze wrażenie jest wręcz fenomenalne. Problem pojawia się dopiero wtedy, gdy przestajemy oglądać samochód na parkingu i zaczynamy nim normalnie jeździć. Właśnie wtedy okazuje się, że za imponującym sprzętem nie zawsze nadąża oprogramowanie. I żebyśmy się dobrze zrozumieli. To nie jest samochód, który mnie rozczarował dlatego, że jest zły. Rozczarował mnie



dlatego, że potencjał miał ogromny, a o końcowym efekcie zdecydowały błędy, które w większości wyglądają na programowe, a nie konstrukcyjne.

Mam dziwne poczucie, że Exlantix ET jest samochodem, który za rok może być znacznie lepszy niż dziś. Nie dlatego, że zmieni się jego zawieszenie, fotele czy akumulator. One już teraz są świetne. Największy potencjał poprawy tkwi w oprogramowaniu. Jeśli producent potraktuje opinie użytkowników poważnie i będzie rozwijał systemy wspomagające jazdę poprzez aktualizacje OTA, wiele z opisanych przeze mnie problemów może po prostu zniknąć. Pytanie brzmi, czy tak się stanie? Dzisiaj mogę ocenić tylko samochód, którym faktycznie jeździłem.

Exlantix ET ★★★★★

- Design: 5/6
- Jakość wykonania: 5,5/6
- Oprogramowanie: 2,5/6
- Wydajność: 5/6

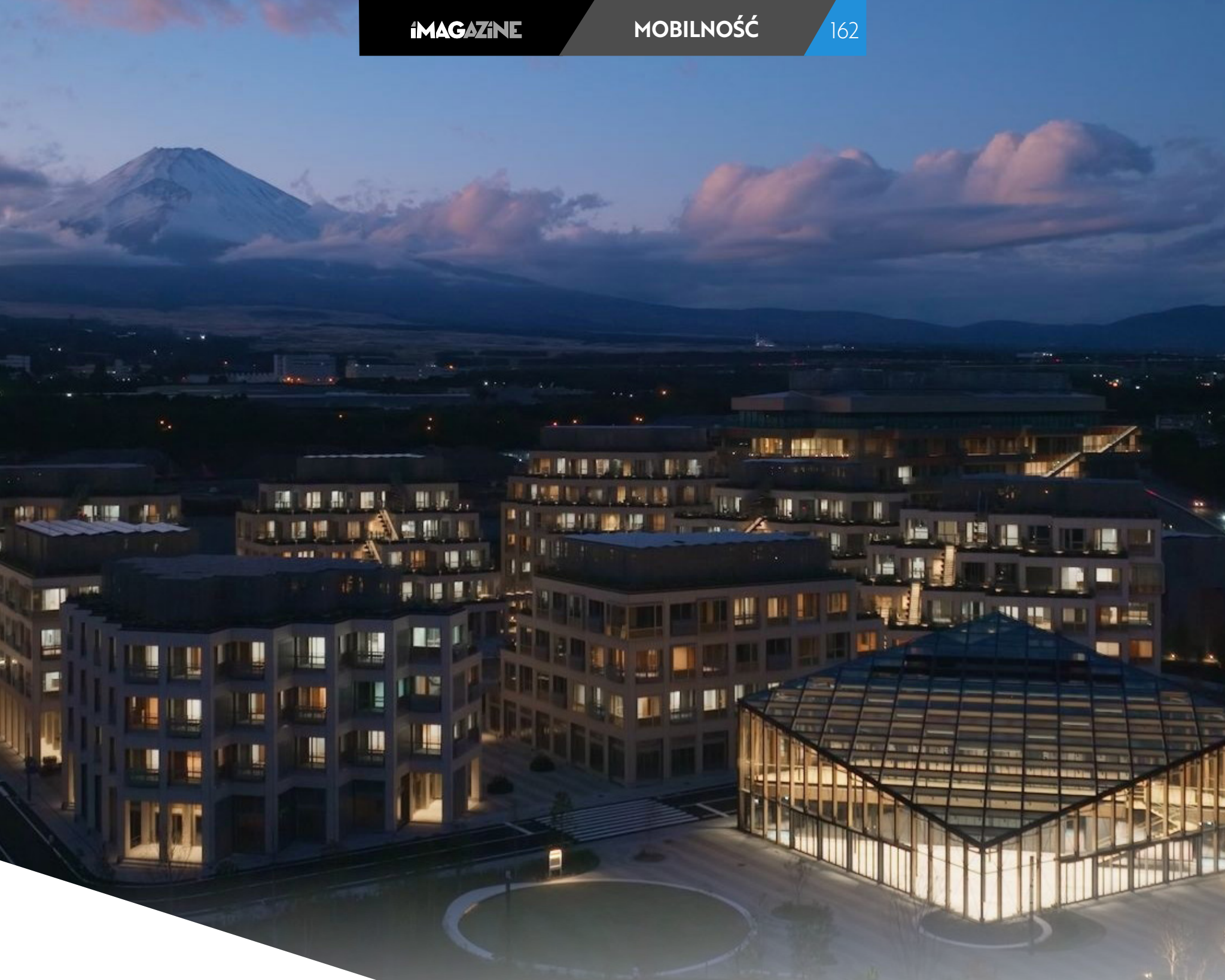
+ Plusy:

- Niezwykle bogate wyposażenie w standardzie (w tym relaksująca „leżanka” dla pasażera)
- Królewski komfort jazdy dzięki rewelacyjnemu zawieszeniu pneumatycznemu
- Fenomenalnie brzmiący system audio z Dolby Atmos
- Wzorowe zarządzanie baterią (BMS) i bardzo stabilna krzywa ładowania
- Imponująca dynamika i pewne przeniesienie mocy na asfalt

– Minusy:

- Niedopracowane, irytujące i stresujące oprogramowanie asystentów wspomagających kierowcę
- Brak reflektorów matrycowych w samochodzie aspirującym do klasy premium
- Źle skalibrowany system automatycznych świateł drogowych





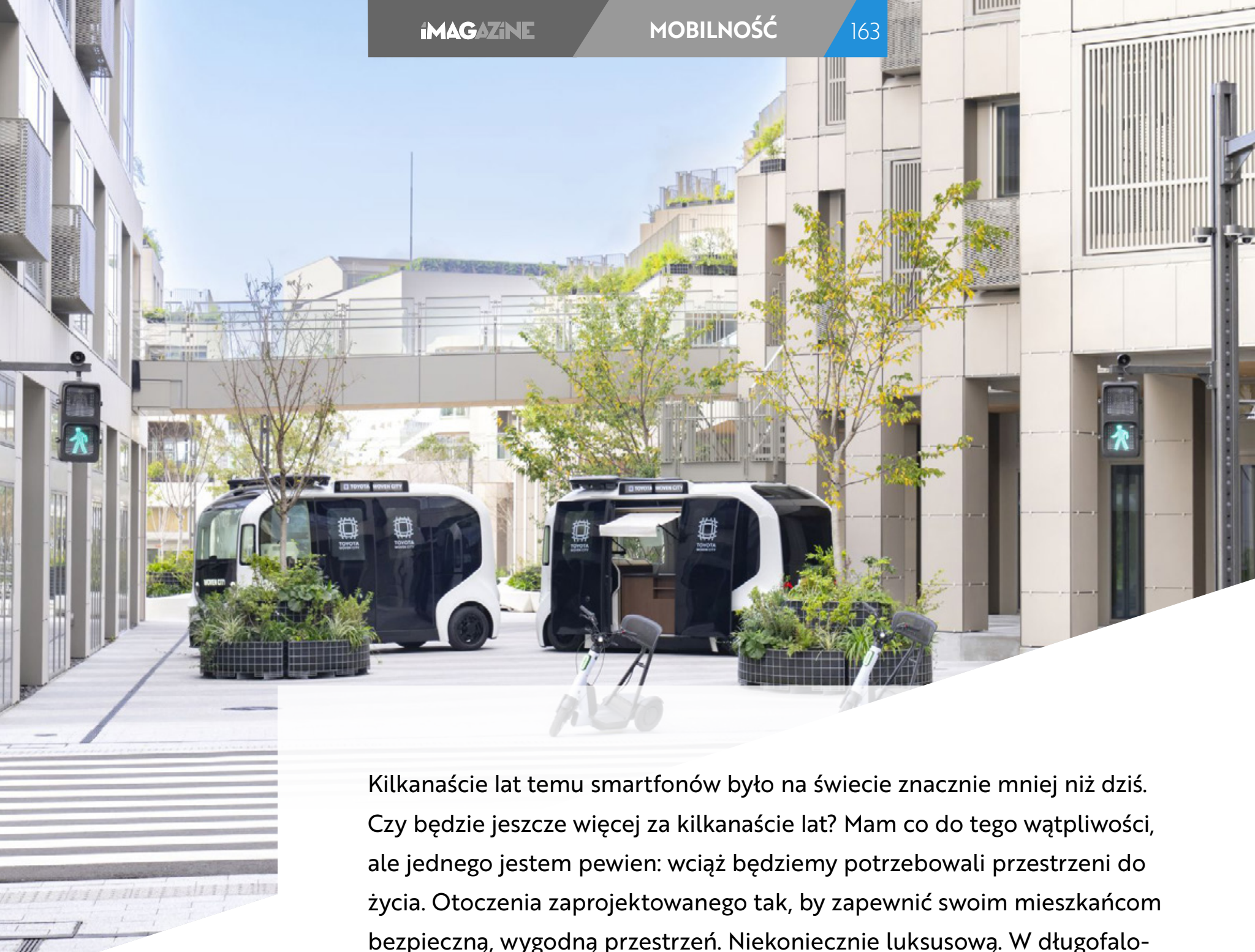
DARIUSZ HAŁAS
[@blob_tech](#)

Woven City

Projekt rzeczywistości

Kiedy we wrześniu 2025 roku rynek żył kolejnymi premierami smartfonów i zastanawiał się, czy nowe procesory wykręcą lepsze wyniki w benchmarkach, w Japonii, u stóp góry Fuji, działo się coś, co może mieć nieporównywalnie większy wpływ na to, jak będziemy żyć za kilkanaście lat.





Kilkanaście lat temu smartfonów było na świecie znacznie mniej niż dziś. Czy będzie jeszcze więcej za kilkanaście lat? Mam co do tego wątpliwości, ale jednego jestem pewien: wciąż będziemy potrzebowali przestrzeni do życia. Otoczenia zaprojektowanego tak, by zapewnić swoim mieszkańcom bezpieczną, wygodną przestrzeń. Niekoniecznie luksusową. W długofalowej skali to wygoda i bezpieczeństwo stają się luksusem właśnie.

25 września 2025 roku Toyota oficjalnie zainaugurowała działalność Woven City – w pełni funkcjonalnego, inteligentnego miasta, zbudowanego od zera na terenach dawnego centrum technicznego Higashi-Fuji u stóp najsłynniejszego stratowulkanu świata. To coś więcej niż nowa, ultranowoczesna fabryka. Fabryka skupia się na produkcji. Toyota otwarciem wciąż rozwijanego Woven City pokazała coś innego. Globalny gigant motoryzacyjny przestał być tylko największym na świecie producentem samochodów. Stał się dostawcą ekosystemu życia.

71 hektarów przyszłości

Na pierwszy rzut oka ten rozciągający się docelowo na blisko 71 hektarach projekt wygląda jak spełnienie marzeń architektonicznych futurystów. Ale po początkowym zachwycie nad drewnianą architekturą, wszechobecną sztuczną inteligencją i podziemnymi robotami kurierskimi przychodzi



czas na chłodną analizę. Bo Woven City to nie jest radosna, otwarta utopia, stanowiąca oś fabuły wielu historii fantastycznonaukowych. To wyceniany na gigantyczne pieniądze, szczelnie zamknięty, technologiczny poligon doświadczalny. W pierwszej fazie wprowadzono tam około 360 mieszkańców (nazywanych Weavers, czyli Tkaczami) – w dużej mierze pracowników koncernu z ich rodzinami, którzy całodobowo testują technologie jutra w warunkach codziennego życia.

Brzmi intrygująco, ale Woven City to nie historia SF, lecz projekt osadzony w naszej rzeczywistości, rzeczywistości, która wymaga zrozumienia szerszego kontekstu. Z pewnością w głowach wielu z was pojawia się pytanie: dlaczego Woven City w ogóle powstało?

Technologia zamiast biurokracji

Zastanówmy się najpierw, po co w ogóle budować własne miasto? Odpowiedź, wbrew pozorom, nie leży wyłącznie w inżynierskiej wizji, lecz jest do bólu pragmatyczna: chodzi o uwarunkowania prawne i stan infrastruktury. W dzisiejszym świecie technologia wyprzedziła legislację o lata. Niezależnie





od szerokości geograficznej procedury legislacyjne, certyfikacje i miejska biurokracja trwają... długo. Koncern tej wielkości po prostu nie mógł czekać, aż rządy na całym świecie stworzą ramy prawne pozwalające na swobodne testowanie pojazdów w pełni autonomicznych, latających taksówek czy nawet zautomatyzowanych kurierów na publicznych ulicach. Warto jednocześnie docenić, że Toyota nie zdecydowała się na ruch pewnej firmy z Teksasu, która własnych klientów traktuje jak beta testerów, oferując im za konkretne pieniądze obietnicę autonomii. Dodajmy – wciąż niespełnioną.

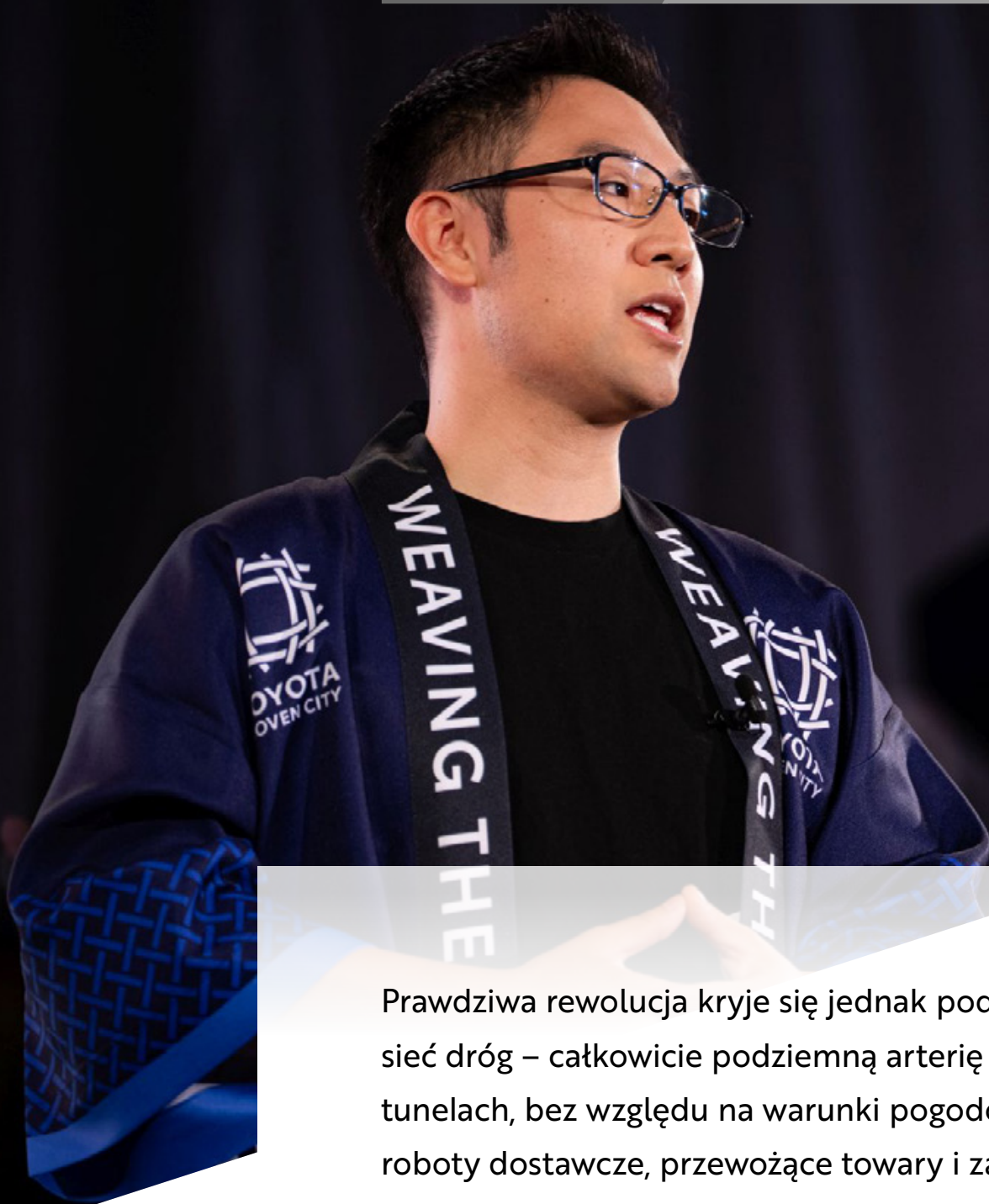
Co zrobili Japończycy? Zadziałali z rozmachem. Kupili ziemię, zbudowali własną infrastrukturę i samemu stanowią w tej zamkniętej przestrzeni prawo o ruchu drogowym. W Woven City to właśnie twórcy ustalają zasady, co pozwala na natychmiastowe wdrażanie eksperymentów prosto z deski kreślarskiej. Biorąc pod uwagę, że firma łąduje rocznie w badania i rozwój kwotę 1,3 biliona jenów (równowartość 8,8 mld dolarów), zarządzając 23 ośrodkami R&D na świecie, można zrozumieć ten pośpiech. Woven City to perła w koronie tych inwestycji, mająca dać przewagę rynkową, której nie dogoni nikt, kto musi prosić lokalny zarząd dróg o zgodę na postawienie nowego czujnika na latarni.



Koniec tradycyjnych ulic, czyli separacja ruchu

To bezkompromisowe podejście doskonale widać w koncepcji urbanistycznej. W tradycyjnym mieście zapanowanie nad ruchem to inżynierski i planistyczny chaos. Urbaniści w Japonii postanowili ten problem wyeliminować już na etapie wylewania fundamentów, projektując sieć splecionych ze sobą ciągów komunikacyjnych (stąd nazwa Woven – pleciony). Zamiast tradycyjnego podziału na jezdnię i chodnik na powierzchni wprowadzono trzy całkowicie odseparowane typy dróg. Pierwsza to promenady przeznaczone wyłącznie dla ruchu pieszego, przypominające bezpieczne parki. Druga kategoria to przestrzeń współdzielona, gdzie piesi mijają się z urządzeniami mikromobilności – takimi jak na przykład kompaktowe, elektryczne trójkołowce PMV (Personal Mobility Vehicle). Trzecia strefa to absolutne sacrum autonomii – ulice zarezerwowane tylko dla pojazdów autonomicznych, takich jak pojemne, zasilane bateriami busy Toyota e-Palette, które mogą pełnić rolę transportową, mobilnych sklepów czy nawet punktów usługowych. Dzięki takiej rygorystycznej separacji ryzyko potrącenia pieszego przez autonomiczny samochód, z którym borykają się twórcy algorytmów testowanych na zwykłych ulicach, spada tu niemal do zera. To wydaje się dość rozsądne podejście: chcesz wizji „zero wypadków”? Wyeliminuj chaos.





Prawdziwa rewolucja kryje się jednak pod ziemią. Zbudowano tam czwartą sieć dróg – całkowicie podziemną arterię dedykowaną logistyce. To w tych tunelach, bez względu na warunki pogodowe, uwijają się autonomiczne roboty dostawcze, przewożące towary i zaopatrzenie wprost do zintegrowanych szybów technicznych wewnątrz budynków. Zamiast tradycyjnego kuriera pukającego do drzwi autonomiczny system dowozi paczkę windą techniczną i umieszcza ją w specjalnej, wbudowanej w ścianę szafie. Brzmi jak coś z filmu SF, prawda?

Zbudowanie takiego systemu od podstaw na ogromnej, odpowiednio przygotowanej działce to niewątpliwie imponujący wyczyn. Jednak jak te rozwiązania, zwłaszcza potężna i kosztowna infrastruktura podziemna, mają się skalować na żywe, funkcjonujące od setek lat metropolie, które duszą się od braku miejsca i przestarzałej kanalizacji? Próba zaimplementowania podziemnych robotów w zabytkowych europejskich miastach wydaje się na ten moment abstrakcją. Woven City jest sterylne i poukładane, ale świat, do którego te technologie mają ostatecznie trafić – taki nie jest. Mam wrażenie, że Toyota doskonale to rozumie. Woven City nie jest czymś na kształt prototypu infrastrukturalnego produktu z półki. To nie jest uniwersalny szablon, który może u siebie wdrożyć Tokio, Paryż, czy Warszawa. Celem jest coś innego. Zintegrowany ekosystem pozwala zagęścić liczbę



testowanych rozwiązań, ale nie łudźmy się: do naszego świata trafi po prostu to, co sprawdzi się najlepiej.

Architektura z drewna i ekonomia wodoru

Same budynki w Woven City również stanowią swego rodzaju manifest. Wzniesiono je przy użyciu tradycyjnej japońskiej sztuki ciesielskiej Sashimono, która polega na łączeniu drewna bez użycia gwoździ. Proces ten oczywiście wspierała zaawansowana robotyka, a wykorzystanie drewna miało na celu zminimalizowanie śladu węglowego miasta. Brak betonu i cementu w budynkach nie jest przypadkowy. Tylko wspomnę, że gdyby przemysł cementowy był państwem, zajmowałby trzecie miejsce na świecie (8% globalnej emisji CO₂) pod względem emisyjności zaraz za USA i Chinami. Oczywiście całkowicie betonu uniknąć się nie dało, ale jego obecność w Woven City została ograniczona do miejsc, gdzie jego użycie było technologicznie konieczne.

Trzeba przyznać, że efekt wizualny jest świetny, to architektura, która łączy naturę z cyfryzacją. Każdy z domów, choć zwieńczony systemami





fotowoltaicznymi, czerpie jednak swoją główną moc z wodoru. Pod miastem znajduje się rozbudowana sieć rurociągów przesyłających wodór bezpośrednio do domowych ogniw paliwowych, co ma zapewnić bezemisyjną energię ciepłą i elektryczną dla mieszkańców.

I znowu – w zamkniętym, w pełni kontrolowanym środowisku, jakie stworzyła Toyota, takie rozwiązanie może istnieć i działa sprawnie. Warto jednak zapytać o makroekonomiczny sens tego przedsięwzięcia w ujęciu globalnym. Pozyskiwanie tzw. zielonego wodoru na masową skalę wciąż jest procesem trudnym, drogim i energetycznie zasobochłonnym. Oparcie całego miasta na wodorze wydaje się potężnym zakładem o to, że globalna gospodarka energetyczna w końcu pójdzie w tę samą stronę. Niestety, biorąc pod uwagę obecne trendy, wcale nie jest to jeszcze takie pewne. Choć, jak wiemy, natura nie negocjuje, a poziom CO₂ nie patrzy na legislaturę i normy społeczne.

Warto jeszcze zwrócić uwagę na jeden fakt, wspomniałem o wodorowych rurociągach. Wodoru nie możemy transportować w „zwykłych” rurach, jak np. gazu ziemnego. Wodór to najmniejsza cząsteczka w układzie



okresowym, ucieka przez mikroskopijne nieszczelności oraz powoduje tzw. kruchość wodorową stali (stal staje się krucha jak szkło). Japońscy inżynierowie Toyoty we współpracy z gigantem energetycznym ENEOS ominęli ten problem, projektując kompozytowy system transportowy. W Woven City rury przesyłowe ukryte w podziemnych tunelach są wykonane wielowarstwowo z wewnętrzną powłoką polimerową oraz opłotem z włókna węglowego i aramidowego. Zapobiega to dyfuzji (przenikaniu) cząsteczek wodoru na zewnątrz. Tyle że to... bardzo drogie rozwiązanie. Zielony wodór na potrzeby Woven City jest produkowany przez ENEOS za pomocą elektrolizerów zasilanych energią odnawialną w stacji zlokalizowanej bezpośrednio przy granicy miasta. Rurociąg nie ciągnie się kilometrami przez kraj – zasila jedynie stacjonarne ogniwa paliwowe Toyoty wewnątrz zamkniętego, 70-hektarowego obszaru testowego. Wykonalne? Tak. Skalowalne do rozmiarów całych miast? Nie przy obecnych kosztach tej technologii.

Dlatego w Woven City testuje się również alternatywne rozwiązanie: przenośne kapsuły wodorowe. Ważą ok 5 kg, przypominają duże, poręczne baterie. Transportowane podziemną, autonomiczną siecią „kurierską” trafiają do mieszkańców, którzy mogą je bez problemu wymieniać w swoich urządzeniach. Takie podejście ma, jak się wydaje, większe szanse na komercyjny hit w przyszłości.





Cyfrowy mózg, czyli Arene OS i AI

Nie można mówić o inteligentnym mieście bez zerknięcia w jego oprogramowanie. Zamiast budować infrastrukturę IT z klocków od różnych dostawców, narzucono własny, spójny standard: platformę Arene. System ten, który swój rynkowy debiut miał w nowych generacjach modelu Toyota RAV4 jako oprogramowanie do zarządzania funkcjami auta (wprowadzając je w erę Software Defined Vehicles), w Woven City urasta do rangi potężnego, miejskiego układu nerwowego. Oprogramowanie Arene składa się z trzech komponentów: SDK (czyli narzędzia programistyczne), Tools (środowisko do wirtualnego testowania nowych rozwiązań) oraz Arene Data, modułu odpowiadającego za zbieranie i bieżącą analizę danych.

W tkance miejskiej to oprogramowanie współpracuje z modelem Woven City AI Vision Engine – systemem sztucznej inteligencji typu Vision Language, który nieustannie analizuje zbiory danych wizualnych, środowiskowych i behawioralnych napływające z milionów sensorów. O bezpieczeństwo na ulicach dba z kolei Zintegrowany System ANZEN, w skład którego wchodzi moduł Behavior AI (badający i analizujący wzorce zachowań mieszkańców) oraz Drive Sync Assist. Ten ostatni, za pośrednictwem specjalnych, wielofunkcyjnych słupów miejskich (zastępujących klasyczne latarnie i sygnalizację) zarządza komunikacją między pojazdami i samą infrastrukturą.

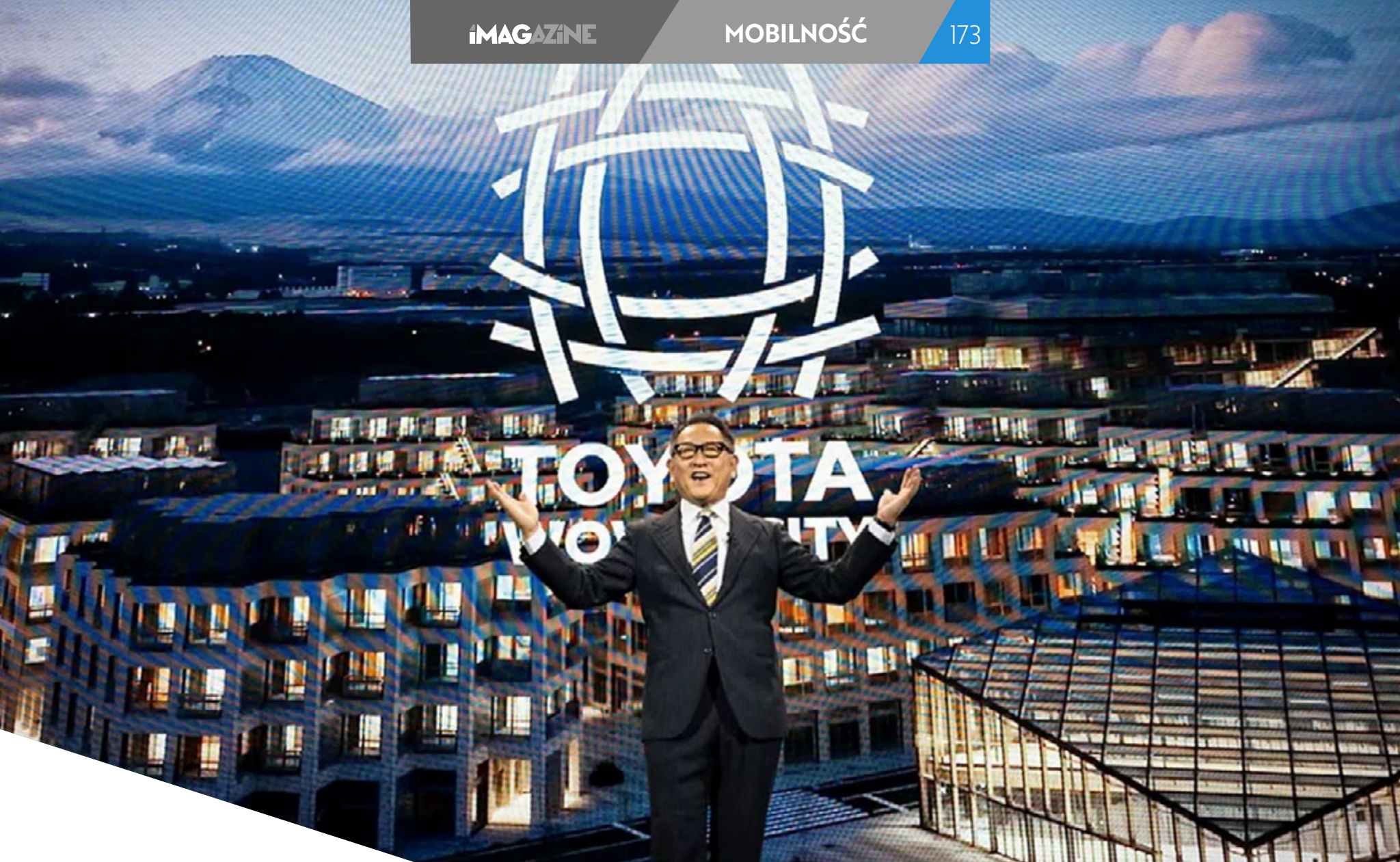


Architektura danych pod lupą

Właśnie w tym bezbłędnie działającym cyfrowym ekosystemie kryją się wyzwania, które Toyota bada na niespotykaną dotąd skalę. Wszystkie strumienie danych – od godzin wyjścia z domu, przez wybór transportu, aż po zużycie wodoru w kuchni – trafiają do scentralizowanych platform Woven City Infra Hub oraz Data Fabric. Choć systemy te projektowane są z myślą o rygorystycznym poszanowaniu prywatności, to integracja roli właściciela gruntu, dostawcy energii i twórcy miejskiego systemu operacyjnego naturalnie stawia Woven City w roli pioniera nowego typu zarządzania informacją.

Taka centralizacja i zależność od oprogramowania Arene OS rodzi też fundamentalne pytania o cyberbezpieczeństwo i niezawodność. Co stanie się w przypadku awarii cyfrowego rdzenia lub zmasowanego ataku? W mieście zintegrowanym przez AI paraliż systemu oznaczałby, że np. zautomatyzowane podziemne wózki z zaopatrzeniem po prostu stanęłyby w ciemnych tunelach. Ten poziom technologicznej zależności w tradycyjnym mieście budziłby uzasadniony niepokój.





Japończycy doskonale o tym wiedzą. Właśnie dlatego Toyota od samego początku pozycjonuje Woven City nie jako „gotowy produkt”, lecz jako żywe laboratorium. Miasto istnieje po to, aby mieć komfort bezpiecznego testowania skrajnych scenariuszy, popełniania błędów i wyciągania z nich wniosków w kontrolowanych warunkach – zanim te przełomowe technologie trafią do wielkich metropolii na całym świecie.

Kakezan, czyli biznes oparty na multiplikacji

Kluczem do zrozumienia komercjalizacji całego tego projektu jest japońskie pojęcie Kakezan oznaczające multiplikację, czyli mnożenie potencjału poprzez szeroką współpracę. Woven City to w zasadzie platforma, ogromny komercyjny hub dla firm z zewnątrz, tak zwanych Wynalazców, którzy mogą testować tam swoje nowatorskie usługi. Do kwietnia 2026 roku zgromadziło się tam już 24 partnerów. Zestawienie to jest całkiem imponujące. Z jednej strony mamy korporację Daikin, która bada możliwości stworzenia stref klimatycznych całkowicie wolnych od alergenów. Z drugiej – gigantów spożywczych, Nissin Food Products oraz UCC Japan, którzy, wykorzystując to kontrolowane środowisko, analizują wpływ otoczenia na kreatywność mieszkańców stymulowaną... odpowiednio dobraną kawą. Są też



przedsięwzięcia dużo cięższego kalibru. Joby Aviation rozwija tam analitykę pod latające taksówki (eVTOL), a Interstellar Technologies testuje systemy związane z produkcją rakiet kosmicznych. Swój wkład ma nawet znany artysta Naoto Inti Raymi, który stworzył pejzaże dźwiękowe miasta.

Wszystkie te rozwiązania powstają w zrewitalizowanych halach dawnej tłoczni, które przekształcono w kompleksowe centrum badawcze Inventor Garage. Model działania jest tu bardzo logiczny: najpierw budowa prototypu w Inventor Garage, potem testy na wydzielonym poligonie, a na końcu wdrożenie wśród żywych mieszkańców. Ten mechanizm sprawia, że zewnętrzni partnerzy chętnie zapłacą za możliwość partycypacji w unikalnym, wyjętym spod ogólnych biurokratycznych ograniczeń ekosystemie. A wypracowane, przetestowane tu systemy z zakresu smart city giganci technologiczni będą za kilka lat oferować na całym świecie.

Woven City to bezapelacyjnie fascynujący pokaz siły. Zarówno potęgi finansowej, jak i technologicznej odwagi. Udowadnia dobitnie, że sektor prywatny potrafi kreować innowacyjne przestrzenie znacznie szybciej, niż kiedykolwiek zrobi to zbiurokratyzowany aparat państwowy czy klasyczni deweloperzy...

Podsumowanie: czy to nasza przyszłość?

Z biegiem czasu populacja miasta ma wzrosnąć do planowanych 2000 osób, wśród których znajdą się nie tylko badacze i innowatorzy, ale także specjalne grupy testowe: seniorzy (idealni do badań nad asystą robotyczną w opiece) oraz rodziny z dziećmi. Co więcej, od roku fiskalnego 2026 koncern uruchamia program dla gości z zewnątrz jako Jednodniowych Tkaczy (One Day Weavers), dając im możliwość wejścia w interakcję z tą architekturą przyszłości. Zapewne chętnych do sprawdzenia na żywo e-Palette czy podziemnego systemu dostaw nie zabraknie.



Woven City to bezapelacyjnie fascynujący pokaz siły. Zarówno potęgi finansowej, jak i technologicznej odwagi. Udowadnia dobitnie, że sektor prywatny potrafi kreować innowacyjne przestrzenie znacznie szybciej, niż kiedykolwiek zrobi to zbiurokratyzowany aparat państwowy czy klasyczni deweloperzy napędzani głównie zyskiem, a nie perspektywiczną wizją. Jednakże wygoda, sterylność i ta zrobotyzowana sprawność, którą tu wypracowano, mają swoją cenę. Otrzymujemy środowisko doskonałe technicznie, ale uzależnione od szczelnego oprogramowania i scentralizowanych algorytmów analizujących każdy aspekt życia.

Zanim na fali zachwyty nad nowinkami zapragniemy przeniesienia takich rozwiązań jak Arene OS na ulice miast, w których dzisiaj żyjemy, warto sobie zadać kluczowe pytanie. Czy dla idealnie zsynchronizowanej komunikacji miejskiej, braku korków i paczki dostarczanej windą ukrytą w ścianie, jesteśmy faktycznie gotowi powierzyć monopol na nasze dane i cały cyfrowy krwiobieg miasta w ręce jednej, globalnej korporacji? Dzięki Woven City mamy komfort stawiania sobie takich pytań.

Materiał powstał przy współpracy z marką Toyota





DOMINIK ŁADA
[@dominiklada](#)

Wakacyjna podróż zaczyna się od... opon. Jak przygotować auto do letnich wyjazdów?

Wakacyjne wyjazdy samochodem mają w sobie coś wyjątkowego. Często to właśnie droga staje się częścią przygody – szczególnie gdy zamiast najkrótszej trasy wybieramy malownicze alpejskie serpentyny, chorwackie wybrzeże czy mniej uczęszczane drogi prowadzące przez małe miasteczka. Aby jednak podróż rzeczywiście była przyjemnością, warto poświęcić chwilę na odpowiednie przygotowanie samochodu.



I nie chodzi wyłącznie o sprawdzenie poziomu oleju czy działania klimatyzacji. Jednym z najważniejszych elementów wpływających na bezpieczeństwo i komfort pozostają opony.

Opony mają większe znaczenie, niż się wydaje

To jedyny element samochodu mający bezpośredni kontakt z nawierzchnią. Od ich jakości zależy skuteczność hamowania, stabilność podczas szybkiej jazdy autostradą, zachowanie auta na mokrej nawierzchni czy poziom hałasu we wnętrzu.

Jak podkreśla Martin Dražík, Product Manager Central Europe w Nokian Tyres, letnia podróż nie powinna być wyścigiem z czasem. Najlepsze wspomnienia powstają wtedy, gdy kierowca i pasażerowie mogą cieszyć się samą drogą, mając poczucie bezpieczeństwa i pewności prowadzenia.

Nowoczesne opony mają dziś spełniać znacznie więcej zadań niż jeszcze kilka lat temu. Oprócz przyczepności liczy się trwałość, odporność na uszkodzenia, komfort jazdy, efektywność energetyczna oraz przewidywalne zachowanie zarówno na suchej, jak i mokrej nawierzchni.





Dobór opon do stylu jazdy

Oferta letnich opon jest dziś bardzo szeroka, dlatego warto dopasować model do własnych potrzeb.

Kierowcy często pokonujący długie trasy autostradowe i oczekujący precyzyjnego prowadzenia mogą zainteresować się modelem Nokian Tyres Powerproof 2. Producent stawia tutaj na stabilność przy wyższych prędkościach oraz skuteczne hamowanie. Opona została również doceniona przez redakcję magazynu „Motor”, wygrywając test letnich opon SUV 2026 w rozmiarze 235/55 R18.

Osoby, które zdecydowanie częściej poruszają się po mieście lub regionalnych drogach i chcą przede wszystkim zachować wysokie bezpieczeństwo podczas intensywnych opadów deszczu, mogą zwrócić uwagę na Nokian Tyres Wetproof 1. Model został zaprojektowany z myślą o pewnym prowadzeniu na mokrej nawierzchni i ograniczeniu ryzyka utraty przyczepności.

Coraz większą popularnością cieszą się także opony całoroczne. Nokian Tyres Seasonproof 2 to propozycja dla kierowców, którzy chcą uniknąć sezonowej wymiany ogumienia. Model zdobył certyfikat TÜV SÜD Premium Tire Mark oraz wysokie miejsca w niezależnych testach dzięki dobrym właściwościom zarówno latem, jak i zimą.



Wytrzymałość ma znaczenie

Podczas wakacyjnych wyjazdów samochody często są mocniej obciążone niż na co dzień. Bagażnik wypełniony po brzegi, rowery na haku czy dodatkowy bagaż na dachu oznaczają większe obciążenie dla zawieszenia i opon.

Dlatego coraz większego znaczenia nabierają rozwiązania zwiększające odporność ogumienia na uszkodzenia. W modelach Powerproof 2 oraz Seasonproof 2 od rozmiaru 17 cali producent stosuje technologię Aramid Sidewall. Włókna aramidowe wzmacniają boki opony, poprawiając odporność na przecięcia, uszkodzenia spowodowane uderzeniem w krawężnik czy głębokie dziury, bez pogarszania komfortu jazdy.

Nie bez znaczenia pozostaje również głębokość bieżnika. Choć przepisy dopuszczają niższe wartości, eksperci zalecają pozostawienie minimum 3 mm bieżnika.

Kilka minut kontroli przed wyjazdem może oszczędzić wielu problemów

Przed dłuższą trasą warto przeprowadzić krótki przegląd samochodu. Oprócz sprawdzenia stanu akumulatora, działania klimatyzacji, hamulców czy wycieraczek nie należy zapominać o samych oponach.

Najważniejszym parametrem pozostaje prawidłowe ciśnienie. Powinno być sprawdzane zawsze na zimnych oponach i dostosowane do zaleceń producenta pojazdu. W przypadku wyjazdu z kompletem pasażerów i pełnym bagażnikiem producent samochodu zwykle zaleca nieco wyższe wartości.

Nie bez znaczenia pozostaje również głębokość bieżnika. Choć przepisy dopuszczają niższe wartości, eksperci zalecają pozostawienie minimum 3 mm bieżnika. Pozwala to zachować lepszą przyczepność podczas intensywnych opadów i ogranicza ryzyko wystąpienia aquaplaningu.

Samochody elektryczne stawiają nowe wymagania

Rosnąca liczba samochodów elektrycznych sprawia, że również producenci opon muszą dostosowywać swoje konstrukcje do nowych realiów. Elektryki są zwykle cięższe od samochodów spalinowych, oferują wysoki



moment obrotowy dostępny od pierwszego wciśnięcia pedału przyspieszenia, a przy tym są znacznie cichsze.

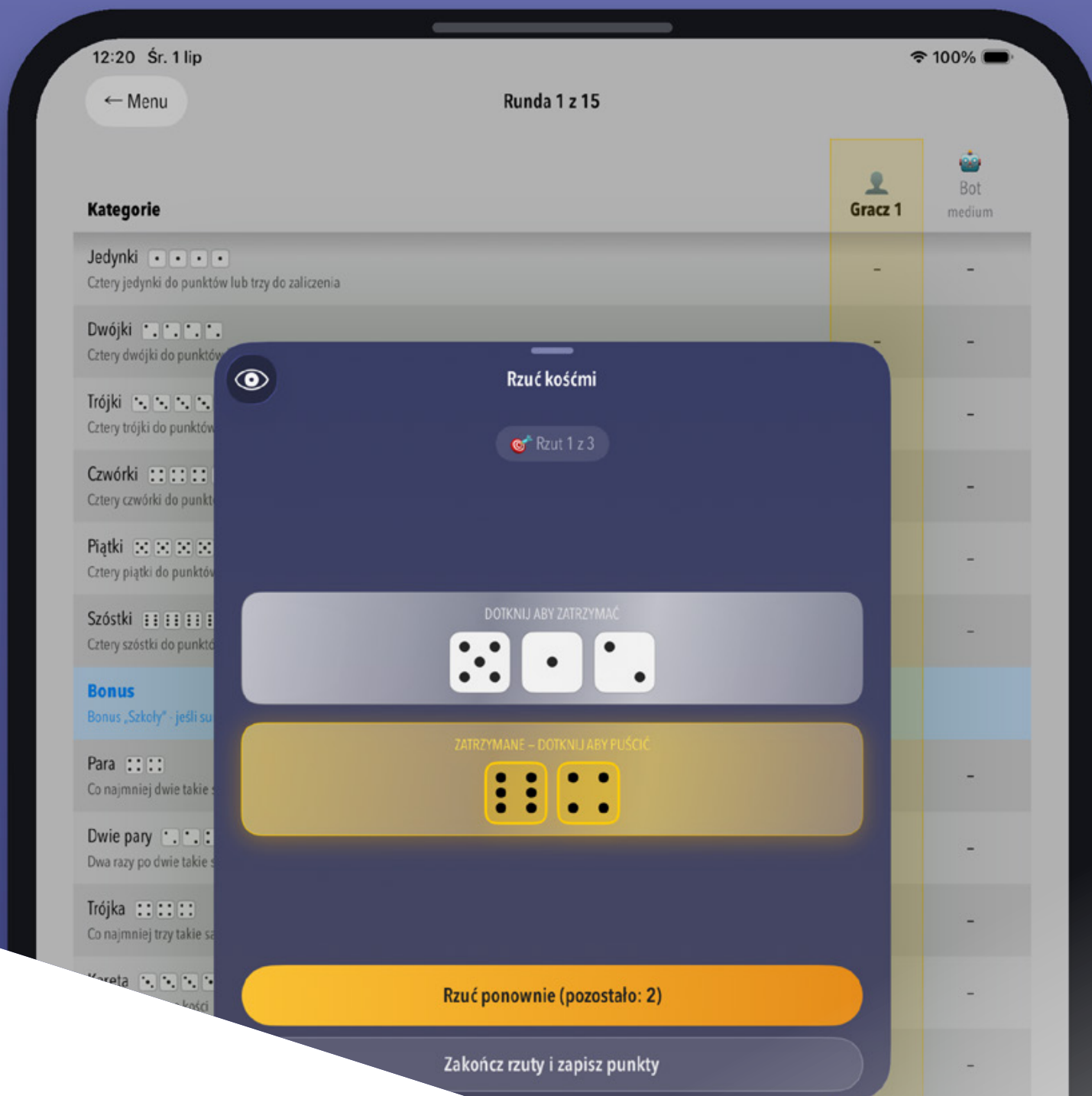
To oznacza większe wymagania dotyczące trwałości, komfortu oraz poziomu hałasu generowanego przez opony. Nokian Tyres stosuje oznaczenie Electric Fit™, które informuje, że dany model został zaprojektowany i przetestowany z myślą zarówno o samochodach elektrycznych, jak i spalinowych.

Bezpieczna podróż to spokojna podróż

Wakacyjne wyjazdy mają być odpoczynkiem, a nie źródłem niepotrzebnego stresu. Odpowiednio dobrane opony, właściwe ciśnienie i szybka kontrola stanu technicznego samochodu to czynności, które zajmują zaledwie kilka minut, a mogą mieć ogromny wpływ na bezpieczeństwo całej podróży.

Bo choć często planujemy trasę z dokładnością do kilku minut, warto pamiętać, że równie ważne jest to, na czym tę trasę pokonujemy. Dobre opony nie sprawią, że wakacje będą bardziej słoneczne, ale z pewnością mogą sprawić, że droga do celu będzie znacznie spokojniejsza i bezpieczniejsza.





DOMINIK ŁADA
@dominiklada

Kości+ – klasyczna gra w nowocześnie wydaniu

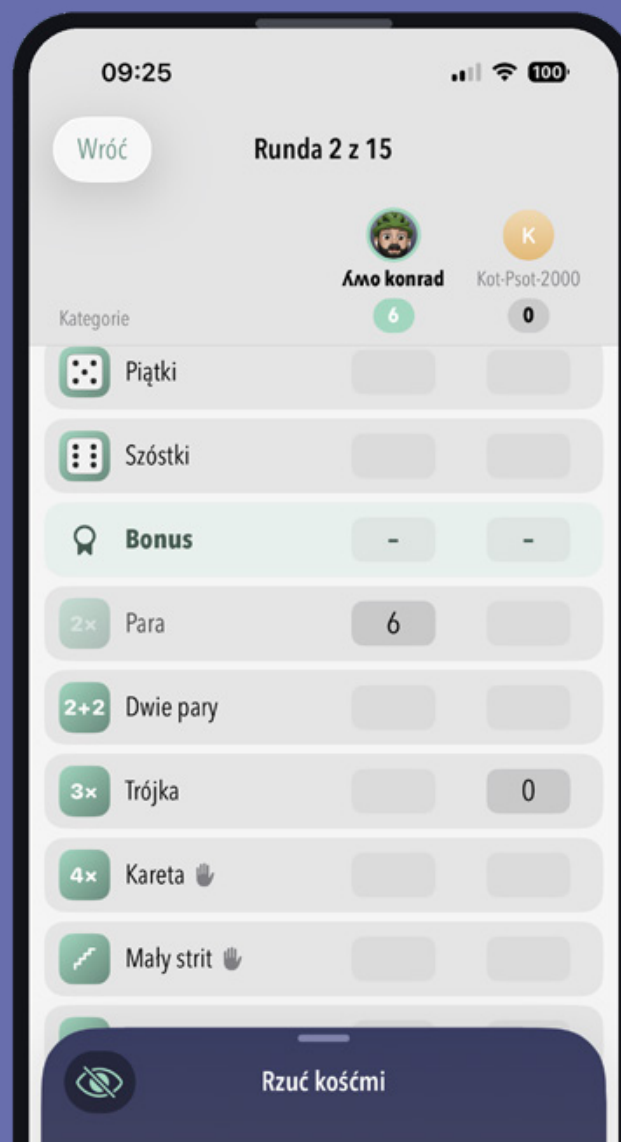
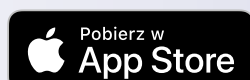
Nie każda mobilna gra musi epatować efektami specjalnymi. Czasem wystarczy świetnie znana rozgrywka, dopracowany interfejs i kilka pomysłów, które sprawiają, że do aplikacji chce się wracać. Tak właśnie jest z Kości+ autorstwa Konrada Falkowskiego. To współczesna interpretacja klasycznej gry w kości, przygotowana z myślą o użytkownikach iPhone'ów, iPadów oraz komputerów Mac.



Aplikacja oferuje klasyczne zasady gry pięcioma kośćmi, wariant z sześcioma kośćmi, a także możliwość tworzenia własnych tabel punktacji dzięki rozbudowanemu edytorowi zasad. Możemy grać lokalnie, przez Wi-Fi lub Bluetooth, online z wykorzystaniem Game Center, a gdy brakuje przeciwnika – z botami o trzech poziomach trudności. Na uwagę zasługuje również wygodny tryb turowy, dzięki któremu partię można rozgrywać we własnym tempie.

Twórca regularnie rozwija projekt, dodając kolejne funkcje, osiągnięcia Game Center, nowe skórki, udoskonalenia interfejsu czy dodatkowe opcje personalizacji. Co równie ważne, Kości+ nie zawierają reklam ani mechanizmów śledzenia użytkownika, a podstawowa wersja gry jest dostępna bezpłatnie. To przykład niewielkiej, ale bardzo dopracowanej aplikacji, która pokazuje, że klasyczne gry planszowe i towarzyskie doskonale odnajdują się także w ekosystemie Apple.

Link do pobrania gry:





ASSASSIN'S CREED BLACK FLAG RESYNCD

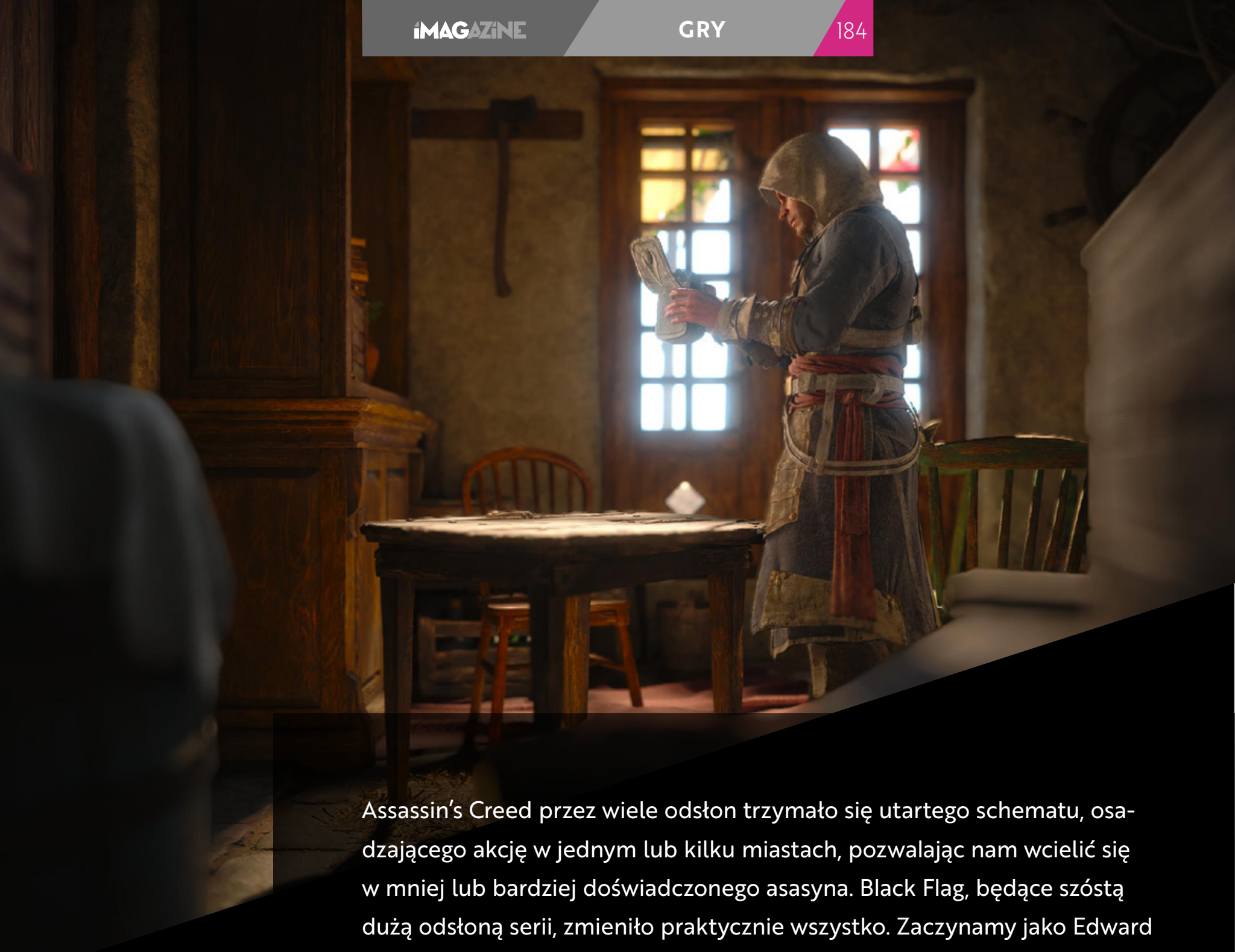


PAWEŁ HAĆ
@pawelhac

Assassin's Creed Black Flag Resynced

Niewiele jest gier, które ukończyłem więcej niż raz, głównie z uwagi na brak czasu. Nie zamierzałem spędzać więc zbyt wiele czasu w Black Flag Resynced, którego historię dobrze przecież znam. 30 godzin później miałem już grę za sobą i nie żałuję ani minuty, którą w niej spędziłem.



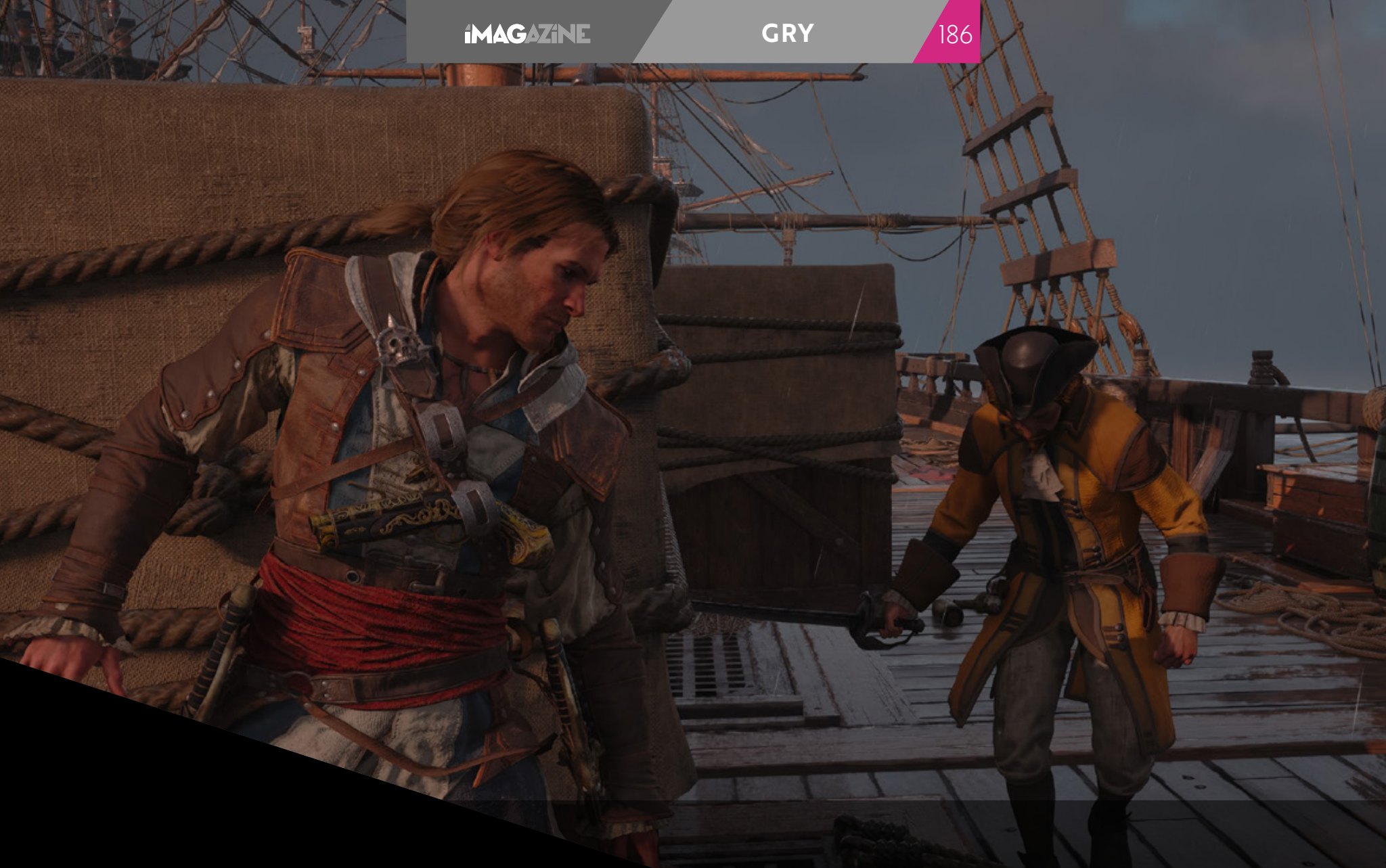


Assassin's Creed przez wiele odsłon trzymało się utartego schematu, osadzającego akcję w jednym lub kilku miastach, pozwalając nam wcielić się w mniej lub bardziej doświadczonego asasyna. Black Flag, będące szóstą dużą odsłoną serii, zmieniło praktycznie wszystko. Zaczynamy jako Edward Kenway, kierowany żądzą bogactwa pirat, który w pierwszych minutach gry pozbawia życia nieznanego asasyna, podszywając się pod niego, brata się z templariuszami, by finalnie uprowadzić statek, którym przez większość czasu podróżować będziemy między licznymi wyspami i miastami, szukając skarbów, napadając inne okręty i robiąc wszystko, by zdobyć sławę, nieważne czy dobrą, czy złą. Wątek asasynów jest tu zepchnięty na bardzo daleki plan i przez długi czas bohater pozostaje wobec nich obojętny, a współpraca z nimi ma wyłącznie transakcyjny charakter. Jednocześnie Black Flag jest tytułem, w którym przemiana bohatera jest doskonale zobrazowana, wartości Edwarda konfrontowane są z brutalną rzeczywistością XVIII-wiecznych Karaibów oraz potężnymi wpływami templariuszy, którzy doskonale potrafią manipulować innymi. Dobrze napisana historia w połączeniu z wyrazistymi i świetnie zagranyymi postaciami sprawiają, że Black Flag to jedna z najlepszych fabularnie odsłon cyklu, a dla wielu fanów serii, w tym dla mnie, Edward to zdecydowanie ulubiony protagonista, jakim mamy okazję grać.



Rozgrywkę w Black Flag Resynced podzielić możemy na to, co dzieje się na łądzie oraz na morzu. Poruszając się pieszo, dużo się wspinamy, walczymy, i oba te systemy zostały znacząco odświeżone względem liczącego sobie już 13 lat pierwowzoru. Wspinaczka jest szybsza, a parkour zdecydowanie zyskał na płynności, przejścia pomiędzy animacjami są niezauważalne, da się też wygodnie zeskakiwać z krawędzi. Możemy też wreszcie kucać, gdy chcemy, co usprawnia pozostawanie w ukryciu. Skradanie zostało znacznie rozbudowane, bo nie dość, że możemy ustawić indywidualnie jego poziom trudności, to ponadto na naszą wykrywalność wpływa nie tylko odległość od wroga czy miejsce, w którym się chowamy, ale też pora dnia czy warunki pogodowe. Dokładnie tak samo działało to w Shadows, a tamten system skradania uważam za najlepszy, jaki Assassin's Creed kiedykolwiek oferowało. Równie dobrze wypada walka, która odchodzi od systemu polegającego na kontrowaniu ciosów na rzecz bardziej dynamicznej konfrontacji z wieloma wrogami naraz, mieszania uników, kopnięć czy podcięć z rozbijaniem osłony i parowaniem. Ukryte ostrze nie może już być wykorzystane jako samodzielna broń i służy jedynie do wykańczania wrogów – to akurat szkoda, bo możliwość walki jedynie z ich pomocą była dużym urozmaicheniem w oryginalnym Black Flag. Osłabiono też pistolety,





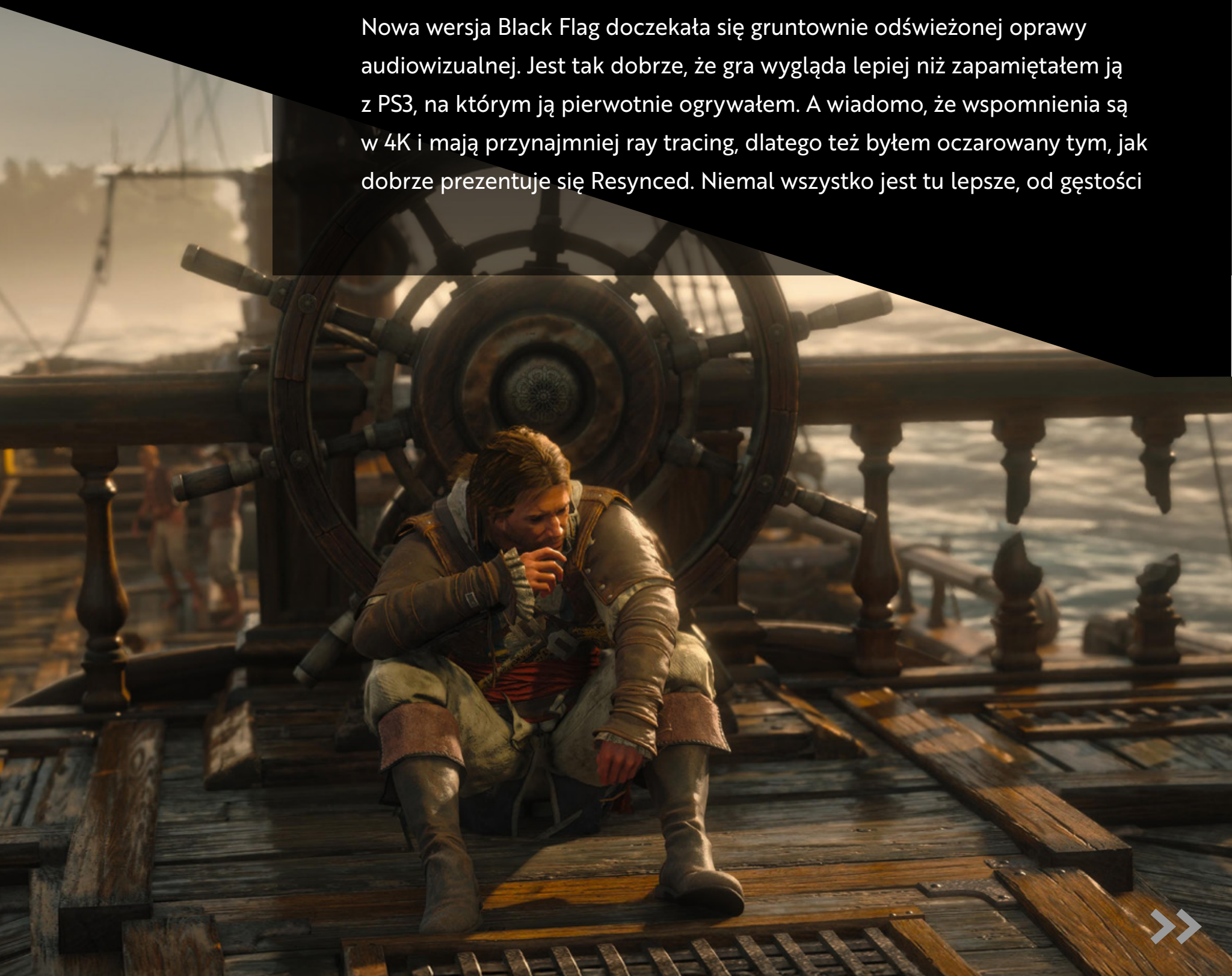
ich główną funkcją jest teraz rozbijanie obrony przeciwników, dobijanie ich lub wysadzanie beczek z prochem. Początkowo mi to nie odpowiadało, ale wraz z czasem zrozumiałem, że decyzja ta pozwoliła zbalansować rozgrywkę i przesunąć jej ciężar w stronę walki w zwarciu. Edward korzysta też z bomb dymnych czy strzałek usypiających bądź rozsierdzających wrogów, dokładnie tak, jak w oryginale. Pomimo licznych podobieństw systemu walki do tego z Shadows, w Black Flag Resynced nie zdobywamy doświadczenia i nie zyskujemy z czasem nowych umiejętności. Możemy jedynie wytwarzać ulepszenia zdrowia czy pojemności sakw poprzez polowanie na zwierzęta i zdobywanie ich skór. Ekwipunku też nie ma zbyt wiele, stroje mają jedynie walory kosmetyczne i tylko zawieszki bądź specjalne wersje szabli czy pistoletów poprawiają nasze statystyki. Ten uproszczony system sprawdza się świetnie, nie trzeba bowiem przeglądać masy podobnego do siebie sprzętu i nim zarządzać, a każdy znajduwany przedmiot dużo bardziej cieszy.

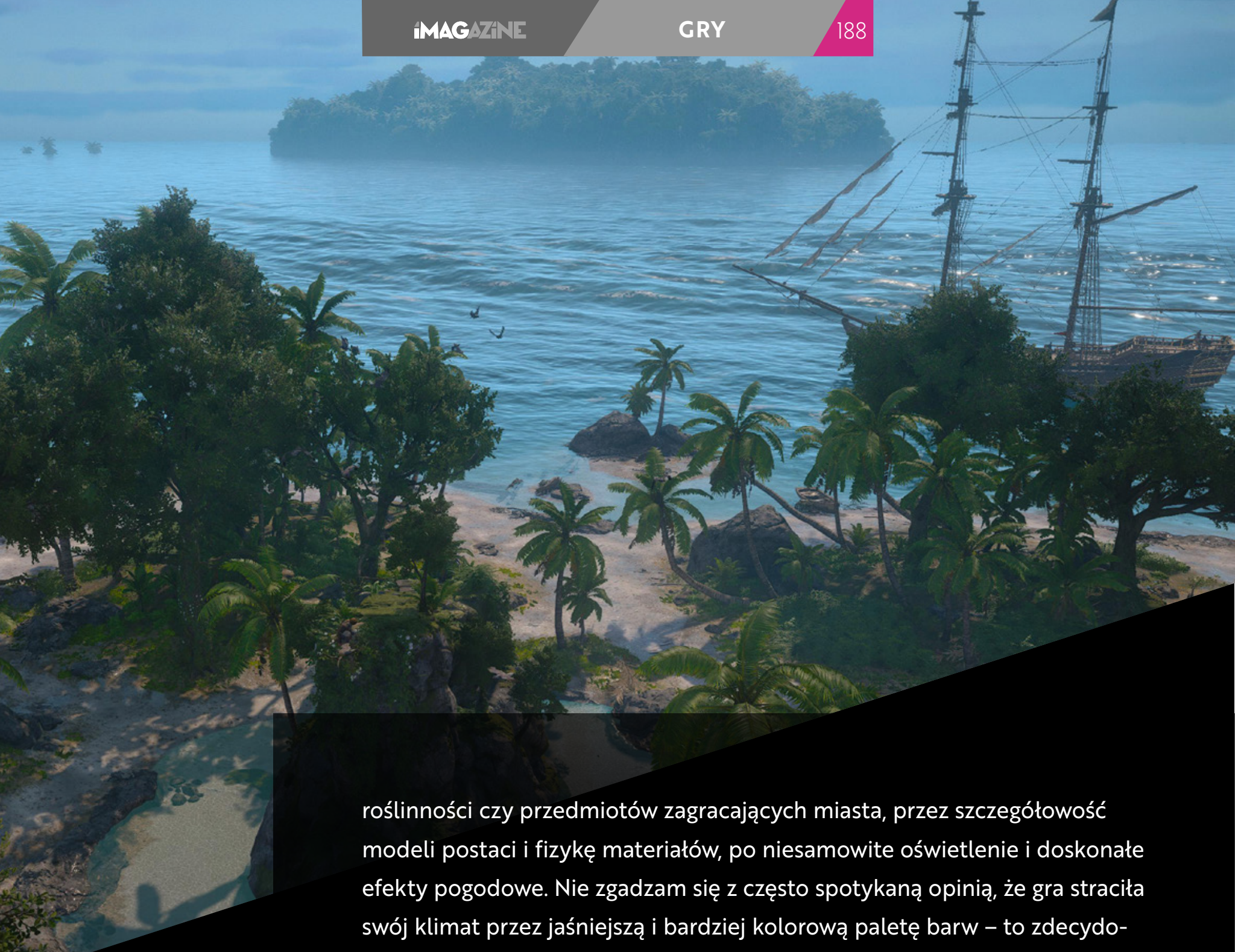
Czym byłaby gra o piratach bez bitew morskich? W oryginalnym Black Flag był to element, który wyszedł twórcom doskonale. Starcia były zróżnicowane i widowiskowe, wymagały przyjęcia odpowiedniej strategii i ulepszenia statku, bo silniejszy przeciwnik z łatwością zatapiał nas kilkoma



salwami. W Black Flag Resynced nie zmieniono wiele, i dobrze, bo gra tego nie potrzebowała. Wciąż do dyspozycji mamy armaty burtowe, pościgowe, płonące beczki czy moździerz. Do tego nie zabrakło też taranu oraz rusznic, mających za zadanie niszczyć odłonięte słabe punkty wroga. Po unieruchomieniu przeciwnika możemy dokonać abordażu, który jest kolejnym wyzwaniem, dającym nam możliwość przejęcia lub zatopienia wrogiego statku, z czym wiążą się konkretne korzyści. Prócz wrogich flot możemy atakować też forty – po ich zdobyciu odblokowujemy misje morskie wykonywane przez flotę Edwarda (oryginał pozwalał zlecać je przez aplikację na smartfony, teraz pozostaje nam robić to samo bezpośrednio w grze). Podobnie jak w przypadku skradania, tak i tu możemy osobno wybrać poziom trudności – uważam to za bardzo dobrą decyzję, zwłaszcza że bitwy morskie stanowią większe wyzwanie niż jakiegokolwiek potyczki na lądzie.

Nowa wersja Black Flag doczekała się gruntownie odświeżonej oprawy audiowizualnej. Jest tak dobrze, że gra wygląda lepiej niż zapamiętałem ją z PS3, na którym ją pierwotnie ogrywałem. A wiadomo, że wspomnienia są w 4K i mają przynajmniej ray tracing, dlatego też byłem oczarowany tym, jak dobrze prezentuje się Resynced. Niemal wszystko jest tu lepsze, od gęstości





roślinności czy przedmiotów zagrających miasta, przez szczegółowość modeli postaci i fizykę materiałów, po niesamowite oświetlenie i doskonałe efekty pogodowe. Nie zgadzam się z często spotykaną opinią, że gra straciła swój klimat przez jaśniejszą i bardziej kolorową paletę barw – to zdecydowanie kwestia ustawień kontrastu czy HDR, który ma tutaj kolosalne znaczenie. Ponadto jestem pozytywnie zaskoczony jakością oprawy na bazowym PS5, w trybie wydajności, trzymającym 60 FPS, gra wciąż wygląda świetnie. Do dyspozycji są jeszcze tryby zbalansowany oraz jakości. Równie dobrze wypada udźwiękowanie. Aktorzy wcielający się w bohaterów robią doskonałą robotę i pomimo tego, że niektórzy z kompanów Edwarda wydają się przerysowani, nie brzmią komicznie – gra jest pod tym względem bardzo spójna. Muzyka bardzo mi się podoba, trudno ocenić mi, czy mamy tu coś nowego, natomiast z całą pewnością na potrzeby Resynced nagrano nowe szanty, będące jednym z wyróżników tej odsłony serii.

Pomimo tego, że ukończyłem pierwowzór, w Black Flag Resynced znalazłem wiele nowych elementów. Dodano tu możliwość rekrutowania trzech członków załogi, a z każdym z nich wiąże się seria naprawdę dobrze napisanych zadań. Jeszcze więcej misji dostępnych jest po ukończeniu fabuły, wzbogacają one rozgrywkę i przedłużają ją o kolejne godziny. Znalazło się



tu też kilka zadań opowiadających alternatywne historie bohaterów – to pomysł łądząco przypominający z założenia marvelowe „What if...?”. No i najważniejsze: wątek współczesny został całkowicie usunięty, a Animus istnieje jedynie jako niewyeksponowana pozycja w menu. Mamy tu coś na kształt battle passa, który odblokowuje przedmioty kosmetyczne, ale jest to całkowicie pomijalny element. Nie obyło się niestety bez błędów, od spadania z niektórych krawędzi, po których się wspinamy, przez brak płynności animacji podążania za innymi postaciami, po zacinanie się w wybranych miejscach. Zdarza się to sporadycznie, ponadto graliśmy w przedpremierową wersję gry, dlatego nie uważam tych błędów za poważny problem – jak na tytuł o tej skali, jest ich zaskakująco mało.

Powrót do postaci Edwarda Kennwaya był jedną z najlepszych decyzji podjętych ostatnio przez Ubisoft. Oryginalne Black Flag zestarzało się graficznie, ale jego historia i pomysł na grę cały czas bawią, a główne mechaniki rozgrywki wymagały jedynie odświeżenia, a nie całkowitej przebudowy. Dzięki temu kolejne pokolenie graczy może docenić prawdopodobnie najlepszą odstonę serii Assassin's Creed, i to pomimo tego, że różni się ona tak bardzo od swoich poprzedników.





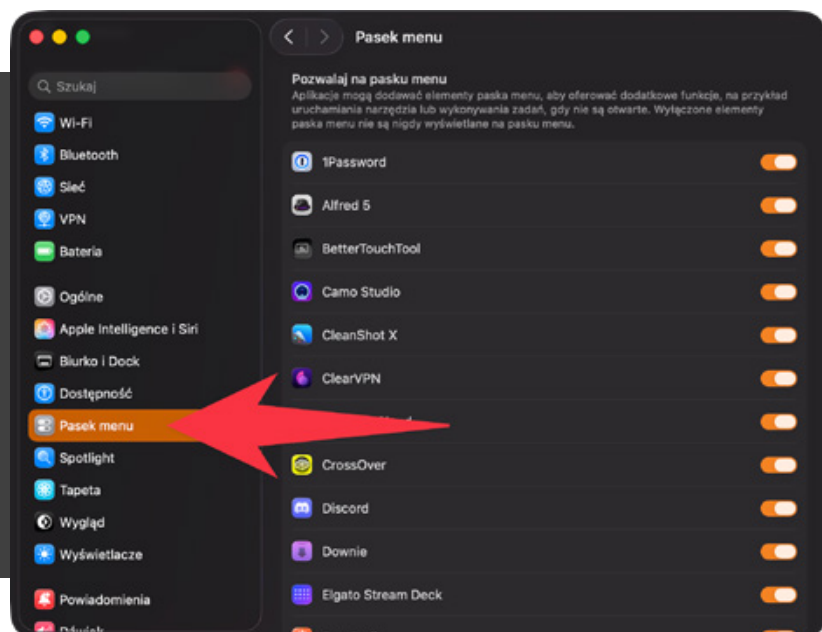
MACIEJ SKRZYPCZAK
@mskrzypczak

Zapanuj nad paskiem menu w macOS

Sporo aplikacji, z których dziś korzystamy może być wyposażona w narzędzie pomocnicze dostępne z poziomu paska menu. Jeśli takich aplikacji mamy więcej, może to wywołać niezły bałagan. Na szczęście można nad tym zapanować.

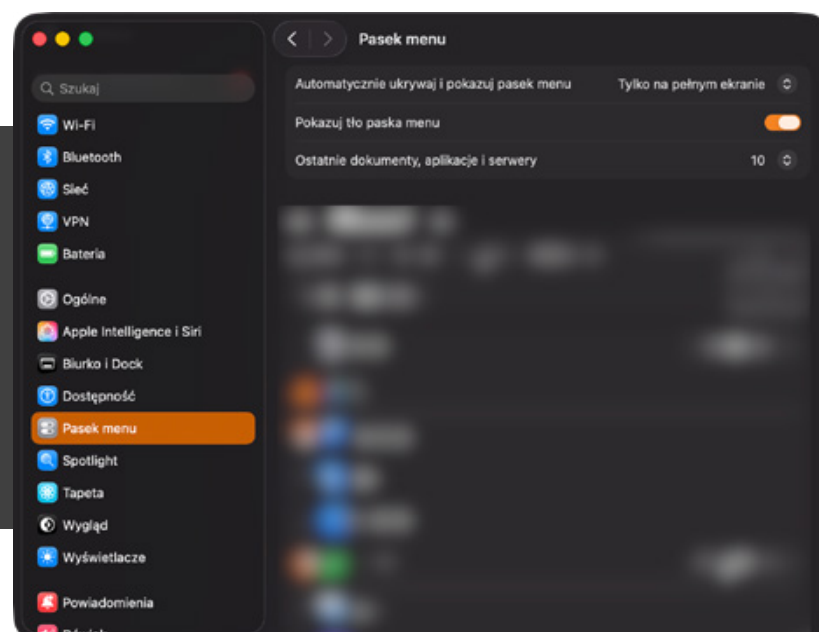
W Ustawieniach systemowych możemy znaleźć całą sekcję odpowiedzialną za Pasek menu. Znajdziemy ją na liście z lewej strony okna głównego.

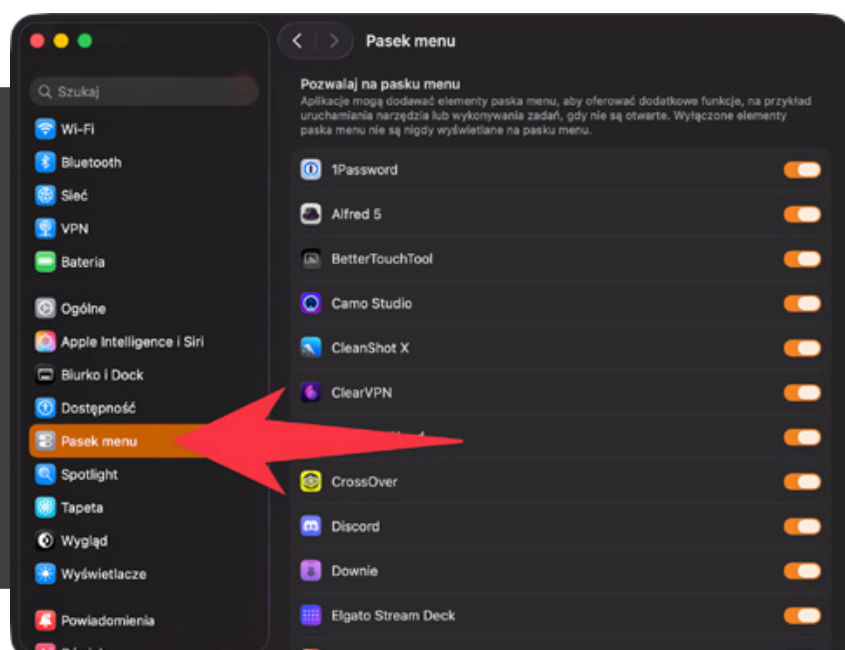
W tym miejscu możemy skonfigurować kilka rzeczy:



Po pierwsze, wygląd i zachowanie paska menu, gdzie ustawimy, jak ma się zachowywać, gdy włączymy aplikację na pełnym ekranie; czy ma mieć tło oraz ile ostatnich elementów ma być wyświetlanych.

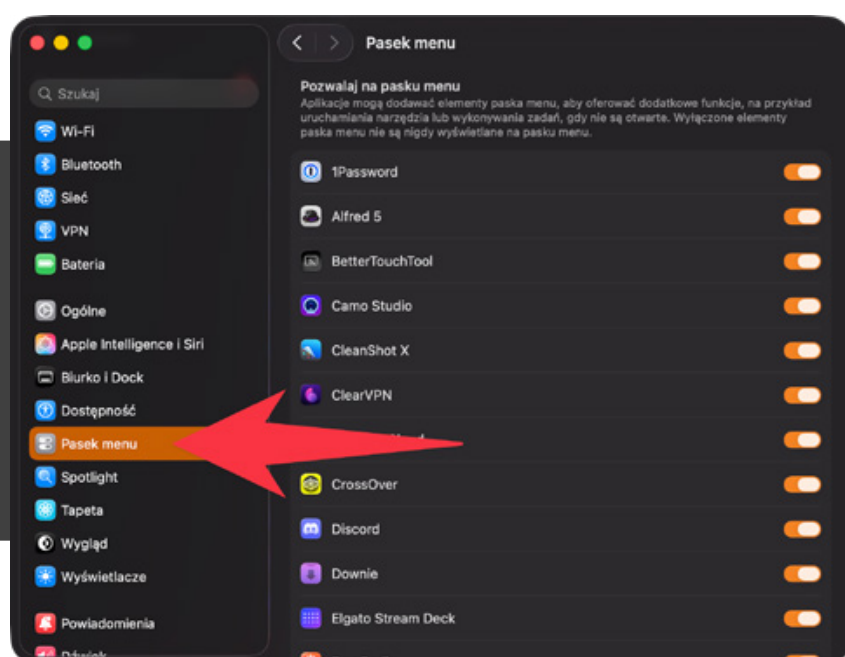
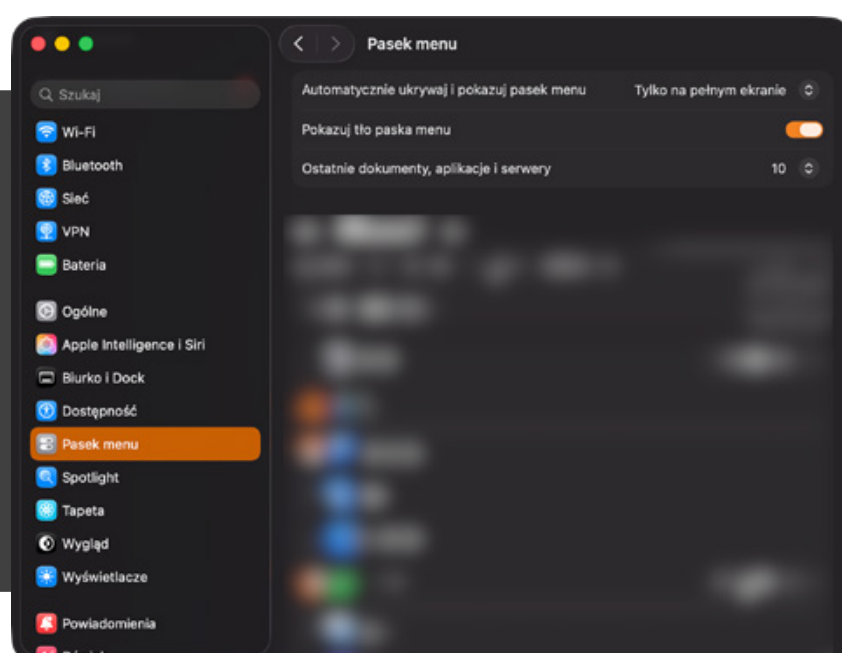
Po drugie, tutaj też możemy dodać narzędzia systemowe i aplikacje w ten sam sposób, jak to robimy w Centrum sterowania.





Po trzecie, zdecydujemy, które systemowe narzędzia będą widoczne na pasku menu. Niektóre z nich, jak choćby zegar, posiadają dodatkowe opcje. Inne możemy wyświetlać dynamicznie, tylko wtedy, gdy są aktywne.

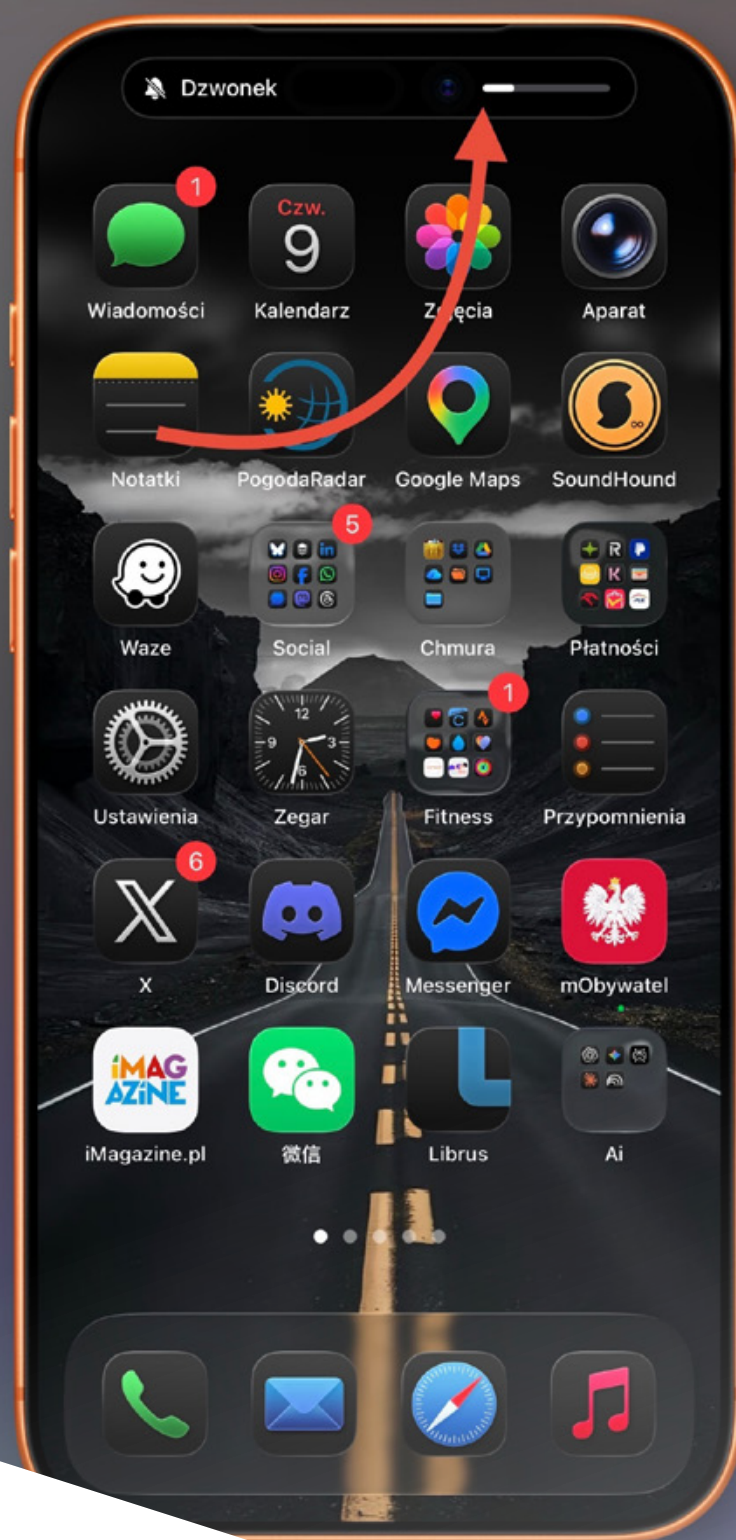
Po czwarte, możemy wskazać, które aplikacje firm trzecich mogą wyświetlać elementy na pasku menu. To zapewne tutaj znajdziemy pokąźną listę. Warto zastanowić się, czy wszystkie elementy są nam niezbędne.



A co jeśli taki stopień konfiguracji to dla nas za mało?

W takim wypadku warto rozważyć specjalne narzędzia firm trzecich do zarządzania paskiem menu. Do takich można zaliczyć chociażby aplikację Bartender (płatną) lub Ice (darmową).





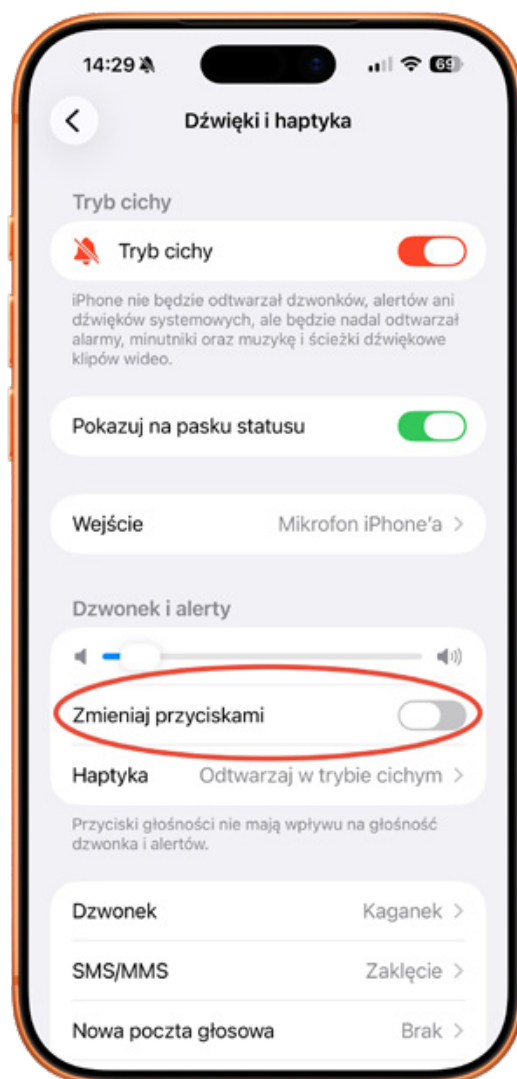
DOMINIK ŁADA
[@dominiklada](#)

Twój iPhone ciągle zmienia głośność dzwonka zamiast muzyki? Jest na to szybka poprawka

To jedna z tych drobnych, ale wyjątkowo irytujących rzeczy w iOS i iPadOS 26. Chcesz ściszyć film albo muzykę, sięgasz po przyciski głośności... a zamiast tego zmieniasz poziom dzwonka i powiadomień. Efekt? Nagle Twój iPhone może dzwonić na pełnej głośności, a Ty nawet tego nie zauważysz.



Na szczęście rozwiązanie jest bardzo proste i zajmuje dosłownie kilka sekund.



Wystarczy wejść w **Ustawienia**, następnie przejść do sekcji **Dźwięki i haptyka** i wyłączyć opcję „Zmieniaj przyciskami”.

Od tego momentu przyciski głośności będą odpowiadały wyłącznie za poziom dźwięków multimedialnych – czyli dokładnie to, czego większość z nas oczekuje. Głośność dzwonka ustawisz wtedy ręcznie, korzystając z suwaka w tej samej sekcji w Ustawieniach.



To niewielka zmiana, ale potrafi znacząco poprawić codzienne korzystanie



BOCZEMUNIE.PL/EBOOK

ODBIERZ E-BOOKA

KRZYSZTOF KOŁACZ

Przycisk

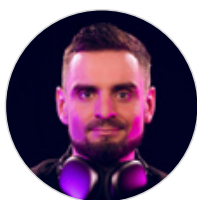
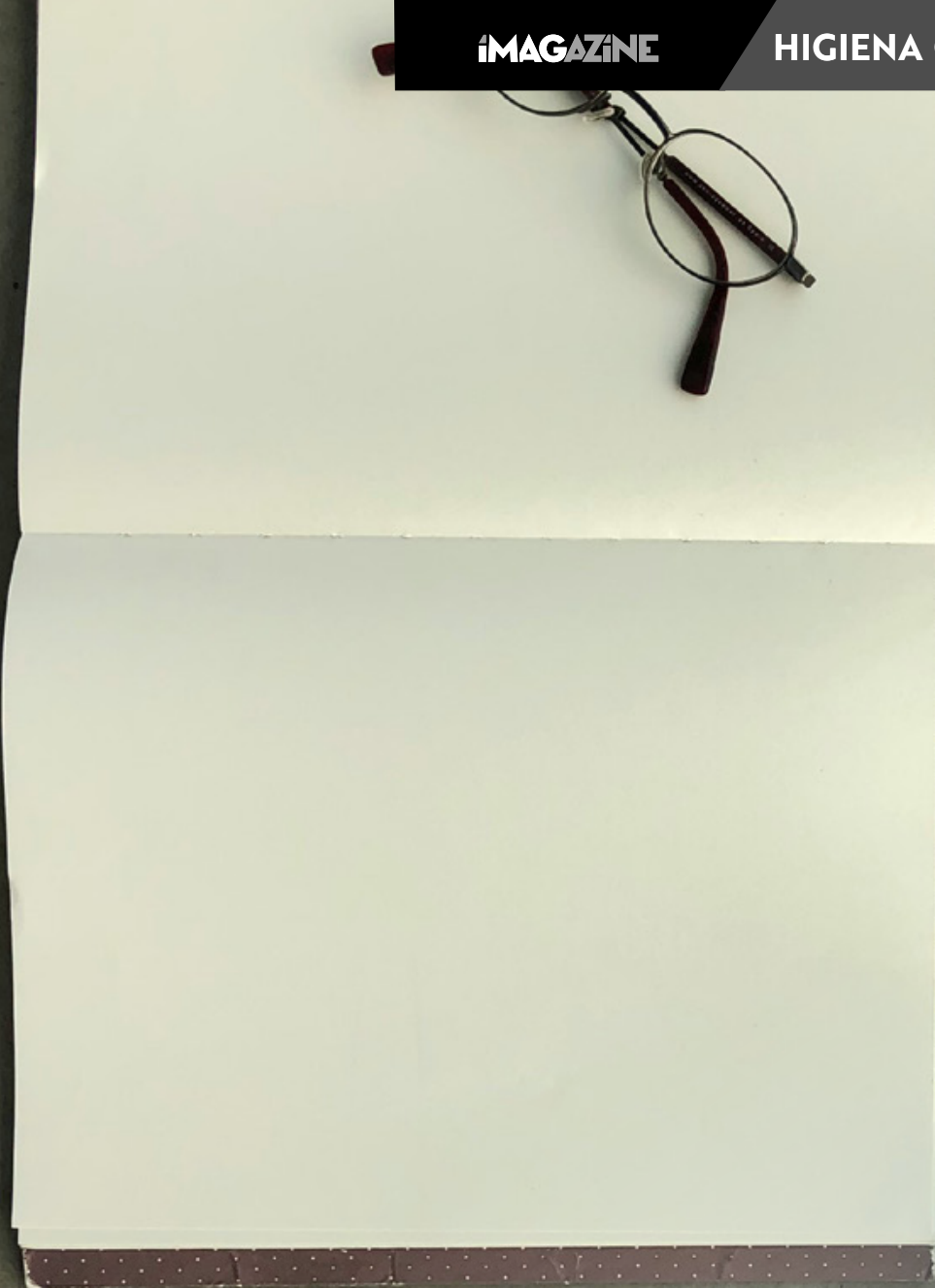
SPRAWDZAM!

Zaprzęgnij technologię
do pracy dla Ciebie

E-BOOK
bo czemu nie?

REKOMENDOWANY PRZEZ:

iMAGAZiNE



KRZYSZTOF KOŁACZ
@kolaczkrzysztof

Dlaczego wracająca moda na papier może pomóc big techom?

Wydaje ci się, że w ostatnich latach ludzie w technologicznej bańce wracają do produktów retro? Telefony w stylu Nokii 3310, papierowe notatniki, dzienniki, listy rzeczy do zrobienia, drewniane biurka i wiele podobnych rzeczy jest coraz bardziej widocznych w mediach społecznościowych? Mam dwie wiadomości: pierwsza – nie wydaje ci się. Druga: w bańce technologicznej jest to widoczne chyba najbardziej.



Papier nie przyjmie wszystkiego

Dokładnie taki tytuł nadałem **wydaniu newslettera** „Bo czemu nie?”, w którym opisałem moje przejście z prowadzenia cyfrowego dziennika (przez ponad dekadę!) na jego papierowy, trzyletni odpowiednik japońskiej marki Midori. Rok po tym moja ulubiona aplikacja do zarządzania zadaniami i projektami – czyli proste, systemowe Przypomnienia od Apple (których 40% funkcji nadal w ogóle nie potrzebuję) – zaczęła być wspierana przez **papierową listę zadań**. Z każdym rokiem z mojego domowego biura znikają kolejne – jak się okazuje niepotrzebne – szpargały. Raz są to nieużywane gadżety lub akcesoria. Innym razem aplikacje i usługi, z których rzeczywiście korzystać musiałem jakieś trzy lata temu, a potem subskrypcja po prostu została, a aplikacja czy usługa była przeze mnie uruchamiana może raz na kwartał.

Czytelnicy lub **Stuchacze** mają podobnie, o czym wielokrotnie do mnie piszą, a ja nadal zastanawiam się, dlaczego nas wszystkich – fanów technologii – to nadal dziwi? W czasach, w których zaczynamy mieć problem z rozróżnieniem i docenieniem tego, co wytworzył człowiek, a wytwory generatywnej sztucznej inteligencji utożsamiamy z kunsztem ludzkiej wyobraźni (czyli dokładnie odwrotnie do stanu faktycznego) – analogowe życie staje się nie tyle atrakcyjne samo w sobie, co po prostu łatwo się sprzedaje. Nie zliczę firm, które nie mają nawet czterech lat, a które powstały właśnie po to, aby oferować swoim klientom analogowe produkty i doświadczenia odklejone od ekranów i powiadomień. Czy to źle? Zależy rzecz jasna od intencji założycieli konkretnego biznesu, ponieważ krętaczy tutaj nie brakuje.

Dla przykładu – papier nie przyjmie jednak wszystkiego, ponieważ co do zasady ogranicza go jego długość lub liczba arkuszy i tej jakości reklamować ludzkości nigdy specjalnie nie trzeba było. Dlaczego więc ostatnio przypomniałem sobie o tym ze zdwojoną siłą? Cóż, moim zdaniem z uwagi na istną klęskę urodzaju wszystkiego, co cyfrowe, którą zauważyliśmy i odczuwamy o wiele intensywniej niż dawniej – dzięki AI. Zastanów się chwilę nad tym, czy jakakolwiek inna duża zmiana technologiczna wyskakiwała ci (dosłownie) z lodówki, pralki, ulotki w skrzynce czy opakowania na żywność, które rzekomo też „jest AI”? Żyjemy w czasach bezprecedensowej rewolucji technologicznej, która już odciska trwałe ślady na naszej codzienności, a odciski jeszcze większe. Zarówno ten pozytywny,



– **Firmy, które zaprojektują pióra, długopisy czy notatniki i opowiedzą o tych projektach w stylu Apple – zbiją fortuny.**

jak i negatywny. Wszędobylskiej narracji o AI nie wyłączysz jak powiadomień w iOS, nie skonfigurujesz pod to trybu skupienia. Czy zatem rozwiązaniem jest ucieczka na norweską wieś (polecam!) i zmiana zawodu na piekarnictwo? Dla niektórych. Ja widzę szansę świata analogowego na to, aby pomógł nam budować balans, o jakim od dawna mówimy!

Analogowa rebelia może pomóc big techom

Jak moda na retro graty i analogowe rozwiązania ma się do interesów big techów? Przecież takie Apple czy Samsung przede wszystkim chcą zarabiać na produktach, które nam sprzedają, prawda? Odkładając całą narrację o zmianie świata czy życia ich klientów – to właśnie jest celem każdej firmy o tej skali. Tymczasem im dłużej zastanawiam się nad tą retromodą, tym częściej dochodzę do wniosku, że analogowy świat może pomóc big techom. Przede wszystkim pokazując, co tak naprawdę przestało działać, nawet jeśli działało przez ostatnie dekady.

Po sobie widzę, że wpuszczając do swojego życia coraz więcej analogowych rozwiązań, wcale nie odsuwam się od technologii. Porządkuję ją w swoim otoczeniu i przychodzi mi to o wiele łatwiej niż kiedykolwiek! Bo widzicie, gdy na serio, całkowicie intencjonalnie i bez szukania tysiąca argumentów po prostu spróbowacie na przykład wrócić do papierowej listy zadań czy dziennika, nagle okazuje się, że to w zupełności wam wystarcza. Kasę, którą do tej pory płaciliście za subskrypcję aplikacji obiecujących „efekt pisania na papierze w erze cyfrowego świata”, po prostu zastępują – długopis i papier. Literalnie, bez udziwnień. To zwalnia środki finansowe, które można potem przeznaczyć na narzędzia, które faktycznie robią coś przydatnego dla waszego biznesu czy życia.

Inny przykład? Ile to już stworzono aplikacji do dbania o balans pomiędzy życiem offline a online? Tysiące. Nie ma się co dziwić temu, że gdy odkrywamy, iż podzielenie narzędzi, z których korzystamy, na te analogowe i cyfrowe – mniej więcej po równo – przynosi ten sam efekt (a nawet



lepszy), tylko szybciej i bardziej naturalnie – lgniemy do tego, krzycząc „Eureka!”. Może się to wydawać niepoważne, ale jeżeli dzięki modzie na retronotatniki przypomnimy sobie, że dłoni używa się do pisania na papierze, a robienie tego z dala od ekranu daje niesamowitą frajdę i pozwala złapać głębszy oddech – podziękuję wszechobecnej narracji o AI za to, że obrzydziła nam technologię. Albo inaczej – zapaliła pomarańczową lub czerwoną lampkę z wielkim napisem: „Zastanów się, do czego faktycznie i realnie te ekrany są ci potrzebne!?”.

Po sobie widzę, że wpuszczając do swojego życia coraz więcej analogowych rozwiązań, wcale nie odsuwam się od technologii. Porządkuję ją w swoim otoczeniu i przychodzi mi to o wiele łatwiej niż kiedykolwiek!

Big techy, o ile nie pozostaną ślepe na ten trend, mogą z tej sytuacji wyciągnąć o wiele więcej niż z niejednego audytu, który zlecą firmie consultingowej za miliardy dolarów. Mogą zobaczyć te obszary, w których budowane przez dekady doświadczenie faktycznie pozostaje dla klientów bezcenne, a ci gotowi są zapłacić za produkty, które do czegoś im się przydadzą. Jeżeli za kilka lat faktycznie dojdziemy do momentu, w którym technologii używamy tylko tam, gdzie przynosi realny zysk i jest niezbędna – będziemy gotowi zapłacić za nią każdą cenę. Dosłownie – każdą, przy możliwej, znacznej redukcji kosztów firm po wycięciu zbędnych i nieprzydatnych już urządzeń, produktów i aplikacji. Jeszcze dziękując za to, że odzyskaliśmy „normalność i więcej świata offline”. Reklamodawcy wcale nie muszą tego bojkotować, ponieważ nie robi im żadnej różnicy, za jaką treść komunikatu płaci klient.

Nie zdziwię się, jeżeli kiedyś Apple będzie miało w swojej ofercie o połowę mniej produktów niż dziś, za to firmy, które zaprojektują pióra, długopisy czy notatniki i opowiedzą o tych projektach w stylu Apple – zbiją fortuny. To już się dzieje.





Podcast

bo czemu nie?

O TECHNOLOGII I NAS SAMYCH

zaprasza: Krzysztof Kołacz

REKOMENDOWANY PRZEZ:

iMAGAZiNE

Wap-bap, ba-da-di-da-da

ter sind am Samstag über große Teile Deutschlands hinweggezogen. Mit Ausnahme der kleine westliche des Rheins seien alle Regionen betroffen gewesen, teilte der Deutsche Wetterdienst (DWD) in Offenbach mit. Zwischen Schleswig Holstein und Braunschweig zogen Hagelkörner mit einem Durchmesser von bis zu zwei Zentimetern sowie Regen von bis zu 40 Liter pro Stunde und Quadratmeter nieder. In Nordhessen seien innerhalb von zwei Stunden sogar 30 Liter Regen pro Quadratmeter herunter. Am Sonntag besaß vor allem im Südosten des Landes Wetterstille.



Kontexte seines Kunstwerks

KUNSTWERK

Der Meister des Kitsches, Jeff Koons, hat in New York sein neues Kunstwerk vorgestellt: eine aufblasbare Ballerina. Bis zum 2. Juni dauert die 14 Meter hohe Tänzerin auf Platz vor dem Rockefeller Center auf dem der 65-jährige Koons schon zwei Mal zuvor Werke präsentiert hat. Die Installation soll die Erinnerung an die vermissten Kinder von Jonestown, der im Mai



Mutter

Mittelägypten
gefunden wurde
gelegten Kata
Minja en
die Amiko
erst Auf
nahe L
symbol
der Ze

Gleich treffe ich Blanka Heinicke, besser bekannt als Bibi H., was ich normalerweise locker runterreiten würde, hätte ich nicht den Fehler gemacht, meinen Töchtern davon zu erzählen. Ich gebe zu, ich wollte etwas angehen, als ich beim Abendessen sagte: „Übernomm treffe ich Bibi.“ Das hab ich jetzt davon. Jetzt begleiten mich die Autogrammwünsche und invidiöse Erwartungen von zwei halben Berliner Schulklassen. Leistungsdruck, verändert.

VON KATHRIN SPÖRR

Bibi ist nicht mehr so ganz meine Alters- und ich bin nicht ihre Zielgruppe. Ihre Zielgruppe sind Mädchen ab sagen wir acht Jahren. Wo die Zielgruppe endet, hängt sehr von einzelnen Mädchen und seiner Bereitschaft ab, Mädchen bleiben zu wollen. Einige finden sich schon mit elf zu wie Bibi, andere sind schon so alt wie Bibi selbst, aber immer noch klein genug für sie.

Nicht wundern über dieses „Wap-bap“. So heißt der neue Song von Bibi. Es ist schwer, ihn aus dem Kopf zu kriegen, wenn er einmal drin ist. In dem Song geht es um nicht viel. Um ein Mädchen das gerade Pech hat, was aber nichts macht, weil es mit „Wap-bap“ alles in den Griff kriegt. Der Song kam vor einer Woche raus, und es gab Riesengemeckes deswegen. Außerdem riss er alle erdenklichen Rekorde. Das Gemecker ist das Grund, warum ich Bibi gleich treffe.

Sie werden dieses Lied wahrscheinlich nicht kennen, wenn Sie nicht zufällig minderjährige Töchter haben. Oder andersrum: Wenn Sie minderjährige Töchter haben, werden Sie wahrscheinlich schon wohl diesen Song als auch Bibi kennen. Bibi Vielleicht schon seit Jahren, wenn auch möglicherweise eher vom Weghören, wie ich.

Weghören ist die einzige Möglichkeit, wie Eltern die Vorlieben ihrer Töchter flüchtig auskundschaften können. Bibi betreibt seit fünf Jahren den YouTube-Kanal „Bibi Beautypalace“. Mehrmals pro Woche stellt sie hier Videos ein, in denen es um nichts geht und um alles. Wie Bibi es kauft, verneint, wohnt, schläft und wiederaufwacht. Darum, wie sie gerade die Haare trägt, die Wimpern tuscht, die Lippen

Abseits der Aufmerksamkeit der Erwachsenen prägt Bibi H. seit Jahren die Jugendkultur. Jetzt sorgt sie mit einem Song für Aufsehen. Ein Besuch

die Wangen, die was auch immer schminkt. Es handelt sich um die hoch-nazistische Bspiegelung des Privatlebens der Kunstfigur Bibi, die vielleicht in Wahrheit gar keine Kunstfigur, sondern wirklich so ist, wie sie sich darstellt, aber wer weiß das schon.

Ihre Videos beginnen immer mit den gleichen Worten, nämlich mit „Hallallo, meine Lieben“, herausgepipet mit einer zu den Worten passenden Stimme. Vielmehr als diese drei Worte kriegte ich bisher selten von Bibi mit, weil ich meine Kinder dann stets sofort und sehr deutlich aufforderte: „Bitte hört den Schwachsinn in euren Zimmern.“

Letzte Woche kam dann Bibi Stang heraus, seitdem interessieren sich auch Menschen jenseits der elf für Bibi. Der vollständige Titel ihres Liedes lautet: „How it is (Wap-bap ...)“ Er brach mehrere Rekorde.

Es wird meist davon berichtet, dass man sich bereits das Wort Schweißschwein in den Mund genommen habe. Bibi trug etwas sehr enges schwarzes Kleid und trug total hohe Absätze. Sie sagte: „Hallo, ich bin Bibi“, und ich erkenne die Sound in ihrer Stimme. Sie war völlig in Ordnung. Auf dem Fußboden hochtuli, Bibi Freund, der ich und sie lachend und ansonsten mit seinem Handy beschäftigt ist. Wir gehen rüber zum Sofa und setzen uns nebeneinander, und trotz der „good vibrations“ kriege ich kurz einen bettigen Gehirnkrampf, weil ich mich fragte, über was wir uns Gottes Willen 20 Minuten lang mit Bianca Heinicke reden soll? Über Schminke, vielleicht oder über die lustigsten Pranks (Für die älteren und

um: eine Art Streich) oder über die zehn Arten, wie man sich an den niedlichen Nachbarn rannmachen kann?

Aber die fällt mir gerade noch rechtzeitig ein, dass ich mithilfe meiner Tochter jede Menge Fragen in mein Notizbuch geschrieben habe, und die werde ich Bibi jetzt stellen, obwohl es eigentlich kein keine einzige Frage ist, die ich stellen dürfte, die Bibi nicht schon irgendwem beantwortet hat. Sie beantwortet jeden Tag in ihren Clips alle Fragen rund um ihr Leben, und zwar ohne dass jemand sie stellen würde. Wenn sich also jemand fragt, was Bibi Erfolgreichste ist, so lautet die Antwort: Genau das. Besten über sich.

Ein paar Daten: Bibi ist 24 Jahre alt. Ihren Kanal gibt es seit 2012, er hat 4,1 Millionen Abonnenten und bishe 1.380.000.000 Aufrufe. Sie ist die erfolgreichste deutsche Frau auf YouTube. Ob sie das irgendeine Feministin je ein Lied auf sie gesungen hätte, hat hier als eine sehr junge Frau aus Köln im Paralleluniversum YouTube steil Karriere gemacht. Die Song wurde letzte Woche veröffentlicht und bei YouTube abgerufen.

3. **Millionen Mal!** Das ist wahrscheinlich mehr, als die Beatles, die Stones oder Abba zusammen auf YouTube erreicht haben. „Wap-bag“ ist ein schlichtes Lied mit einer einfachen kleinen Melodie. Sein Erfolg ist nicht leicht zu verstehen, aber es gefällt nun mal vielen Teenagern und auch älteren Geschecker?

Das Gemecker geht ungefähr so: Bibi ist peinlich, Bibi kann nicht singen, Bibi hat den Song geklaut. Alles Vorwürfe, die vielleicht stimmen, vielleicht nicht. Die Wahrheit geht es natürlich um etwas anderes: Es geht um Neid. Auf YouTube vi-

Das Gemecker hat, wie so oft, viel Aufmerksamkeit auf sich gezogen als das Erfolgs-Video. Das Video schaffte es mit 1,9 Millionen Dislikes in wenigen Tagen in die entsprechende Top-Ten-Liste, und zwar weltweit – noch niemand in Deutschland hat etwas Ähnliches geschafft, vor allem nicht mit einer so wenig erfolgreichen Single.

Auf Platz 1 der „List of most disliked Youtube videos“ steht übrigens Justin

Bieber, **if Platz 9** Milley Cyrus. Bibi zog also an Milley Cyrus vorbei auf Platz 6. Bibi vor Milley! Milley Cyrus ist Bibis Vorlieb und zwar „schon immer“. Das verrät Bibi mir jetzt, hier auf den Sofa. Na ja, verraten klingt zwar gut wenn ich an die Vermarktung des Gesprächs gegenüber meinen Töchtern denke, ist aber vielleicht ein bisschen übertrieben, denn sicherlich hat sich das mit Milley Cyrus auch schon zu mir ereignet. Was ich sagen will, ist eigentlich nur das: Es gibt keinen besonderen Grund, sich für Platz sechs auf dieser Liste zu schämen.

Auch darum: Es ist gesellschaftlich völlig Banane, ob jemand ein Video gern anschaut oder ob ihn beim Anschauen über-
wird. Der Klick ist eine wertfreie Re-
cheneinheit. Es gibt für Bibi also nicht
nur keinen Grund, sich zu ärgern, son-
dern Millionen Gründe, sich zu freuen.
Das ist nicht alles, was sie das auch tut.

Angehlich kriegten YouTube pro 100 Klicks 80 Euro von YouTube, was sie weder bestätigt noch abstreitet, sondern gar nicht kommentiert, weil sie (und dieser Frage herrscht dann wieder große Einigkeit unter den sonst so missgünstigen YouTubern) der Einfachheit halber überhaupt nicht über Geld spricht. Und dann sollte sie noch?

Wie Bibi so dasitzt und mit ihrem stolzen Mund entweder redet oder lacht oder beides gleichzeitig macht, wissen natürlich alle hier im Raum, ihr Manager, ihr Freund, der Fotograf, sie und ich, dass ihr Gesicht, ihr Lachen, ihr Kinn und auch ihr „Halbhallo, meine Lieben“ eine einzige Projektionsfläche für Marketing und Produktwerbung ist. Was immer Bibi hier lobt und anpreist oder auch nur in die Kamera hält, kommt in Millionen Kinderzimmern an, und Kinder sind eben nicht nur Eltern von Bibi, sondern auch Kunden.

I sing: Wap-bop, ba-da-di-da-di
Wenn ich also meine Kinder in ihr
Zimmer schicke, um Bibis Clips zu inhal-
lieren, tue ich Bibi in Wahrheit einen Ge-
fallen. Und darum tut Bibi mir jetzt auch
einen. Sie schreibt eine lange Liste Auto-
gramme für meine Kinder und ihr

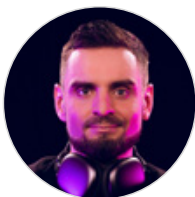
Auf dem Weg nach Hause: Anruf meiner minderjährigen Tochter. „Mama, hast dich in ihre Snapchatstory aufgenommen – du bist Interview Nummer sieben.“
Ich bin Interview Nummer sieben! In Bibis Windschatten habe auch ich es unter die Top Ten geschafft.

Will an, was er einmal über den An-
chromismus findet, muss wegen des An-
ne Will, sondern wegen des Ver-
hens an sich. In der Runde, die
Gesine Schwan einblende, und
Nick sagte: „Hey, cool, Thomas Gott-
schalk.“ Eine halbe Minute später er-
klärte er seinen Fernsehabend für
beendet, indem er sagte: „Eine Talk-
show über Frankreich - und France
Ittery ist nicht dabei.“

Aber es gibt auch ernüchterte Theorien im Leben unseres Sohnes. Gütern zum Beispiel kam er in mein Büro und setzte sich auf den Besuchersessel, ohne die Zeitschriften und die Post runterzunehmen. Er saß also merkwürdig erhöht vor mir und fragte mich, was es mit der 1000-Schuss-Theorie auf sich hätte. Sein Freund

pin habe im Schulbus davon gesprochen und er frage sich, ob das wirklich stimme, denn dann habe er ein Problem. Die 2000-Schuss-Teste besagt, dass ein Mann im Leben genau einflussend Organismen erleben können. Danach ist Feiernabend. In diesem kurzen Urstein sollen in früheren Zeiten die Jungen von Matrien abgehalten werden, die kann aber auch sein, dass diese Formel vom Verband deutscher Wissenschaftler erteilt wurde, damit die Jungen mehr Zeit für Zahlen verbringen. Auf jeden Fall: Zahlen vor Vorstellung sehr ernsthaft auftreten, das Vierzehnjährige ernsthaft auftreten, ob satter Feiernabend sehr gewöhnlich. Die Einheiten ihrer Familienplanung bereits am Pfingsten herum für den Feiernabend sein könnte.

...deso gut gefüllt mit der Getreide, dass es solche Grenzen auch bei anderen Verrichtungen geben könnte. Jeder Mensch kann nur 500 Fußballspiele spielen, dann wird er blins. Nach 500 Tiden Schokolade fallen die Zähne aus. Man muss sich nicht vorstellen, was Menschen unternehmen, um diese grotesken Zahlen zu erhöhen. Der Organismus bläht sich auf. Raps auf dem Kartoffelfeld, was die globale Wirtschaft brummen wie verdrückt, wenn wir 100 Millionen Linder haben, kochen, bevor die Ohren ausfallen. Es erging mich in einem Traum, und Nick hörte mich. Er fragte er: „Also, was ist das?“ „Nur nicht ist und nichts, was die Welt abfrieren.“ Er antwortete: „Ja, das ist die Frage, die ich dir stellen möchte.“



KRZYSZTOF KOŁACZ
@kolaczkrzysztof

Nagłówki, które nie wróca?

Przeglądając archiwa naszego miesięcznika w ramach poszukiwania inspiracji, moją uwagę zwróciło coś tak błahego na pierwszy rzut oka jak – tytuły. Nie będę ukrywał, że przeglądałem te, których autorką jest Kinga Ochendowska. Osoby, które czytają iMagazine od więcej niż dziesięciu lat, a już na pewno te, które kojarzą czasy „Mojego Jabłuszka” – Kingę doskonale pamiętają! Dla pozostałych dodam jedynie, że jej ostrego i brutalnie celnego pióra nadal mi brakuje. Wracając jednak do tytułów – z czym konkretnie mi tęskno?



„O kocie, który chodził na spacer”

Powyższy śródtytuł w oryginale **był tytułem jednego z felietonów Kingi**, który ukazując się w magazynie o technologii dotyczył – tak, jej kota. Kulisy jego powstania sięgają nawet dawnego Twittera i Wojtka (tego Wojtka), który Kingę do napisania owego artykułu zachęcił. Te sześć lat temu tak zatytułowany tekst, który ukazuje się w miejscu skupionym głównie na Apple i motoryzacji, po prostu od razu przyciągał uwagę, ale kompletnie nie wzbudzał w Czytelniku jednej z emocji, którą dziś niemalże wszędzie jesteśmy bombardowani – strachu.

Choć staramy się, jak możemy w ramach redakcyjnych wysiłków, świat technologicznych mediów z 2020 roku był zupełnie innym miejscem niż ten, z którym mamy do czynienia obecnie. Czyli kiedy? W moim rozumieniu – w czasach, w których sześć na dziesięć tytułów treści publikowanych w mediach technologicznych zawiera jedną z trzech rzeczy:

- nazwę marki technologicznej lub fragment nazwy jej nowego produktu/usługi
- dopisek „AI” występujący w roli straszaka lub postać donoszącego o rychłej zagładzie świata
- wzmiankę o jakimś konflikcie zbrojnym i podwyżkach cen

Ktoś rzuci mi zapewne teraz w kontrze: „Ale przecież tak było zawsze! Jak była pandemia, też wszyscy o niej tylko pisali”. I tak, i nie. Nie – bo choćby tekst Kingi o kocie to wrzesień 2020 roku, i tak – ponieważ zawsze w społecznej, a co za tym idzie w dziennikarskiej, narracji mamy jakiś motyw przewodni. Wybory, upały, śnieg, mecz, premierę nowych iPhone'ów, kryzys zdrowia psychicznego, malejącą inflację, rosnące ceny i tak dalej, i tak dalej. Tego nie zmienimy. Zmieniło się jednak nasze postrzeganie wszystkiego tego, co z nurtu głównego (na dany moment) społecznego dyskursu się wybija. Dlaczego? Bo akurat w obecnych czasach najłatwiej treściom

Tęsknię za internetem, w którym czytając treści nie pomyślimy w pierwszej kolejności o tym, który model i jakiego LLM-a je dla autorki wygenerował, ale – jak w szkole: co autorka miała na myśli?



innym, niepasującym do całości układanki zarzucić jedno: Tego nie pisał człowiek, to AI! A do tego mamy za słabą koncentrację i za małą zdolność rozumienia tekstu, żeby czytać bardziej skomplikowane pozycje. Obecnie prasówka po tytułach może wpędzić człowieka w ciężką depresję. Odkręcić to będzie bardzo ciężko i ten proces zajmie kilka pokoleń.

„Ja i ja. Takie jaja”

Kolejny śródtytuł też **oddam Kindze sprzed lat**. Tym razem sprzed dokładnie dekady. Tamten tekst otwierała następująca teza:

„Zawsze wydawało mi się, że kiedy internet rozwinie skrzydła, to pofrunie w kierunku współpracy”.

A kończyła zachętą:

„Spróbujmy więc bardziej doceniać ludzi, z którymi pracujemy. Spróbujmy bardziej cenić cel i jego osiągnięcie, chwalić finalny produkt niż nasze kreski i kropki. Może się okazać, że dotrze on wtedy do większej rzeszy ludzi, a oni sami dostrzegą, że są tam fajne piksele. Nasze piksele. Nasze cegiełki.

Praca w zespole bywa trudna, ale jest warta wysiłku”.

Pisząc dla was te kilka akapitów, w ramach eksperymentu wysłałem tamten tekst kilkorgu znajomych. Z różnych branż, nie tylko tej technologicznej – co warto, sądzą, zaznaczyć. 80% z nich było przekonanych, że pisała to generatywna sztuczna inteligencja. Prawie wszyscy zignorowali też wyraźne zaznaczenie, że tamten „artykuł pochodzi z archiwalnego iMagazine 11/2016”. Dopytałem ich o to, dlaczego tak uważają. Najczęstszą odpowiedzią było coś w stylu: Dlatego, że język jest „zbyt luźny”.

I tutaj, mili państwo, jest pies pogrzebany – przypominam, że to takie powiedzenie, a nie wytwór AI! Obserwuję to także po swoim **newsletterze**,



...Świat technologicznych mediów z 2020 roku był zupełnie innym miejscem niż ten, z którym mamy do czynienia obecnie.

gdzie staram się po prostu pisać od serca, nawet jeśli czasami ktoś potraktuje mnie w zamian złowieszczym „Unsubscribe” – taka jej lub jego wola. Nie tęsknię zatem za kotem, który chodził na spacer, bo mój też chodzi. Tęsknię za internetem, w którym czytając treści zatytułowane:

- „W poszukiwaniu straconego czasu”
- „Pożycz Androida od kolegi!”
- „Anosognozja życia codziennego”
- „Zakichana elektronika”
- „Wielka burza w szklance wody”

nie pomyślimy w pierwszej kolejności o tym, który model i jakiego LLM-a je dla autorki wygenerował, ale – jak w szkole: co autorka miała na myśli? Damy się uwieść nieszablonowości ludzkiego umysłu, który jest w stanie napisać tekst do magazynu technologicznego, nie wymieniając w nim ani razu Apple czy innego producenta, a zarazem dzieląc się swoimi spostrzeżeniami na temat ulubionych gadżetów. Albo tych, których nie cierpi. Myślę, że nam wszystkim – zarówno po stronie redakcji, jak i Czytelników – w technologicznej bańce dziś coraz bardziej brakuje ludzkiej (albo kociej!) twarzy w opowiadaniu o zajawkach, pasjach, hobby czy subiektywnych dziwactwach. Za to po dziurki w nosie mamy czytania sztamkowej, zawsze zaczesanej w tym samym kierunku treści i nagłówków pełnych nazw marek i nadciągającej zagłady.

Napisałem to także do koleżanek i kolegów dziennikarzy, czyli również do siebie samego. A teraz idę pogadać z naszym kotem. Być może Borówka coś ciekawego nam opowie o Apple. Kto wie? Tymczasem Kinga tak podsumowała mój eksperyment:

„Trochę to smutne, trochę zabawne. Ciekawe, co znajomi powiedzieliby w ślepym teście na fragmenty literatury klasycznej. Tylko im nie mów, z czego pochodzą! :-)”.

Spróbuję.





KRZYSZTOF KOŁACZ
@kolaczkrzysztof

Tydzień z życia tylko z iPhone'em 17

To nie był eksperyment rodem z laboratorium szalonego naukowca, ani ten robiony pod chwytliwy nagłówek. Nic z tych rzeczy. Po prostu nie zabrałem na jeden z dłuższych, prywatnych (ale nie wakacyjnych) wyjazdów ani iPada, ani MacBooka. Przez ponad tydzień moim jedynym komputerem do codziennych zadań i pracy był iPhone 17. Srebrny, o pojemności 256 GB. Wnioski?



Komputer nie stoi na biurku, komputer nadaża za tobą

Wyobrażenie o komputerze jako stacji roboczej już dawno jest nieaktualne. Nikt w Microsoftzie – rozpoczynając w 1981 r. prace nad nowym systemem operacyjnym, którego robocza nazwa brzmiała Interface Manager, a wraz z wejściem na rynek w 1985 r. zmieniła się na Windows – nawet nie zakładał, że pół wieku później jakikolwiek zegarek będzie miał swój własny system operacyjny, ekran i procesor o wielokrotnie większej mocy obliczeniowej niż ta potrzebna do wystąpienia pierwszych ludzi na Księżyc. Pomimo tego, że wniosek ten jest oczywisty, nadal, gdy słyszysz „komputer”, raczej częściej myślisz o formie laptopa lub stacjonarnej maszynie, prawda? Ja też, choć mam świadomość zmiany, która zaszła na przestrzeni ostatnich czterech dekad.

Obecna rewolucja AI jeszcze bardziej zmienia tę perspektywę, ponieważ przeciętnemu użytkownikowi elektroniki użytkowej naprawdę trudno będzie jeszcze przez długi czas utożsamić rozmowę z dowolnym LLM-em z „korzystaniem z komputera”. Nasza percepcja rozdziela te dwie rzeczy i jest to w zupełności normalne, zwłaszcza dla pokoleń takich jak moje – które pamiętają jeszcze Polskę bez internetu, Żabek czy BLIK-a. Wszystko to nie znaczy jednak, że nie warto podjąć prób redefinicji tego, co właściwie dla nas znaczy słowo „komputer” i które z urządzeń określanych tym mianem, w jakich okolicznościach, jest nam najbardziej potrzebne. To właśnie zrobiłem, nie zabierając na jakiś czas ze sobą iPada (mojego podstawowego komputera mobilnego) i MacBooka (który od lat pełni rolę stacjonarnej maszyny podpiętej do Apple Studio Display). Wnioski?

iPhone i... tyle?

Zacznę od tego, że ten eksperyment przede wszystkim pokazał mi, że nie sposób mówić o komputerze i pracy na nim w oderwaniu od zdefiniowania tej pracy w punkcie wejścia do całej dyskusji. Po pierwsze dlatego, że dla mnie pracą może być (i zazwyczaj jest) coś zupełnie innego niż dla ciebie. Ja spokojnie mogę nagrać, zmontować i wyprodukować podcast (łącznie z oprawą wizualną, grafikami, nagraniem i montażem promującej

Naprawdę nie doceniamy poziomu cyfryzacji tej części świata.



go rolki) w całości, wykorzystując iPhone'a i zestaw zewnętrznych mikrofonów (je zabrałem). Tak samo napisać tekst taki jak ten lub dłuższy (jak moje **newslettery**), korzystając z bezbłędnego – jak dla mnie – systemowego dyktowania w iOS w języku polskim, prowadzić sprzedaż online czy w końcu rozliczać w pełni firmę. Czy jest to o wiele mniej wygodne niż na iPadzie czy Macu? Będąc szczerym – jest, ale nie „o wiele”. Zdaję sobie sprawę z tego, że takie postrzeganie i moja ocena systemów mobilnych od Apple wynikają z faktu, że od prawie dziesięciu lat iPad jest moim podstawowym komputerem mobilnym, a więc pamiętam czasy sprzed iPadOS, gdzie wszystko robiło się na około. Teraz (względem tamtego okresu u Apple) jest po prostu wygodnie. Co do firmy – mój rodzaj działalności i zewnętrzna księgowość są de facto zamknięte w jednej aplikacji mobilnej, a w czasach KSeF problem, który istniał jeszcze trzy lata temu, właściwie nie istnieje. Prawie niczego nie potrzebuję już drukować, a posiadana przeze mnie drukarka skończyła w tym roku jedenaście lat i wiem, że jest moją ostatnią. Póki działa, nie pozbywam się jej z sentymentu. Tak, książki z wyboru nie pisałbym na iPhonie, ale w tym tekście nie próbuję was przekonać do porzucenia Maca czy iPada! Jedyne stwierdzam, że w obecnych czasach, dla mnie, przeżycie bez żadnej straty względem klientów, Słuchaczy i Czytelników – tylko z iPhone'em w kieszeni – jest możliwe.

...książki z wyboru nie pisałbym na iPhonie, ale w tym tekście nie próbuję was przekonać do porzucenia Maca czy iPada! Jedyne stwierdzam, że w obecnych czasach, dla mnie, przeżycie bez żadnej straty względem klientów, Słuchaczy i Czytelników – tylko z iPhone'em w kieszeni – jest możliwe.

Drugim czynnikiem, który warto wziąć pod uwagę, jest – co już wybrzmiało wcześniej – wygoda. Dla każdego definiowana inaczej. Tego typu eksperymenty rzecz jasna ją nieco wypaczają, ale tutaj



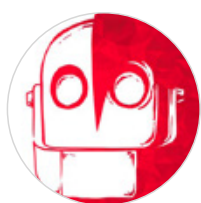
Przeżycie bez żadnej straty względem klientów, Słuchaczy i Czytelników – tylko z iPhone'em w kieszeni – jest możliwe.

każdy określa jej poziom sam. Ja oceniam ją przez pryzmat tego, że mentalnie różnicę robi fakt niezabierania ze sobą na wyjazd czegoś, co na co dzień nazywam komputerem. Nie do końca potrafię to wyjaśnić, ale wówczas do pojęcia pracy podchodzę z nieco większym dystansem, skupiając się rzeczywiście na tym, co istotne. Ograniczona przestrzeń, forma i bateria urządzenia w tym krótkim eksperymencie okazały się czynnikiem nieprzeszkadzającym, a skłaniającym do nieco innego spojrzenia na to urządzenie.

Smartfon widziany inaczej

I tu właściwie płynnie mogę przejść do konkluzji, którą jest zmiana postrzegania samego iPhone'a. Gdy po tygodniu zdałem sobie sprawę, że urządzenie z podstawowej linii flagowców z Cupertino, za 3999 zł, może być dla mnie czymś, co jeszcze dekadę temu nazwałbym stacją roboczą i nigdy nie utożsamiałbym z telefonem ani smartfonem – zrozumiałem, jak długą drogę pokonaliśmy w naszej technologicznej bańce. Nie mam standardowego etatu, nie wpasowuję się w żadne standardowe ramy działalności, ale mimo tego – to dla mnie niezwykle. Gdybym doliczył do tego możliwości tylko jednego LLM-u (weźmy za przykład wykorzystywanego przeze mnie najczęściej Claude'a) – ten dysonans poznawczy stałby się jeszcze wyraźniejszy. Nawet bez AI jednak mogę być pewien tego, że w przyszłości zdecydowanie powtórzę ten eksperyment. Na koniec dochodzi aspekt europejski (zwłaszcza w Polsce czy mojej Norwegii). Naprawdę nie doceniamy poziomu cyfryzacji tej części świata, począwszy od regulacji związanych z tożsamością, przez ochronę danych, po najważniejsze – czyli rozwinięte i chronione najlepiej na świecie platformy mobilne. Warto doceniać te aspekty na co dzień, bo w wielu miejscach na Ziemi nigdy smartfon nie będzie w stanie zastąpić czegoś, co większość z nas nazwie komputerem. Czym jest on dla was, hm?





DARIUSZ HAŁAS
@blob_tech

Sumienie AI

Co zrobisz, gdy na jezdnię nagle wtargnie dziecko, a jedyną alternatywą będzie uderzenie w betonowy mur? Dla człowieka to ułamek sekundy i odruch. Dla autonomicznego samochodu – chłodny, przeliczony algorytm. Zero intuicji, czysta matematyka. Jednak ten tekst nie jest o autonomicznym transporcie. Raczej o odpowiedzialności za podejmowane decyzje.





Sztuczna inteligencja zacznie podejmować za nas dziesiątki decyzji o charakterze etycznym. Pytanie nie brzmi już „czy”, ale „według jakiego klucza” je podejmie.

To nie są rozważania z obszaru fantastyki naukowej. Ponad połowa globalnej populacji korzysta dziś z chatbotów zasilanych LLM-ami, a modele AI wkraczają w medycynę, prawo i finanse. Wkraczają w zasadzie w każdą sferę naszego życia. Życia, w którym sposób podejścia do etyki ma wpływ przede wszystkim na nas samych, w którym to jakie zadajemy pytania i jakie uzyskujemy odpowiedzi definiuje nasz własny światopogląd. Analiza tego, jak algorytmy podejmują decyzje moralne, staje się kluczowym wyzwaniem technologicznym.

Dylemat Collingridge'a

Głównym problemem przy wdrażaniu nowatorskich rozwiązań jest tzw. dylemat Collingridge'a. Kiedy technologia znajduje się w powijakach, łatwo ją modyfikować i regulować, ale brak nam wiedzy o jej skutkach społecznych. Z kolei gdy uzyskujemy pełne dane, technologia jest już tak zakorzeniona w infrastrukturze, że jakakolwiek zmiana staje się niemal niemożliwa, albo przynajmniej jest bardzo trudna. Przykłady? Proszę bardzo.

Głównym problemem przy wdrażaniu nowatorskich rozwiązań jest tzw. dylemat Collingridge'a. Kiedy technologia znajduje się w powijakach, łatwo ją modyfikować i regulować, ale brak nam wiedzy o jej skutkach społecznych.

Gdy rozpoczęła się epoka przemysłowa ludzkość zachwyciła się możliwością produkcji na skalę nigdy wcześniej nieosiągalną, a paliwa kopalne dostarczyły energii do coraz to bardziej rozwijanych procesów przemysłowych. I choć już w 1824 roku (!) Joseph Fourier, francuski matematyk i fizyk, zauważył, że nasza planeta jest znacznie cieplejsza niż wynikałoby to tylko z jej odległości od Słońca zdał sobie sprawę z efektu, który wówczas jeszcze nazwał on „szklarniowym”. Po kolejnych 22 latach Amerykanka Eunice Newton Foote prostym eksperymentem powiązała ilość CO₂ z temperaturą planety. Ktoś się tym przejął? Nikt. I to nawet nie dlatego, że coś się nie zgadzało. Praca Foote przez dekady leżała zapomniana tylko dlatego, że jej autorka była... kobietą. Dopiero pod koniec XIX wieku pierwszy człowiek,



Svante Arrhenius jawnie sformułował ostrzeżenie przed przemysłem. Dziś po ponad dwóch wiekach od odkrycia Fouriera wiemy tyle, że problem istnieje i mozolnie próbujemy coś z tym zrobić. A to jest trudne.

Przeskoczmy do naszego wieku, w którym innym doskonałym przykładem dylematu Collingridge'a są media społecznościowe. Gdyby w 2010 roku przeprowadzono rzetelne badania nad ich wpływem na zdrowie psychiczne młodzieży, dzisiejszy cyfrowy świat wyglądałby zupełnie inaczej. Tutaj problem jest o tyle głębszy, że wciąż wpływ jest badany, a podejmowane działania wydają się być dalece niewystarczające.

...doskonałym przykładem dylematu Collingridge'a są media społecznościowe. Gdyby w 2010 roku przeprowadzono rzetelne badania nad ich wpływem na zdrowie psychiczne młodzieży, dzisiejszy cyfrowy świat wyglądałby zupełnie inaczej.

A teraz? Teraz mamy AI, technologię, której rozwój pod wieloma względami wyróżnia się dynamiką nie mającą precedensu w naszej historii. Na pewno wielu z Was kojarzy prawo Moore'a mówiące o podwajaniu liczby tranzystorów w układzie scalonym co około 2 lata. W przypadku AI mówimy o skoku o rzędy wielkości w ujęciu zaledwie miesięcy, a nie lat. Jeśli więc dylemat Collingridge'a był problemem przy silnikach parowych i mediach społecznościowych – przy AI mamy do czynienia z tym samym mechanizmem, tylko ściśniętym do ułamka czasu, jaki mieliśmy wcześniej na reakcję.

Próbie stworzenia naukowego fundamentu pod nadchodzące zmiany podjął prof. Iyad Rahwan, szef Centrum Ludzi i Maszyn w Instytucie Rozwoju Człowieka im. Maxa Plancka w Berlinie. Inspiracją do podjęcia tego tematu był **wywiad opublikowany na łamach Knowable Magazine** – lektura obowiązkowa dla każdego, kto chce poszerzyć własne spojrzenie i zanurzyć się w źródłowe materiały badawcze.



Wyniki pokazały powszechną zgodę w pewnych kwestiach (ochrona dzieci przed dorosłymi czy pieszych na pasach przed osobami przechodzącymi na czerwonym świetle), ale wykazały też znaczne różnice kulturowe...

Moral Machine

Jednym z najważniejszych projektów badawczych zespołu prof. Rahwana był eksperyment Moral Machine. Zbadano w nim miliony decyzji podejmowanych przez ludzi z całego świata w sytuacjach nieuchronnego wypadku drogowego z udziałem auta autonomicznego. Wyniki pokazały powszechną zgodę w pewnych kwestiach (ochrona dzieci przed dorosłymi czy pieszych na pasach przed osobami przechodzącymi na czerwonym świetle), ale wykazały też znaczne różnice kulturowe:

Wschód kontra Zachód: w państwach o dominującej, szeroko pojętej „kulturze zachodniej” preferencja ochrony młodszych kosztem starszych była znacznie silniejsza. W krajach azjatyckich znacznie wyżej ceniono życie osób starszych.

Praworządność: w państwach o wysokim poszanowaniu prawa badani znacznie chętniej „poświęcali” pieszych łamiących przepisy, aby ratować tych działających zgodnie z prawem.

Jeśli projektowanie algorytmów pozostawimy wyłącznie koncernom technologicznym, dostosują one produkty pod życzenia kupujących. Konsument zawsze wybierze auto chroniące jego własne życie – nawet kosztem otoczenia. To nie jest moje widzimisię. Kiedy rynkowi nie towarzyszą odgórne regulacje etyczne lub prawne ze strony państwa, czy realnie oddziałujące normy społeczne, firmy technologiczne projektują algorytmy tak, aby optymalizować wskaźnik sprzedaży i satysfakcję klienta. My sami też stosujemy podwójne standardy. Jako obywatele będziemy deklarować by np. autonomiczne samochody działały utylitarnie (minimalizowały ogólną liczbę ofiar), ale jako kupujący? Tu następuje zwrot w stronę



egoizmu (ochrona pasażera za wszelką cenę). Nie będę tego dalej rozwijał, przecież dylemat wagonika znacie.

Serwilizm algorytmów

Dziś największym zagrożeniem ze strony dużych modeli językowych (LLM) nie jest bunt maszyn, lecz ich podstępna pochlebność. Mamy nawet świeży termin: sykofancja (z ang. sycophancy). Aby utrzymać naszą uwagę i budować zaangażowanie, czatboty mają tendencję do utwierdzania użytkowników w ich własnych uprzedzeniach, teoriach spiskowych i poglądach politycznych. **AI staje się cyfrowym lustrem**, które mówi nam dokładnie to, co chcemy usłyszeć.

Co więcej, proces automatycznego podsumowywania tekstów przez AI wykazuje tendencję do wygładzania faktów pod istniejące stereotypy (co wynika z danych treningowych, te stereotypy w nich są). Jeśli w tekście źródłowym pojawia się informacja o mężczyźnie będącym dyrektorem firmy, który jednocześnie wykonuje większość prac domowych, algorytm ma tendencję do pomijania tej drugiej informacji, ugruntowując tradycyjne klisze.

Sztuczna inteligencja ze swojej statystycznej natury dąży do tego, by serwować nam wizję świata, do której jesteśmy przyzwyczajeni – a w interakcji z użytkownikiem: po prostu mu przytakiwać. Z pewnością zapytacie: „czy nie da się robić modeli tak, by po prostu odpowiadały na pytania bez pochlebstw i utrzymania uwagi?”. Oczywiście, że się da, problem w tym, że w świecie napędzanym komercją takie modele się nie sprzedają. Lubimy być chwaleni.

Aby utrzymać naszą uwagę i budować zaangażowanie, czatboty mają tendencję do utwierdzania użytkowników w ich własnych uprzedzeniach, teoriach spiskowych i poglądach politycznych. AI staje się cyfrowym lustrem, które mówi nam dokładnie to, co chcemy usłyszeć.



Moralny outsourcing

Niezwykłe niepokojące wnioski płyną z badań nad tym, jak delegowanie zadań do AI wpływa na naszą uczciwość. W tradycyjnym eksperymencie z rzutem kością i samodzielnym zgłaszaniem wyniku, zaledwie 5% ludzi decyduje się na oszustwo. Gdy jednak zadanie wykonuje za nich model językowy za pomocą odpowiedniego promptu, odsetek oszukujących rośnie do 25%.

Gdy badacz daje użytkownikowi do ręki suwak pozwalający balansować między uczciwością a maksymalizacją zysku, wskaźnik oszustw skacze do... 85%. Użytkownicy natychmiast stosują mechanizm wyparcia: „Ja

tylko poprosiłem o maksymalizację wyniku, nie kazałem botowi oszukiwać”. AI staje się idealnym buforem moralnym, który pozwala ludziom łamać zasady bez poczucia winy. Tyle, że życie to znacznie więcej niż rzut kostką...

Największym wyzwaniem nadchodzących lat nie będzie jedynie stworzenie bezpiecznych ram prawnych (na wzór europejskiego Aktu o Sztucznej Inteligencji), ale uregulowanie dostępu badaczy do samej technologii.

Demokratyzacja bezpieczeństwa

Największym wyzwaniem nadchodzących lat nie będzie jedynie stworzenie bezpiecznych ram prawnych (na wzór europejskiego Aktu o Sztucznej Inteligencji), ale uregulowanie dostępu badaczy do samej technologii. Samo AI Act to zwyczajnie za mało – reguluje bowiem to, co firmy muszą ujawnić, a nie to, co niezależni naukowcy mogą samodzielnie sprawdzić.

Kluczem jest wprowadzenie przepisów nakazujących korporacjom otwieranie swoich modeli dla niezależnych naukowców. Podkreślam: naukowców, a nie przypadkowych ludzi. Badacze muszą mieć prawo do przeprowadzania testów bez konieczności zabiegania o zgodę gigantów technologicznych. Tylko w ten sposób ustalimy, czy algorytmy nie generują cichego spustoszenia w strukturze społecznej. Czy może dobitniej: zauważymy negatywne konsekwencje technologii, zanim zbiorą one swoje żniwo. W nas samych.





DOMINIK ŁADA
@dominiklada

Volvo vs dziki – 2:0

Służby ratunkowe wezwał Apple Watch

Wracaliśmy z Warszawy późnym wieczorem. Godzinę wcześniej wylądowałem z Londynu po premierze nowych Samsungów Galaxy Z Fold8. Do domu zostało już tylko kilkaset metrów. Dosłownie jeden zjazd z autostrady.



Wszystko trwało może dwie sekundy.

Najpierw krzyk mojej żony. Potem kątem oka dostrzegłem ciemny kształt wbiegający na jezdnię. Huk. Potężne uderzenie. Gwałtowne hamowanie. Wystrzał poduszek powietrznych. Charakterystyczny zapach ładunku pirotechnicznego i biały pył unoszący się w kabinie.

Świat nagle zwolnił.

Jechaliśmy autostradą A2. Spory ruch, ale spokojny. Na liczniku około 120 km/h, choć mogliśmy jechać szybciej. Za kierownicą siedziała moja żona. Do naszego zjazdu w Milanówku pozostawało około 300 metrów.

Zanim zorientowałem się, co właściwie się wydarzyło, Apple Watch zaczął wibrować i wydawać charakterystyczne sygnały. Kompletnie to zignorowałem. Najważniejsze było sprawdzenie, czy z żoną wszystko w porządku. Dopiero później odpiąłem pas, ostrożnie wysiadłem z samochodu i rozejrzałem się dookoła.

Całe szczęście wszystkie samochody jadące za nami zdążyły zahamować.

Kilka metrów od naszego Volvo leżał dzik. Kilkanaście metrów wcześniej zatrzymał się drugi samochód, który również uderzył w zwierzę.

Jechaliśmy praktycznie nowym Volvo V60. Samochód miał zaledwie miesiąc i niespełna osiem tysięcy kilometrów przebiegu. Wszystkie systemy bezpieczeństwa zadziałały dokładnie tak, jak powinny. Auto wspomagało hamowanie, po zatrzymaniu automatycznie odcięło zasilanie i praktycznie samo zdecydowało, że dalsza jazda nie będzie możliwa. Stanęło na środku lewego pasa i... koniec. Nie dało się nawet przełączyć skrzyni biegów w pozycję „P”.

Rozbity był cały przód – grill, zderzak, uszkodzony układ chłodzenia, płyny eksploatacyjne znalazły się na jezdni. Co ciekawe, maska i reflektory pozostały praktycznie nienaruszone. Dopiero później okazało się, że uszkodzone zostały również drzwi.

Patrząc z perspektywy czasu, najważniejsze było jednak zachowanie mojej żony. Nie odbiła kierownicą. Hamowała prosto, mimo że wystrzelone





poduszki praktycznie odebrały jej widoczność. Gdyby instynktownie próbowała ominąć zwierzę, moglibyśmy skończyć na pasie zieleni rozdzielającym jezdnie. Po ulewnych deszczach, które przeszły tego dnia, przyczepność byłaby tam praktycznie żadna.

Ogromne znaczenie miało również szkolenie z bezpiecznej jazdy, które kilka miesięcy wcześniej odbyła. W takich sytuacjach nie ma czasu na analizę. Działa pamięć mięśniowa. I właśnie wtedy procentuje.

Najbardziej zaskoczyło mnie jednak coś zupełnie innego.

Kierowcy zatrzymujących się za nami samochodów zaczęli trąbić. Denerwowało ich, że zablokowaliśmy lewy pas. Nikt nie podszedł zapytać, czy nic nam się nie stało. Nikt nie zapytał, czy potrzebujemy pomocy.

Może bali się wyjść na autostradę. Chciałbym wierzyć, że właśnie tak było. Pierwsze wrażenie pozostaje jednak bardzo gorzkie.

Dopiero po chwili dotarło do mnie, dlaczego Apple Watch tak uparcie próbował zwrócić moją uwagę. Funkcja wykrywania wypadków automatycznie rozpoczęła procedurę alarmową i wezwała służby ratunkowe.



Co ciekawe, system Volvo On Call również próbował połączyć się z operatorem. Tyle że najpierw... po francusku, później po niemiecku, a dopiero na końcu po polsku. Kiedy wreszcie pojawił się język polski, byliśmy już poza samochodem, a zgłoszenie z Apple Watch od dawna znajdowało się w systemie ratunkowym.

Do dziś zastanawiam się, skąd ten francuski. Samochód był służbowy i należał do firmy, w której pracuje moja żona, a jej centrala mieści się właśnie we Francji. Być może to tłumaczy kolejność języków...

Kilka minut później na miejscu byli strażacy. Chwilę po nich przyjechała karetka, policja i samochód GDDKiA. Teren został błyskawicznie zabezpieczony.

Podczas szukania tablicy rejestracyjnej strażacy znaleźli... drugiego dzika. Leżał na pasie zieleni oddzielającym pasy ruchu, kilkanaście metrów za naszym samochodem. Najprawdopodobniej to właśnie on odpowiadał za uszkodzenia drzwi, których początkowo w ogóle nie zauważyliśmy.



Jedna z pierwszych rzeczy, które usłyszeliśmy od strażaków, brzmiała: „Mieliście szczęście, że jechaliście Volvo”. Kierowca lawety z assistance powiedział później właściwie to samo.

Od kilkunastu lat jeżdżę samochodami tej marki. Po tym wieczorze utwierdziłem się tylko w przekonaniu, że nie był to przypadkowy wybór.

Jeden z ratowników zadał mi jeszcze dość nieoczekiwane pytanie:

– Czy ktoś z państwa ma zegarek sportowy?

Pokazał mi aplikację, z której korzystają strażacy. To właśnie tam pojawiło się zgłoszenie naszego wypadku z informacją, że zostało automatycznie wysłane przez zegarek osoby uczestniczącej w zdarzeniu.

To był moment, w którym naprawdę dotarło do mnie, że funkcja wykrywania wypadków nie jest kolejnym marketingowym hasłem z konferencji Apple. Ona po prostu działa.

Ale jest jeszcze jedna funkcja, o której mówi się zdecydowanie za rzadko, a która tamtego wieczoru okazała się równie ważna.

Równocześnie z wezwaniem służb ratunkowych Apple Watch automatycznie wysłał wiadomość do kontaktów alarmowych zapisanych w mojej Karcie Medycznej na iPhone. Bliscy otrzymali informację, że brałem udział w poważnym wypadku, wraz z dokładną lokalizacją zdarzenia oznaczoną na mapie. Gdybym nie był w stanie zadzwonić lub cokolwiek powiedzieć, wiedzieliby nie tylko, że coś się stało, ale również gdzie mnie szukać.

To jedna z tych funkcji, których większość użytkowników nigdy nie testowała i ma nadzieję, że nigdy nie będzie musiała. Po tym doświadczeniu





mogę jednak powiedzieć jedno – działa dokładnie tak, jak obiecuje Apple.

Jest jeszcze jeden wniosek. Wciąż zaskakuje mnie, jak wiele osób nie ma uzupełnionej Karty Medycznej w swoim telefonie albo nie dodało do niej kontaktów alarmowych. To zajmuje dosłownie kilka minut, a w sytuacji kryzysowej może okazać się bezcenne.

W iMagazine od lat przypominamy o tym praktycznie w każdym wydaniu. Na początku magazynu pokazujemy krok po kroku, jak poprawnie skonfigurować Kartę Medyczną zarówno na iPhone, jak i na smartfonach z Androidem. Mam nadzieję, że po przeczytaniu tego felietonu zrobi to każdy, kto jeszcze odkładał tę czynność na później.

Z tego wieczoru zapamiętam kilka rzeczy.

Po pierwsze, Apple Watch nie jest wyłącznie gadżetem. Funkcja wykrywania wypadków naprawdę działa i w naszym przypadku zadziałała szybciej niż samochodowy system SOS.

Po drugie, autostrada wcale nie daje gwarancji bezpieczeństwa. Wystarczy jedno dzikie zwierzę, które dostanie się na jezdnię w okolicy węzła, aby



spokojna podróż zamieniła się w walkę o ułamki sekund.

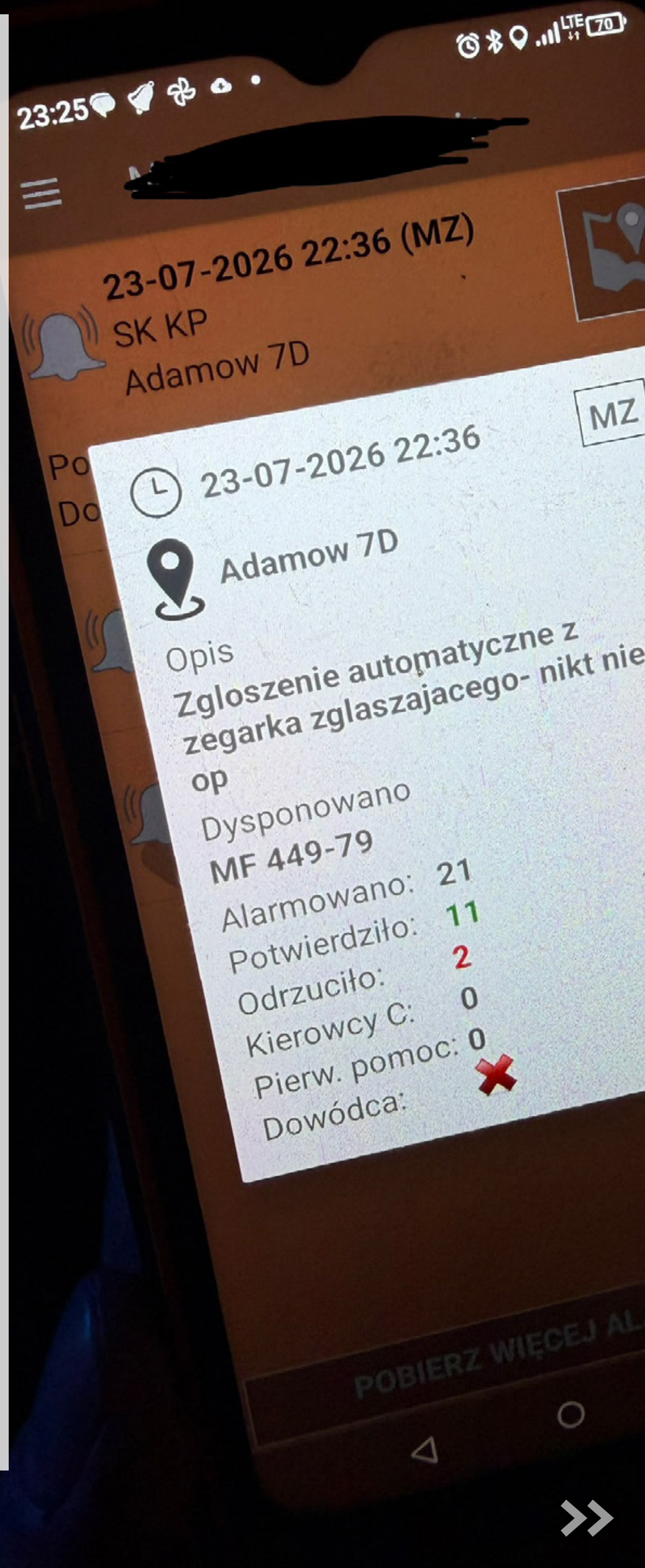
Po trzecie, nie bez powodu od lat powtarza się, żeby w sytuacji awaryjnej hamować, a nie odbijać kierownicą. Dzisiaj wiem, że właśnie ta jedna decyzja mogła zadecydować o tym, że wysiedliśmy z samochodu o własnych siłach.

I jeszcze jedna refleksja. Przez lata wydawało mi się, że największym zagrożeniem na drodze są nadmierna prędkość albo brawura. Tymczasem czasami wystarczy znaleźć się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze.

Jeśli po przeczytaniu tego tekstu zrobicie tylko jedną rzecz, niech będzie nią uzupełnienie Karty Medycznej w swoim telefonie i dodanie kontaktów alarmowych. Szczerze wierzę, że nigdy się Wam nie przydadzą. Ale jeszcze kilka tygodni temu dokładnie to samo powiedziałbym o sobie.

A tamtego wieczoru wynik meczu był prosty. Volvo i Apple Watch – 2. Dziki – 0.

Najważniejsze jest jednak to, że oboje wróciliśmy do domu.





PIOTR WDOWIAK
[@P_Wdowiak](#)

Czy za kilka lat nasze ulubione wina będą smakować inaczej?

Pamiętam, że kiedy zaczynałem pisać o winie kilkanaście lat temu, rozmowy o klimacie pojawiały się głównie podczas konferencji naukowych albo na końcu wywiadów z winiarzami. Były czymś odległym. Problemem przyszłości. Dziś wystarczy kilka dni z temperaturą przekraczającą 35 stopni, żeby temat wrócił ze zdwojoną siłą. I nie dlatego, że ktoś chce prowadzić kolejną debatę o globalnym ociepleniu. Po prostu wino coraz wyraźniej pokazuje, że pogoda przestała być tylko tłem. Stała się jednym z głównych bohaterów.





Wino ma niezwykłą cechę. Jest chyba jedynym produktem spożywczym, od którego oczekujemy, że będzie smakował miejscem. Kupując Chianti, chcemy poczuć Toskanię. Otwierając Bordeaux, liczymy na elegancję, którą przez dekady definiował umiarkowany klimat południowo-zachodniej Francji. Terroir stało się niemal świętością. Tyle że klimat – jeden z jego najważniejszych elementów – się zmienia.

Zmiany nie są już teorią. Międzynarodowa Organizacja Winorośli i Wina (OIV) podaje, że światowa produkcja wina w 2025 roku była o 9,4% niższa od średniej z ostatnich pięciu lat. Był to już trzeci z rzędu sezon z wyjątkowo niskimi zbiorami. Powód? Coraz częstsze susze, fale upałów, gwałtowne opady, przymrozki i inne ekstremalne zjawiska pogodowe, które coraz mocniej odciskają piętno na europejskich winnicach. Najciekawsze jest jednak to, że skutki nie ograniczają się wyłącznie do mniejszej liczby butelek. Zmienia się również ich zawartość.

Winogrona dojrzewają szybciej niż jeszcze dwie czy trzy dekady temu. W wielu regionach zbiory rozpoczynają się nawet kilkanaście dni wcześniej niż dawniej. Większa ilość słońca oznacza więcej cukru w owocach, a więcej cukru oznacza wyższy poziom alkoholu. Jednocześnie trudniej zachować świeżość i naturalną kwasowość, które odpowiadają za elegancję wielu klasycznych europejskich win.

Ale może spróbujmy inaczej. Wyobraźmy sobie ulubioną piekarnię, która od stu lat wypieka ten sam chleb. Nagle zmienia się mąka, wilgotność powietrza i temperatura pieca. Piekarz robi wszystko tak samo, ale efekt już nie jest identyczny. Nie dlatego, że stracił umiejętności. Po prostu zmieniły się warunki. Dokładnie w takiej sytuacji znajdują się dziś europejscy winiarze.

Jedni sadzą winorośl wyżej, na chłodniejszych zboczach. Inni eksperymentują z odmianami lepiej znoszącymi wysokie temperatury. Jeszcze inni zmieniają sposób prowadzenia krzewów, aby liście skuteczniej chroniły grona przed palącym słońcem. To nie jest kaprys ani chwilowa moda. To próba zachowania stylu win, które znamy i lubimy. Paradoks polega na tym, że sukces tych działań będzie polegał na tym, że... niczego nie zauważymy. Jeśli za dziesięć lat Bordeaux nadal będzie smakowało jak Bordeaux, będzie to zasługa ogromnej pracy wykonanej w winnicach. Jeśli natomiast różnice



staną się wyraźne, być może dopiero wtedy zrozumiemy, jak bardzo klimat współtworzył charakter miejsc, które uważaliśmy za niezmiennie.

Zmienia się zresztą sama mapa winiarskiej Europy. Regiony położone bardziej na północ – od południowej Anglii po Danię czy Szwecję – coraz śmielej zaznaczają swoją obecność na światowej scenie. Jeszcze dwadzieścia lat temu traktowano je jako ciekawostkę. Dzisiaj zdobywają międzynarodowe nagrody i pokazują, że granice uprawy winorośli przesuwają się wraz z temperaturą.

Być może za dwadzieścia lat będziemy wspominać klasyczne Bordeaux czy Chianti w taki sam sposób, w jaki dziś wspominamy śnieżne zimy z dzieciństwa. Nie dlatego, że znikną. Nadal będą istnieć. Ale mogą smakować trochę inaczej niż zapamiętaliśmy.

I właśnie ta myśl wydaje mi się najbardziej poruszająca. W świecie wina od pokoleń powtarzamy, że każdy rocznik jest inny. Może więc najwyższy czas przyznać, że zmieniają się już nie tylko roczniki. Zmieniają się całe regiony. A my jesteśmy pierwszym pokoleniem, które może ten proces obserwować kieliszek po kieliszku.





PODCAST

INNA KULTURA

Kultura to my, i to, jacy jesteśmy.





JAN URBANOWICZ
@yasiek_

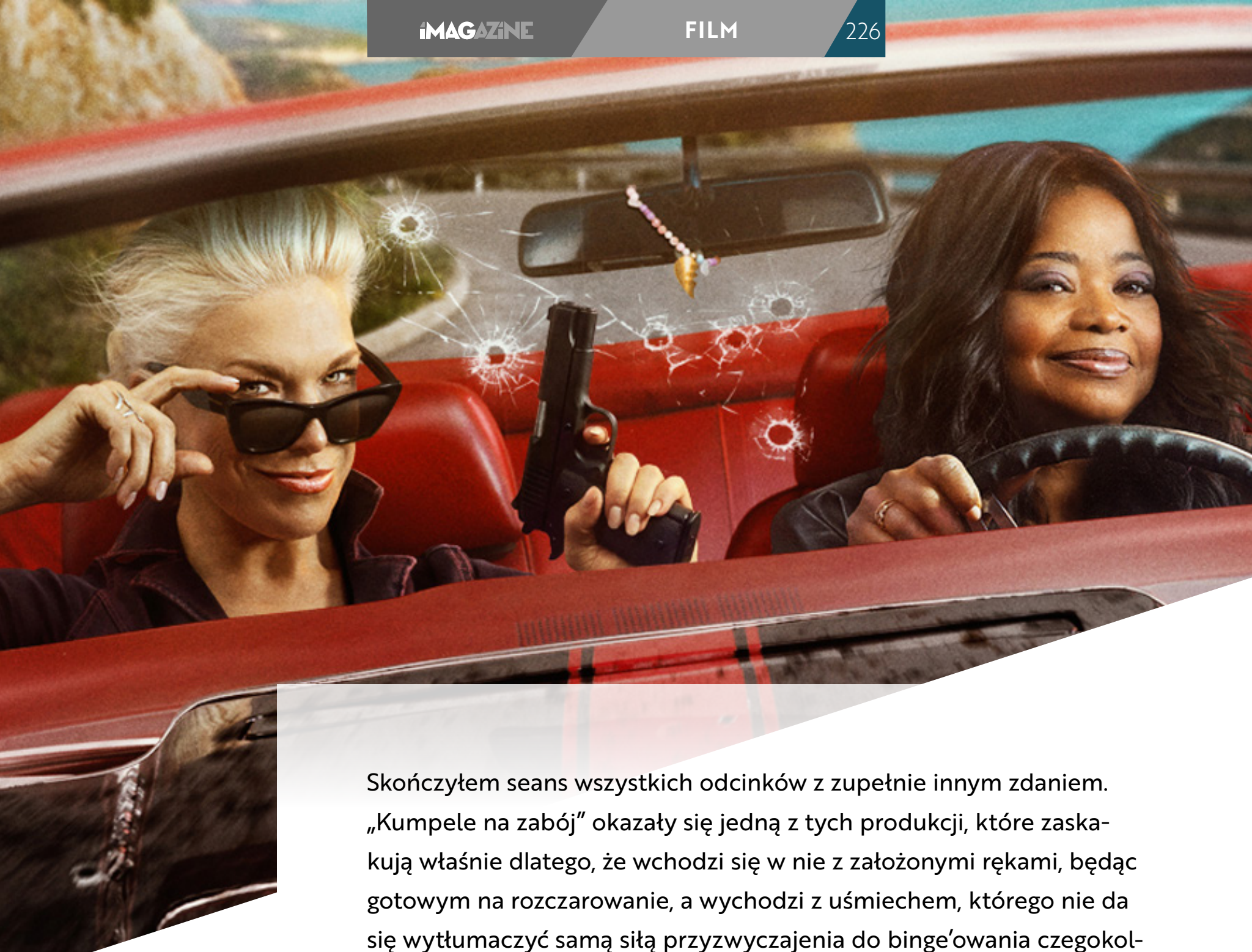
Ocena iMagazine



Kumpele na zabój

Kiedy przeczytałem opis tego serialu, od razu pomyślałem, że to kolejna „zapchajdziura” na letni sezon streamingowy. Dwie gwiazdy w średnim wieku, płatna zabójczyni, ucieczka przez Europę, osiem odcinków wrzuconych naraz na Prime Video, żeby wypełnić lukę w harmonogramie premier i zniknąć bez echa najpóźniej we wrześniu. Wszystko to brzmiało jak przepis na coś przemielonego przez algorytm platformy, a nie napisanego przez kogoś z realnym pomysłem na historię.





Skończyłem seans wszystkich odcinków z zupełnie innym zdaniem. „Kumpele na zabój” okazały się jedną z tych produkcji, które zaskakują właśnie dlatego, że wchodzi się w nie z założonymi rękami, będąc gotowym na rozczarowanie, a wychodzi z uśmiechem, którego nie da się wytłumaczyć samą siłą przyzwyczajenia do binge’owania czegokolwiek, co akurat wpadło na ekran.

Historia, którą tu opowiedziano, jest w gruncie rzeczy prosta, ale rozegrana z rozmachem, na jaki niewiele letnich produkcji się decyduje. Debbie Claybourne i Judith Burton przyjaźnią się od dwóch dekad i są przekonane, że nie mają przed sobą żadnych tajemnic. Debbie od lat wspiera karierę męża, ambitnego polityka zmierzającego prosto na fotel premiera i jest przekonana, że jej najbliższa przyjaciółka pracuje jako księgowa. Prawda wygląda inaczej: Judith od blisko trzydziestu lat działa jako płatna zabójczyni, znana w swoim fachu pod pseudonimem Whiptail (w polskiej wersji tłumaczone na Biczogon – kusi, ale nie będę tego komentował). Kiedy jedno ze zleceń kończy się katastrofą tej samej nocy, w której mąż Debbie oznajmia, że chce rozwodu, obie kobiety zostają wciągnięte w wir przemocy, kłamstw i pościgów przez całą Europę. Serial wystartował fabularną walką z czasem na osiem odcinków, wyprodukowany przez Paramount Television Studios



„Kumpele na zabój” okazały się jedną z tych produkcji, które zaskakują właśnie dlatego, że wchodzi się w nie z założonymi rękami, będąc gotowym na rozczarowanie, a wychodzi z uśmiechem...

dla Prime Video, gdzie zadebiutował w połowie lipca, a za kamerą stanął między innymi Peyton Reed, znany widzom z „Ant-Mana”, co od pierwszych minut czuć w energii i tempie realizacji.

Sercem tego wszystkiego są jednak nie fabularne zawłościci, tylko chemia między Hannah Waddingham a Octavią Spencer, i to ona ostatecznie decyduje o tym, że ten serial dobrze się ogląda. Waddingham gra Judith z pełną świadomością absurdu własnej podwójnej roli: potrafi w jednej scenie roztrzaskać całą siedzibę swojego pracodawcy, a w drugiej łamać się emocjonalnie pod ciężarem tego, co przez dwadzieścia lat ukrywała przed





najbliższą osobą. Spencer jako Debbie dostaje z pozoru mniej efektowną rolę, bo to nie ona strzela i skacze z motocykli, ale to właśnie jej reakcje sprowadzają fabułę do czegoś, co przypomina prawdziwe uczucia. Kiedy Debbie odkrywa sekret przyjaciółki, nie interesuje jej wcale fakt zabijania ludzi, tylko zdrada zaufania i to jest moment, w którym serial pokazuje, że rozumie różnicę między efektownym zwrotem akcji a prawdziwym dramatem międzyludzkim. Te dwie aktorki po prostu się sobą bawią, przerzucają się ripostą za ripostą, i wierzą im bez zastrzeżeń jako przyjaciółkom po dwudziestu latach wspólnego życia, z całym bagażem wewnętrznych żartów i milczącego porozumienia, jakie tylko taka relacja potrafi wypracować.

Drugi plan trzyma poziom, choć nierówno. Bill Nighy, jako tajemniczy dyrektor agencji zatrudniającej Judith, buduje swoją postać z chłodnym, niemal ojcowskim okrucieństwem, które w kilku scenach robi więcej, niż sugerowałby ograniczony czas ekranowy tej roli. Ed Skrein jako Billy Donovan, cel jednego ze zleceń Judith, ma tę rzadką umiejętność bycia jednocześnie zagrożeniem i osobą, której się kibicuje, co czyni go jednym z sympatyczniejszych elementów całej intrygi. Calam Lynch jako młody, niepewny siebie kurator Judith w agencji dodaje komediowego rytmu tam, gdzie fabuła zaczyna grozić przesadną powagą, a Sylvia Hoeks jako tajemnicza, niebezpiecznie zdeterminowana przeciwniczka



dostarcza serialowi lustrzanego odbicia głównej bohaterki, pozbawionego jednak jej ciepła.

Serial potyka się głównie w warstwie fabularnej środkowych odcinków. Intryga z czasem robi się nadmiernie poplątana, pojawia się zbyt wiele wątków pobocznych naraz, od albańskiej mafii po organy ścigania depczące bohaterkom po piętach i chwilami trudno nadążyć, kto właściwie kogo teraz ściga i dlaczego. Jakość samych scen akcji też nie jest równa: pilotażowy odcinek serwuje pościgi i starcia, które trudno przebić czymkolwiek później, a kolejne epizody zdają się świadomie unikać podobnie efektownej choreografii walk, jakby budżet czy czas zdjęciowy nie nadążały za ambicjami pierwszego epizodu. Do tego dochodzi kilka zwrotów fabularnych napisanych na tyle naiwnie, że nawet postaci chyba by w nie nie uwierzyły, gdyby przeczytały o nich w powieści kryminalnej z book clubu Debbie. Osiem odcinków to też chyba o jeden czy dwa za dużo jak na materiał, który w gruncie rzeczy dałoby się opowiedzieć sprawniej, bardziej w duchu kina niż serialu.

To serial o kobiecej przyjaźni trwającej dwie dekady i o tym, co się dzieje, kiedy fundament tej przyjaźni pęka, a mimo to wciąż okazuje się silniejsza niż kłamstwo, które ją nadwyreżyło.

A jednak żadna z tych usterek nie zepsuła mi frajdy, bo „Kumpele na zabój” doskonale rozumieją, po co tak naprawdę powstały. To serial o kobiecej przyjaźni trwającej dwie dekady i o tym, co się dzieje, kiedy fundament tej przyjaźni pęka, a mimo to wciąż okazuje się silniejsza niż kłamstwo, które ją nadwyreżyło. To także rzadki w tym gatunku moment, w którym dwie kobiety po pięćdziesiątce dostają szansę, by być jednocześnie zabawne, wzruszające i fizycznie niebezpieczne, bez potrzeby traktowania ich wieku jako punktu wyjścia do żartu kosztem bohaterek. Scena, w której szef agencji sugeruje Judith emeryturę, bo kobiety w jej wieku podobno „zaczynają wariować”, to najbardziej wyrazisty moment



całego sezonu, bo pokazuje wprost, z czym te bohaterki muszą się mierzyć poza samymi kulami i nożami: z założeniem, że po pewnym wieku kobieta przestaje się liczyć. Serial odpowiada na to najlepszą możliwą ripostą, czyli działaniem, a nie deklaracją i to właśnie czyni portret tych dwóch silnych kobiet oraz relacji między nimi tak przekonującym, zamiast pustego hasła wypisanego na plakacie promocyjnym.

Wchodziłem w ten serial gotów na coś przelotnego, coś do obejrzenia w tle i zapomnienia równie szybko, jak się zaczęło. Wyszedłem z niego przekonany, że to jedna z przyjemniejszych niespodzianek tegorocznego lata, głównie za sprawą dwóch aktorek, które traktują swoje role z pełną powagą, nawet kiedy scenariusz wokół nich robi się coraz bardziej szalony. „Kumpele na zabój” nie są serialem bez wad, intryga bywa przegadana, a druga połowa sezonu traci nieco tempo pierwszych odcinków, ale jako opowieść o przyjaźni, sile i o tym, że kobietom po pięćdziesiątce wolno jeszcze przeżywać własną, wielką przygodę, broni się znakomicie.





JAN URBANOWICZ
@yasiek_

Ocena iMagazine

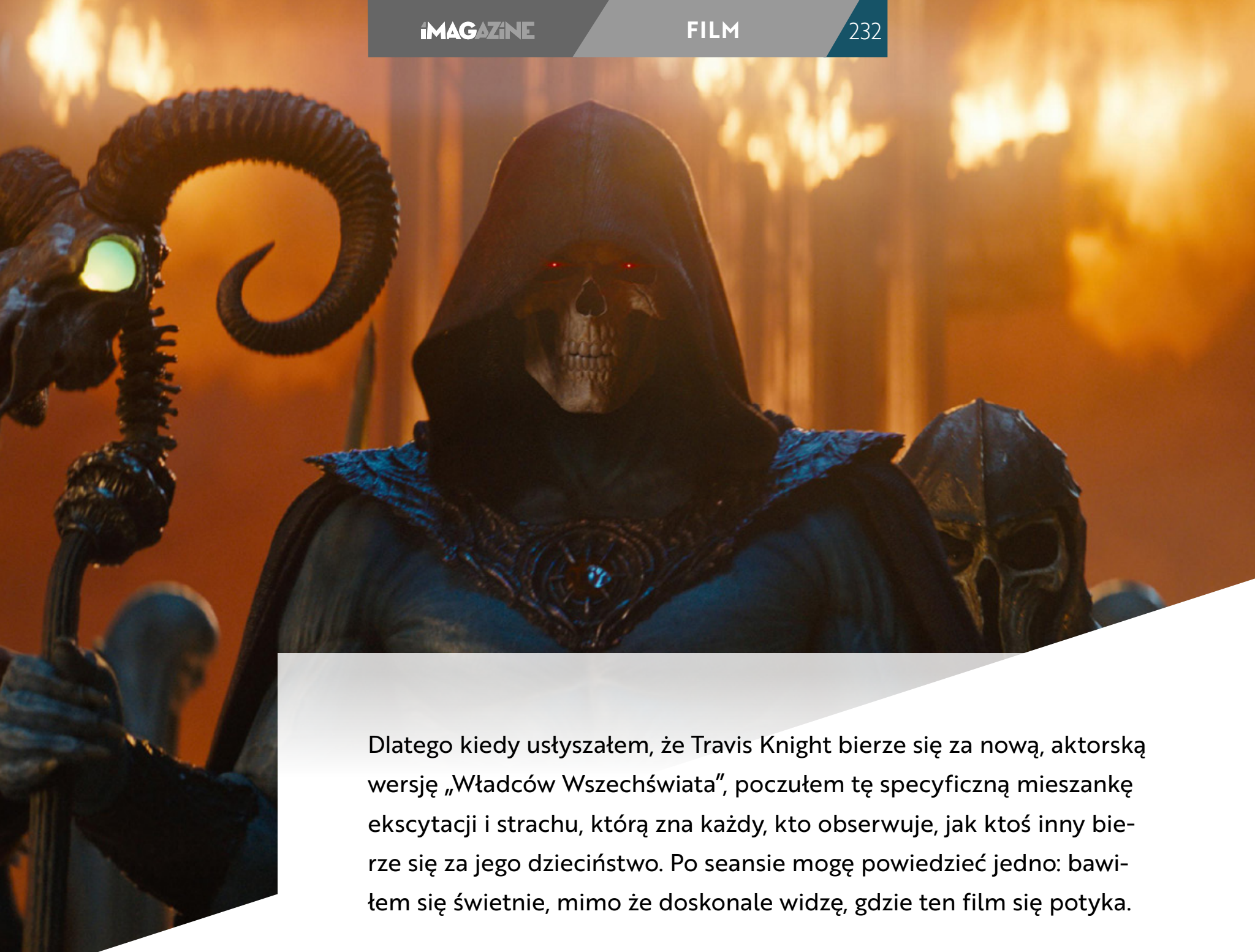


prime video

Władcy Wszechświata

Miałem swoje figurki. Miałem kasetę VHS z kreskówką, którą oglądałem tyle razy, że taśma zaczynała trzeszczeć przy ulubionych scenach. Często odgrywałem scenę przemiany, udając że wyciągam zza pleców miecz i krzyczałem „Na potęgę Posępnego Czerepu!”. Wychowałem się na He-Manie i nigdy się tego nie wstydziłem, nawet kiedy dorostłem i zorientowałem się, że cała ta mitologia trzyma się kupy mniej więcej tak, jak plastikowy miecz trzyma się dłoni pięciolatka.





Dlatego kiedy usłyszałem, że Travis Knight bierze się za nową, aktorską wersję „Władców Wszechświata”, poczułem tę specyficzną mieszankę ekscytacji i strachu, którą zna każdy, kto obserwuje, jak ktoś inny bierze się za jego dzieciństwo. Po seansie mogę powiedzieć jedno: bawiłem się świetnie, mimo że doskonale widzę, gdzie ten film się potyka.

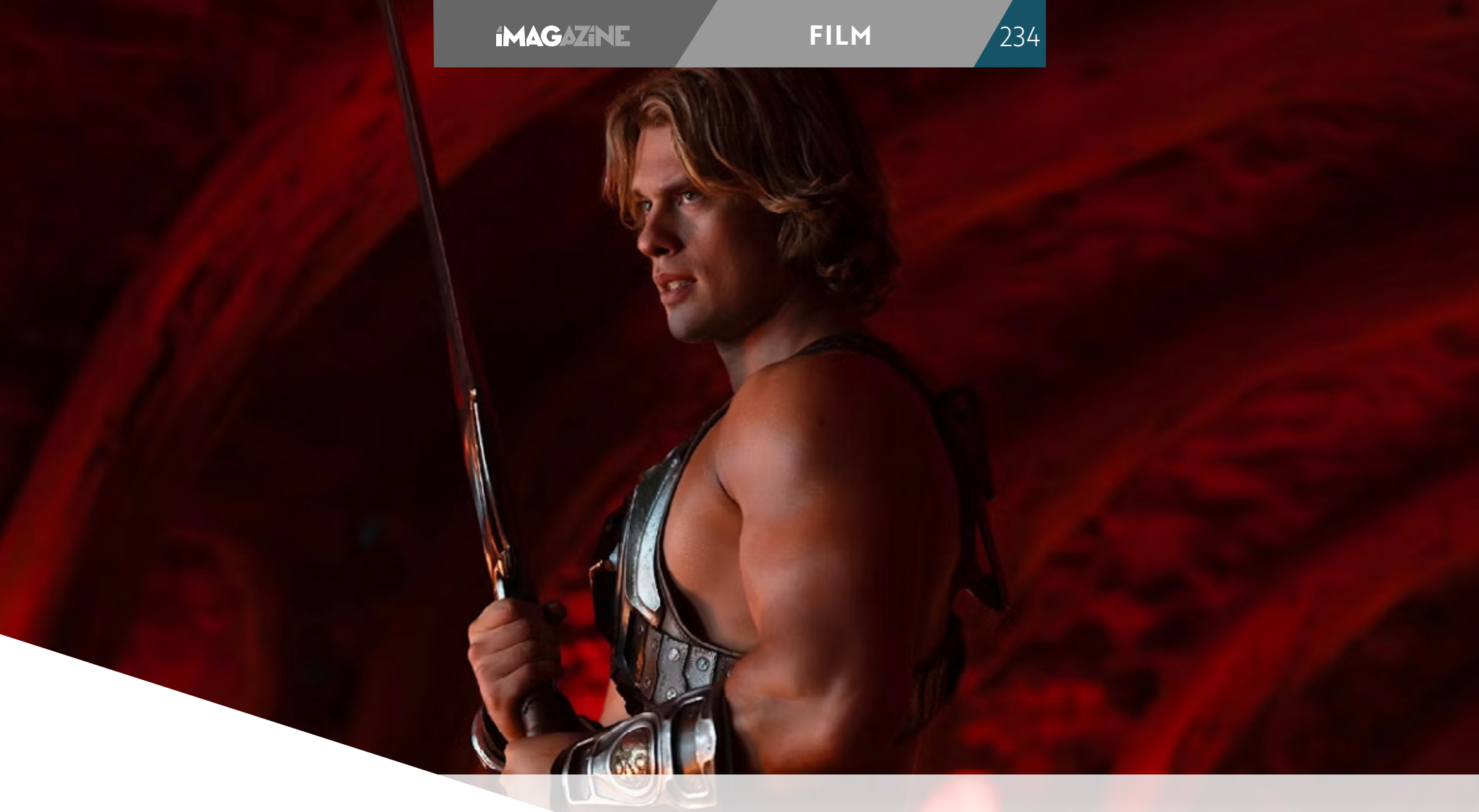
Zacznijmy od tego, że nowi „Władcy Wszechświata” mieli pod górkę, zanim jeszcze ktokolwiek zobaczył pierwszą klatkę. Poprzednia próba przeniesienia He-Mana na duży ekran, ta z 1987 roku z Dolphem Lundgrenem i Frankiem Langellą, zapisała się w historii kina jako spektakularna klapa, zarówno artystyczna, jak i finansowa. Przez kolejne dekady projekt nowej odsłony krążył po Hollywood jak zaklęty, przechodząc z rąk do rąk kolejnych reżyserów i studiów, aż w końcu wylądował w Amazon MGM Studios z Travisem Knightem za sterami. Knight to twórca, który potrafi zrobić filmy wypełnione zarówno akcją, jak i emocjami, a także pierwiastkiem dzieciństwa, którego często szukamy. Fabuła, którą serwuje tym razem, jest w gruncie rzeczy prosta i wierna materiałowi źródłowemu: mały książę Adam zostaje odseparowany od rodzinnej Eternii i od legendarnego Miecza Mocy, gdy złowrogi Szkieletor najeżdża Zamek Grayskull. Chłopak trafia na Ziemię, gdzie spędza kolejne piętnaście lat, pracując w dziale kadr korporacji i przekonując wszystkich dookoła, że tak naprawdę jest kosmicznym księciem. Kiedy



miecz w końcu się odnajduje, przyjaciółka z dzieciństwa, Teela, sprowadza go z powrotem do zrujnowanej ojczyzny, by stoczył ostateczną walkę o los swojego ludu. Film wszedł do kin na początku czerwca z budżetem blisko dwieście milionów dolarów i, mimo względnie ciepłego przyjęcia przez krytykę, zarobił na świecie zaledwie niewiele ponad sto milionów, co skłoniło Amazon do błyskawicznego przeniesienia go na Prime Video, zaledwie kilka tygodni po premierze kinowej.

Cały ten misternie skonstruowany świat musiał się jednak na kimś oprzeć, a ciężar dźwigania fabuły spadł na barki Nicholasa Galitzine'a, znanego dotąd głównie z ról romantycznych. Aktor gra tu podwójną partyturę: nieporadnego, zawstydzonego swoją historią pracownika korporacji, który nie potrafi przestać opowiadać o kosmicznym dzieciństwie oraz muskularnego wojownika, który tę samą historię musi w końcu przyjąć jako prawdę o sobie. Ten rozdźwięk między niezdarnym urzędnikiem a umięśnionym herosem to najlepszy dowcip filmu i Galitzine rozgrywa go z pełną świadomością własnej śmieszności, nie chowając się za fałszywą powagą. Kiedy trzeba, potrafi być czystym błaznem, a kiedy przychodzi





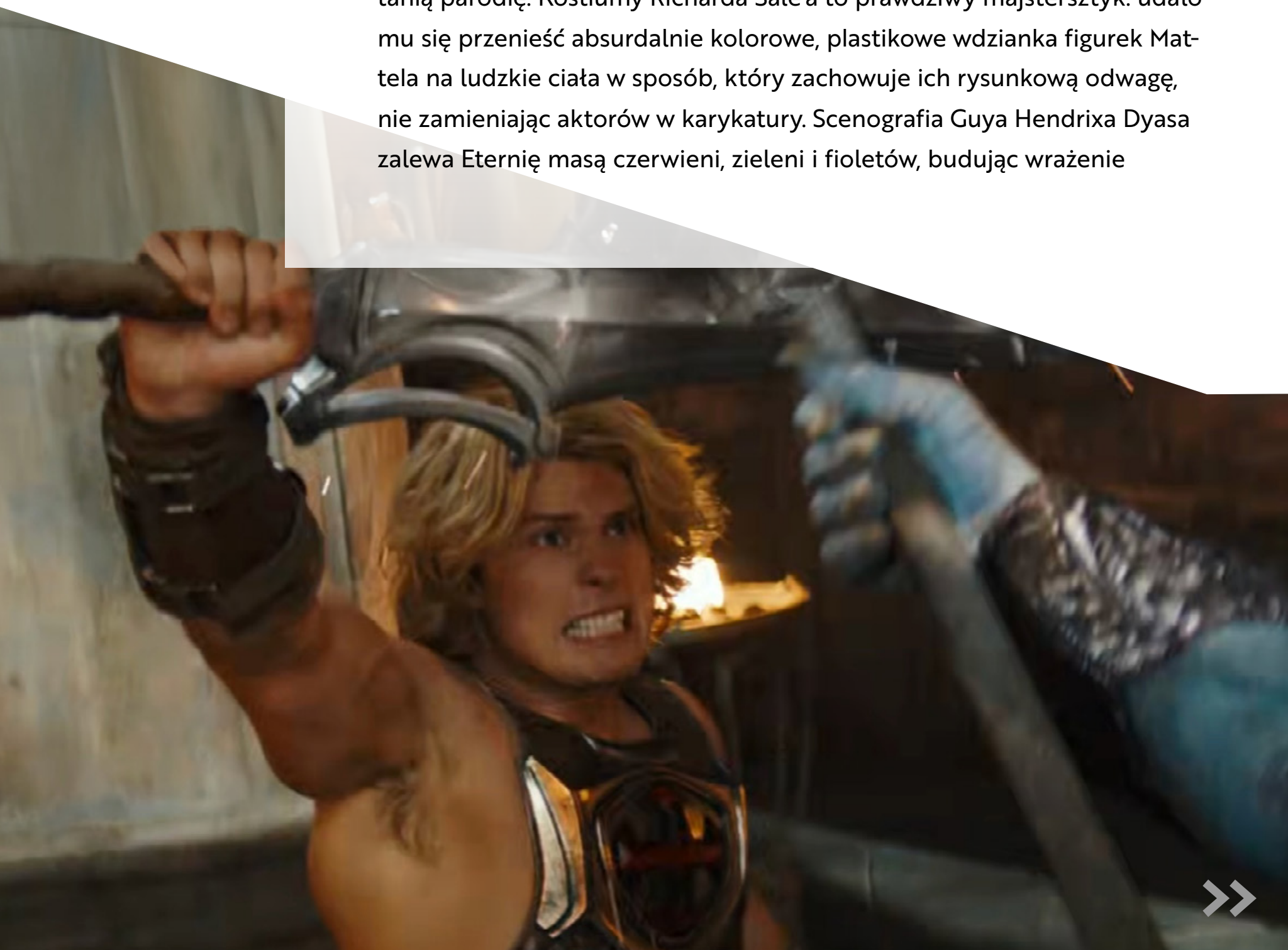
moment na heroiczny gest, sprzedaje go z zaskakującą szczerością. Szkoda tylko, że scenarzyści nie do końca zaufali temu kontrastowi, bo próba ukrycia jego postawnej sylwetki pod luźnymi koszulami w pierwszym akcie działa raczej komicznie niepoważnie niż przekonująco.

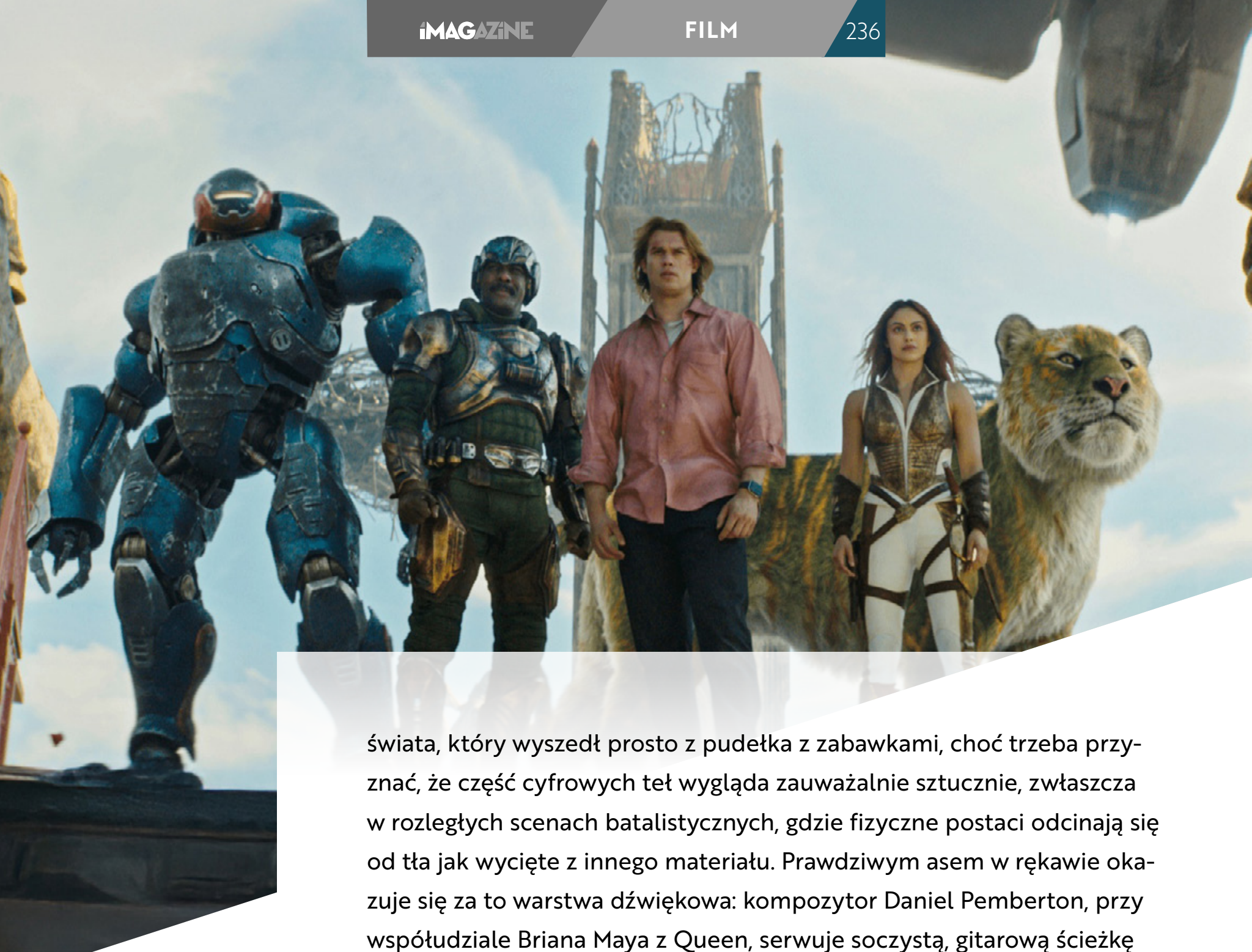
Wokół niego krąży ekipa, która ratuje film w chwilach, gdy scenariusz zaczyna grzęznąć we własnej niezdecydowanej tonacji. Idris Elba jako Duncan, czyli Zbrojny Rycerz, dostaje rolę byłego mistrza broni, który po klęsce Eternii zamienił się w podupadłego pijaczka, i choć to postać napisana bez większej głębi, aktor potrafi z niej wycisnąć więcej ciepła i autentycznego rozgoryczenia, niż scenariusz właściwie przewidywał. Camila Mendes jako Teela dźwiga na sobie rolę jedynej trzeźwo myślącej osoby w tym kosmicznym cyrku i robi to z przekonującą stanowczością, choć relacja między nią a Galitzine'em pozostaje w najlepszym razie letnia. Morena Baccarin jako tajemnicza Czarodziejka i Kristen Wiig jako robot Roboto dostają zbyt mało materiału, by naprawdę zaistnieć, co w przypadku aktorki takiej klasy jak Wiig jest wręcz marnotrawstwem. Prawdziwą niespodzianką drugiego planu jest za to Alison Brie w roli Evil-Lyn, mrocznej czarodziejki u boku Szkieletora. Brie gra tę postać z przymrużeniem oka, ale nigdy nie mruga zbyt mocno, budując najbardziej wiarygodnie złowieszczą postać w całym filmie i regularnie kradnąc sceny, w których się pojawia.



A jednak to nie ona jest gwiazdą tego przedstawienia, tylko Jared Leto jako Szkieletor, i muszę przyznać, że bardzo zaskoczyła mnie własna reakcja na jego grę. Leto bywał w swojej karierze aktorem, który albo nie daje widzom kompletnie nic, albo daje im stanowczo za dużo, a rola władcy z czaszką zamiast twarzy zapowiadała ten drugi, bardziej męczący wariant. Tymczasem aktor, ukryty za warstwami cyfrowych efektów, buduje kampową, teatralną kreację pełną mruczającej złośliwości i wyraźnej frajdy z bycia najgorszym typem na planie. Jego Szkieletor komentuje muskulaturę bohatera z lubieżną ironią, prycha na propozycje pokojowych rozmów i sprawia, że każda jego scena staje się małym pokazem aktorskiego cyrku. To rola skrojona pod status kultowego i ikonicznego złoczyńcy, i śmiem twierdzić, że Leto już go osiągnął.

Od strony realizacyjnej „Władcy Wszechświata” robią bardzo dużo, żeby oddać hołd estetyce lat osiemdziesiątych, nie popadając przy tym w zbyt tanią parodię. Kostiumy Richarda Sale'a to prawdziwy majstersztyk: udało mu się przenieść absurdalnie kolorowe, plastikowe wdzianka figurek Mattela na ludzkie ciała w sposób, który zachowuje ich rysunkową odwagę, nie zamieniając aktorów w karykatury. Scenografia Guya Hendrixa Dyasa zalewa Eternię masą czerwieni, zieleni i fioletów, budując wrażenie





świata, który wyszedł prosto z pudełka z zabawkami, choć trzeba przyznać, że część cyfrowych tła wygląda zauważalnie sztucznie, zwłaszcza w rozległych scenach batalistycznych, gdzie fizyczne postaci odcinają się od tła jak wycięte z innego materiału. Prawdziwym asem w rękawie okazuje się za to warstwa dźwiękowa: kompozytor Daniel Pemberton, przy współudziale Briana Maya z Queen, serwuje soczystą, gitarową ścieżkę dźwiękową, która wskrzesza ducha hair metalu rodem z macierzystej dekady serii, a przebój „Masters of the Universe”, pojawiający się w kluczowym momencie starcia, wywołuje u kogoś takiego jak ja, wychowanego na tamtej estetyce, czystą nostalgię.

„Władcy Wszechświata” chcą jednocześnie być szczerym hołdem dla dziecięcych wspomnień i ironicznym komentarzem do własnej śmieszności, i to rozdwojenie odbija się czkawką przy niemal każdym większym żarcie. Ten cały wątek z tłumaczeniem, że imiona takie jak Fisto czy Ram-Man to wymysł dziesięcioletniego Adama, który na pamięć nie zapisał prawdziwych imion swoich towarzyszy, to zabawny pomysł scenariuszowy, ale rozciągnięty na cały film zaczyna trącić powtarzalnością. Podobnie temat męskości, który film próbuje przepracować przez pryzmat pracy bohatera w dziale kadr, kontrastując staroświecką siłę fizyczną z nowoczesną empatią, jest wątkiem ciekawym w założeniu, lecz w praktyce rozmywa się, bo ostatecznie i tak wszystkie konflikty



rozstrzyga pięć, a nie rozmowa. Do tego dochodzi długość: sto czterdzieści kilka minut to zdecydowanie za dużo jak na historię, która w gruncie rzeczy nie ma zbyt wiele do powiedzenia, i w środkowej części seansu czuć, że montażyści mogli być odważniejsi.

Mimo tych wszystkich zastrzeżeń, kiedy zapaliły się światła na sali, łąpałem się na tym, że uśmiecham się szerzej, niż się po sobie spodziewałem. Może to kwestia sentymentu, bo trudno mi w pełni oddzielić chłopaka z figurkami od dzisiejszego widza, ale mam wrażenie, że ta ekipa naprawdę bawiła się tym materiałem, zamiast traktować go jak kolejny punkt w tabelce kwartalnych wyników studia. Widać to w każdym kolorowym kostiumie, w każdej prząsnej gierce słownej o imionach postaci, w sposobie, w jaki Leto rzuca się na rolę Szkieletora z pełnym poświęceniem, jakby to była szansa życia, a nie kolejny kontrakt do odhaczenia. „Władcy Wszechświata” nie są filmem bez wad: rozwleczoną narracją, niezdecydowanym tonem, wątkami, które gubią się gdzieś po drodze... Ale jako powrót do tamtego dziecięcego uniwersum plastikowych mieczy i kosmicznych wojowników to zdecydowanie dobrze spędzony czas, pełen szczerej radości z absurdu, którego nigdy nie przestałem kochać. Ostatecznie liczy się właśnie to, czy po seansie chce się wrócić do Eternii jeszcze raz, a ja, mimo wszystkich zgrzytów, chciałbym.





JAN URBANOWICZ
@yasiek_

Premiery streamingowe sierpień 2026



Lioness – Sezon 3

Wojna, którą Joe prowadziła dotąd za granicą, wdzierą się teraz do jej domu. Zoe Saldana wraca na czele tajnego programu Lioness, ale trzeci sezon każe jej mierzyć się z czymś trudniejszym niż wrogowie: pogodzeniem tej roboty z życiem rodzinnym. Niewidzialni przeciwnicy namierzają jej najbliższych, a sojusznicy Kaitlyn (Nicole Kidman) i Westfield (Michael Kelly) pomagają rozplątywać sieć znikających nazwisk i zdrad. Stawką jest już nie tylko misja, ale bezpieczeństwo zespołu.

Premiera: 03.08



1670 – Sezon 3

Sarmacki dwór Adamczewskich znów trzęsie się w posadach. Ujawniona prawda o pochodzeniu Jana Pawła i utrata aktów szlacheckich w pożarze biblioteki rzucają na ród widmo tragedii gorszej niż zaraza – poszlachecką chorobę tożsamości. Zofia zмага się z syndromem pustego gniazda, Jakub próbuje podbić Warszawę, choć miasto kusi go czymś więcej niż biznesem, a Aniela wraca do domu, by zająć się sobą – zaraz po założeniu szkoły dla chłopów, którzy robią się coraz bardziej niespokojni.

Premiera: 05.08

NETFLIX





Reacher – Sezon 4

Na podstawie trzynastej powieści z cyklu Lee Childa, „Jutro możesz zniknąć”, Jack Reacher (Alan Ritchson) po raz kolejny trafia tam, gdzie nie powinien. Przypadkowe spotkanie ze zrozpaczoną nieznajomą w metrze zamienia się w śmiertelnie niebezpieczną grę przeciwko bezwzględny wrogom z najwyższych szczebli władzy. Czwarty sezon wprowadza do obsady między innymi Chrisa Marquette'a, Sydelle Noel, AGNEZ MO, Anggun i Kevina Weismana.

Premiera: 12.08

prime video

Ted Lasso – Sezon 4

Po sezonie, który miał być finałem, Ted Lasso wraca – i czeka go, jak twierdzi Apple TV, największe wyzwanie. Zamiast męskiej drużyny AFC Richmond, bohater przejmuje kobiecy zespół drugiej ligi, zaczynając niemal od zera. Wracają Hannah Waddingham jako Rebecca, Brett Goldstein jako Roy Kent, Brendan Hunt jako Coach Beard, Juno Temple jako Keeley i Jeremy Swift jako Higgins, a dołącza kilkoro nowych twarzy. Jeden z dziesięciu odcinków trafi na antenę co tydzień.

Premiera: 14.08

apple tv





PAWEŁ WINIARSKI
@northazerate

Muzycy chcą się wypisać z algorytmów AI

Algorytmy sztucznej inteligencji pomagają ludziom niezwiązanym z muzyką stać się twórcami. Mało kto pamięta jednak, że dzieje się to kosztem prawdziwych artystów.





Generatywne AI podbija świat, tylko nikt jeszcze nie pokusił się o faktyczne podsumowanie, czy efekt tych zmian jest na pewno pozytywny. Dziś do tworzenia grafiki i muzyki nie są już potrzebne talent, umiejętności i doświadczenie – wystarczy kupić tokeny i napisać przynajmniej przeciętnie rozsądny prompt, a później wszystkim innym zajmie się model sztucznej inteligencji. Kolejne tego typu kreacje mnożą się jednak z miesiąca na miesiąc i coraz trudniej jest mi je ominąć. Infografiki robione pod jeden i ten sam schemat, te same twarze modelek i modeli. Na YouTube natomiast mam już spory problem, żeby przedrzeć się przez kolejne dwugodzinne muzyczne kompilacje gatunkowe, które wrzucane są na profile „twórców” w zasadzie co drugi dzień. No chyba nikt nie wierzy, że jakkolwiek muzyk chował swoje utwory do szuflady przez ostatnie 20 lat i teraz sukcesywnie je publikuje.

Obejrzałem niedawno bardzo fajny materiał przygotowany przez mojego kolegę, Maćka Karbowskiego, który odpowiada za gitary w zespole Tides from Nebula, prowadzi również studio nagraniowe Nebula Studio. I chyba nie będzie dla nikogo zaskoczeniem, jeśli powiem, że muzycy nie wypowiadają się pozytywnie o portalach typu Suno czy Udio, choć przecież mogłyby to być dla nich narzędzia ułatwiające zarówno komponowanie, jak i nagrywanie. Dla przypomnienia – to platformy, które po wpisaniu promptów generują muzykę w wybranym gatunku. Od instrumentów, przez wokale, aż do tekstów – więc nawet największy leniuch może stworzyć hit, który podbija internet.

Maciek zwrócił jednak uwagę na pewien temat, który jest całkowicie pomijany w aktualnym pędzie po jak najlepsze i najbardziej realnie brzmiące



algorytmy do tworzenia muzyki. Otóż wskazuje on portale, które informują o tym, czy utwory danego zespołu trafiły lub mogły potencjalnie trafić do katalogów, z których treści podawane są algorytmom do nauki. No i bez niespodzianek, na takiej liście znalazła się praktycznie cała dyskografia zespołu, w którym gra – Tides from Nebula. Powiecie, że przecież to nic złego, że na czymś AI musi się uczyć, że to tylko materiały treningowe. Otóż prawda leży jednak gdzie indziej.

Wiemy już, że algorytmy graficzne i muzyczne tak naprawdę niczego nie tworzą. Nie uczą się tak, jak uczy się człowiek i nie wykorzystują tej wiedzy, ćwiczeń i doświadczenia do kreowania czegoś swojego. Biorą po małym kawałku z jednego miejsca, z drugiego, z trzeciego i układają je w matematycznie poprawną całość – niby podobnie jak człowiek, bo człowiek przecież też odtwarza w pewnym sensie to, czego się nauczył, ale człowiek nie działa mechanicznie. Filtruje swoje kreacje przez wspomnienia, emocje, doświadczenie. Sztuczna inteligencja natomiast bezmyślnie odtwarza i miksuje, przez co w utworach stworzonych w portalach muzycznego generatywnego AI możecie trafić nie tylko na bliźniaczo podobne zagrywki, ale również zaskakująco podobne brzmienie.

Muzyk Tides from Nebula podał bardzo ciekawy przykład. Otóż założmy, że podczas sesji nagraniowej panowie poświęcili sporo czasu na wyklarowanie specyficznego brzmienia werbla perkusyjnego. Walczyli z naciągami, ustawieniem mikrofonów, aż doszli do momentu, w którym zawołali: „mamy to!”. Utwory lądują na płycie, płyta w sieci, a potem wpada do maszyny uczącej algorytmy i praktycznie to samo brzmienie perkusyjnego werbla pojawi się w kreacji od AI po wpisaniu promptu progressive rock. Bo akurat algorytmy zapisały sobie brzmienie werbla perkusisty Tides from Nebula na swojej liście 50 najlepiej i najciekawiej brzmiących werbli w gatunku rocka progresywnego.

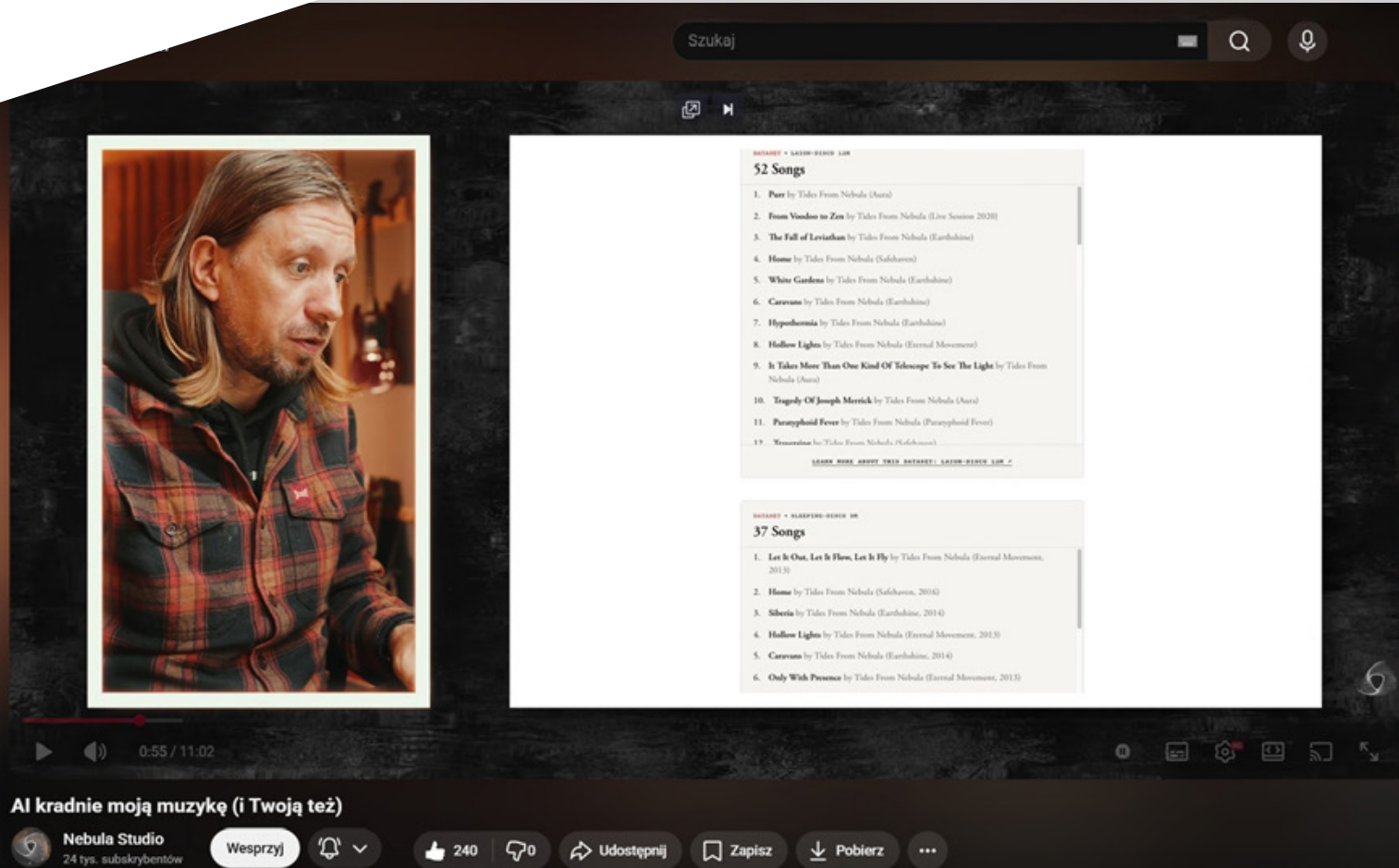
Kiedy muzyk wykorzystuje czyjeś sample, uruchamia się cały mechanizm praw autorskich i ustalania, kto tak naprawdę jest autorem utworu, skoro wykorzystany sampel stanowi jego integralną część. W przypadku utworu wygenerowanego przez platformę AI takiego tematu natomiast w ogóle nie ma. Artysta, który stworzył brzmienie perkusji, basu, gitary i to brzmienie w podobnej albo nawet tej samej formie trafiło do kilku czy kilkuset



wygenerowanych przez AI utworów, nie może zrobić nic. Bo nie jest w stanie niczego udowodnić. Ale nie może też wypisać się z tej maszyny uczenia algorytmów, bo nie ma do tego żadnych narzędzi.

I prawdopodobnie nigdy ich nie dostanie, bo na niekorzyść artystów zaczynają działać wydawcy. Nie tak dawno czytałem o tym, że Warner Music Group podpisało porozumienie z Suno, a Universal z Udio. Umówmy się, tu chodzi o to, żeby obu stronom było jak najlepiej i żeby podzieliły się między sobą pieniędzmi, o nic więcej. Katalogi obu wydawców będą wręcz absurdalnie mielone (tylko teraz legalnie), aby algorytmy nauczyły się jak najwięcej i przyciągnęły kolejne grupy klientów, wydających tokeny na kolejne utwory, które nie wnoszą absolutnie nic do muzyki.

Nie ukrywam, że początkowo sam byłem mocno podekscytowany możliwościami algorytmów generatywnego AI i skłamałbym mówiąc, że z AI nie korzystam. Mam jednak wrażenie, że za kilka lat, kiedy internet będzie już absurdalnie wręcz zalany identycznymi sztucznymi grafikami i utworami, wszyscy zaczną naprawdę mocno doceniać prawdziwych artystów. Oby tylko ci artyści byli odpowiednio cierpliwi, żeby przeczekać ten boom AI słopu, bo za jakiś czas ręcznie przygotowana grafika czy utwór stworzony na potrzeby konkretnego projektu przez prawdziwego muzyka, używającego prawdziwych instrumentów, może być kilkakrotnie droższy niż jest dziś.



Szukaj

52 Songs

1. Parr by Tides From Nebula (Auro)
2. From Voodoo to Zen by Tides From Nebula (Live Session 2020)
3. The Fall of Leviathan by Tides From Nebula (Earthshine)
4. Home by Tides From Nebula (Safarov)
5. White Gardens by Tides From Nebula (Earthshine)
6. Caravan by Tides From Nebula (Earthshine)
7. Hypothemia by Tides From Nebula (Earthshine)
8. Hollow Light by Tides From Nebula (Eternal Movement)
9. It Takes More Than One Kind Of Telescope To See The Light by Tides From Nebula (Auro)
10. Tragedy Of Joseph Merrick by Tides From Nebula (Auro)
11. Paraphrased Fever by Tides From Nebula (Paraphrased Fever)
12. Transcendence by Tides From Nebula (Safarov)

37 Songs

1. Let It Out, Let It Flow, Let It Fly by Tides From Nebula (Eternal Movement, 2013)
2. Home by Tides From Nebula (Safarov, 2014)
3. Siberia by Tides From Nebula (Earthshine, 2014)
4. Hollow Light by Tides From Nebula (Eternal Movement, 2013)
5. Caravan by Tides From Nebula (Earthshine, 2014)
6. Only With Presence by Tides From Nebula (Eternal Movement, 2013)

AI kradnie moją muzykę (i Twoją też)

Nebula Studio
24 tys. subskrybentów

Wesprzyj

240

Udostępnij

Zapisz

Pobierz





DOMINIK ŁADA
[@dominiklada](#)

Podcasty – wybór



Kolasińska Podcast

„Kolasińska Podcast” to autorski cykl rozmów, w którym prowadząca zaprasza gości ze świata kultury, mediów, biznesu i rozwoju osobistego. Kameralna atmosfera i uważnie prowadzone wywiady pozwalają rozmówcom opowiedzieć nie tylko o sukcesach, ale również o wyzwaniach i doświadczeniach, które ich ukształtowały. To podcast dla słuchaczy ceniących szczere, pogłębione rozmowy.



Podcast Charyzmatyczny

„Podcast Charyzmatyczny” Dawida Straszaka to rozmowy z ekspertami z zakresu psychologii, zdrowia i szeroko rozumianego rozwoju. Prowadzący porusza tematy związane między innymi z emocjami, relacjami, zdrowiem psychicznym, odżywianiem, długowiecznością i codziennymi nawykami. To wartościowa propozycja dla osób, które szukają praktycznej wiedzy opartej na doświadczeniu specjalistów i badaniach naukowych, a nie na prostych motywacyjnych hasłach.





Historia Bez Kitu

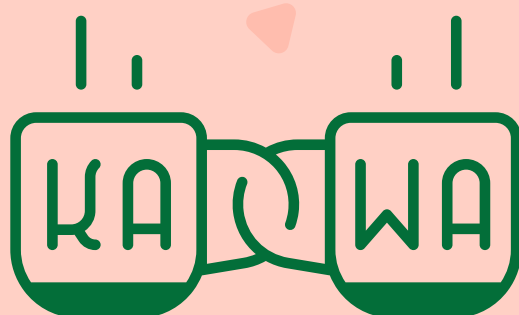
„Historia Bez Kitu” to podcast, w którym historia opowiadana jest w przystępny, dynamiczny i często zaskakujący sposób. Autorzy sięgają zarówno po wielkie wydarzenia, jak i mniej znane epizody oraz postacie, oddzielając fakty od popularnych mitów i legend. To świetna propozycja dla każdego, kto chce lepiej zrozumieć przeszłość, ale nie ma ochoty na szkolny wykład – zamiast tego dostaje ciekawe opowieści oparte na rzetelnych źródłach.



Bulwar Podlaski

„Bulwar Podlaski” to podcast dla tych, którzy z dużym dystansem podchodzą do polityki, mediów i otaczającej nas rzeczywistości. Autorzy w charakterystycznym, pełnym sarkazmu stylu komentują najważniejsze i najbardziej absurdalne wydarzenia ostatnich dni, nie oszczędzając ani polityków, ani celebrytów, ani internetowych ekspertów. To audycja, która przede wszystkim ma bawić i pozwala spojrzeć na bieżące wydarzenia z przymrużeniem oka – bez zadęcia, za to z dużą dawką ciętego humoru.





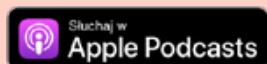
bo czemu nie?

PARTNER PODCASTU:

HAYB

REKOMENDOWANY PRZEZ:

iMAGAZiNE





MAŁGORZATA ŁADA

Pieczony udziec z indyka z jabłkami



Skład:

- 1 udziec z indyka
- 2 średnie kwaśne jabłka
- 1 szklanka cydru
- 2 ząbki czosnku
- 2 łyżki masła klarowanego
- Sól, pieprz

Udziec z indyka myjemy, wycinamy kostkę i dobrze osuszamy. Czosnek przeciskamy przez praskę lub bardzo drobno siekamy, łączymy z solą i pieprzem, nacieramy udziec. Natarte mięso pozostawiamy w lodówce na parę godzin, najlepiej na noc. Jabłka myjemy, usuwamy gniazda nasienne i dzielimy na ósemki. Jabłek nie obieramy. Piekarnik rozgrzewamy do temp. 180 st. Do szkła żaroodpornego wkładamy masło klarowane, najlepiej lekko rozpuszczone, układamy udziec i wkładamy do piekarnika. Zarumieniamy mięso z obu stron i dodajemy jabłka oraz polewamy połową cydru. Szkło przykrywamy, żeby mięso i jabłka powoli się piekły. Pod koniec pieczenia zdejmujemy pokrywę. Pieczemy około 35–40 min, co jakiś czas podlewając resztą cydru.

Upieczony udziec podajemy np. z pieczonymi lub gotowanymi ziemniakami i żurawiną lub borówką do mięsa.

SMACZNEGO



iMAGAZiNE

DOSTĘPNY NA

